Kosiniak-Kamysz, czyli zero złudzeń w sprawie sowieciarza

Jak wyglądają konkursy w sądach? Bukmacherzy nie przyjęliby zakładów

Polska na zero z Unią. W nowym budżecie wpłacimy tyle, ile dostaniemy

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU

GAZETAPOLSKA.PL

CENA 10,90 PLN (w tym 8% VAT) #42 (1777) 14.10.2026 indeks 320919

OKŁADKA: FAFIK – WYGENEROWANA ZA POMOCĄ AI

UWAGA Czy to kolejny poziom wojny hybrydowej

JAK WERBUJĄ NASZE DZIECI

Numer w sprzedaży do 20.10.2026.
ISSN 1230-4581

Wspieraj nasze media

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA | Gazeta Polska codziennie | niezależna.pl | REPUBLIKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO | radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**

Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**

SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

GAZETA POLSKA

Numer konta: **81 1240 6003 1111 0010 3126 1695**

Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Gazety Polskiej**

Konto do wpłat w euro: **PL 15 1240 1040 1978 0010 8426 7594**

SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Gazeta Polska ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**

Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

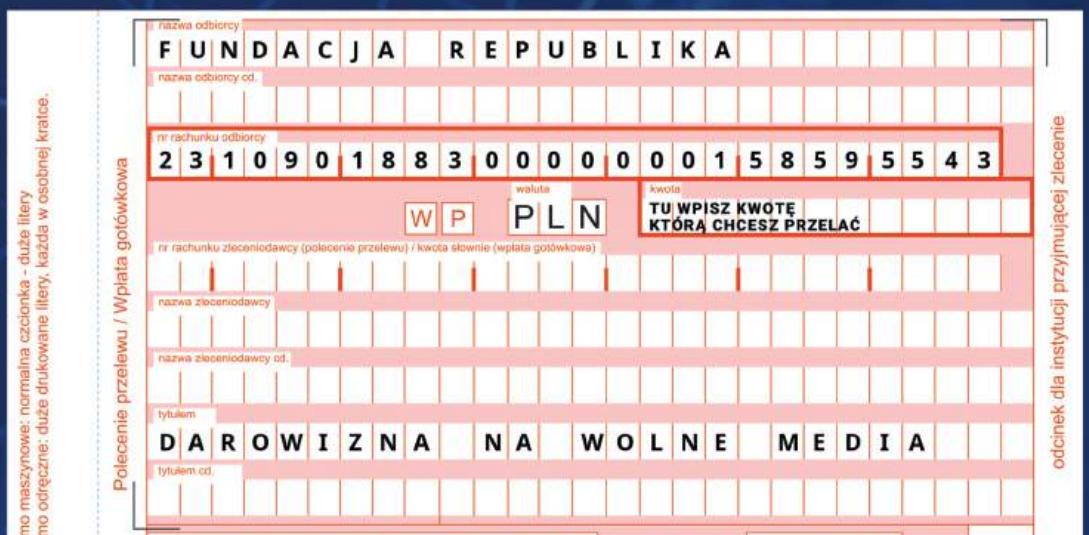

FELIETON { WRÓG LUDU }

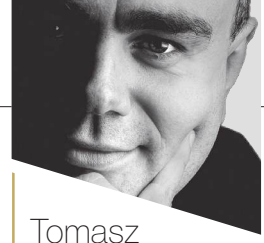

Tomasz **Sakiewicz**

Konserwatywna fala

6 października 2026 roku przejdzie do historii światowych mediów, ale być może nie tylko ich. Tego dnia nastąpiło oficjalne połączenie Discovery i Paramount Skydance. A właściwie ten drugi przejął tego pierwszego, budując największy w cywilizacji zachodniej koncern medialny. Stało się to po tym, jak zarówno władze USA, jak i UE wydały na to wszystkie stosowne zgody. Z dużą ciekawością będę przyglądał się temu, w jaki sposób Donald Tusk będzie chciał blokować fuzję największego koncernu na świecie. Dlatego już kupiłem popcorn i czekam na ruchy rządowego nadzorcy TVN – stacji będącej niewielką częścią Discovery. O tym za chwilę…

Owego 6 października, nie do końca przez przypadek, znaleźliśmy się przy historycznej bramie Melrose Gate, najstarszej części Paramount Picture, dobrze znanej Państwu z amerykańskich filmów. Program Republiki transmitowany tego dnia i w tym miejscu miał równie symboliczną wagę jak chwilę późniejszy przekaz ze spotkań w Waszyngtonie. Skutki tego, co się stało, mają tak gigantyczną wagę, że bezpośredni uczestnicy, czyli pracownicy tych koncernów, do dzisiaj są w szoku, a świat polityczny próbuje bagatelizować przełom wobec swojej bezradności.

Na mojej stronie tomaszsakiewicz.pl opublikowałem kilkudziesięciostronicowy raport o konserwatywnej fali w mediach w USA i Europie, który powstał przy okazji tego wydarzenia. Ten raport, tak jak teksty popularnonaukowe, które tam publikuję, ma charakter otwarty, czyli zapraszam do współredagowania i uzupełniania go. Konserwatywna fala zaczęła się już kilkanaście lat temu. W USA było to bez wątpienia powstanie telewizji Fox News, w Polsce – wywalczenie przez setki tysięcy osób koncesji dla Telewizji Trwam i narodziny Telewizji Republika. Wcześniej konserwatywne media oczywiście istniały, ale były raczej wyspą w zalewie lewactwa. Pojawienie się Fox News zapoczątkowało konserwatywną falę, ale to był dopiero pierwszy krok. Kilka lat temu Elon Musk wkroczył ostro w świat social mediów, przejmując Twittera i zamieniając go na X. Twitter nie był największym na świecie tego typu środkiem przekazu, ale na tyle dużym, by wymusić ograniczenie cenzury. Bojkot ze strony lewactwa nic tu nie dał. Chwilę później w USA powstała kolejna konserwatywna inicjatywa – Newsmax (proszę nie mylić tego z serbską mutacją w Polsce). Wszędzie w nowe media uderzano bojkotem i represjami. Dominująca do tej pory w mediach lewica nie potrafi się pogodzić z utratą monopolu i robi, co może, by zatrzymać wzbierającą falę. Nie zatrzyma jej. Podobne zjawiska już widać w Europie Zachodniej.

Pytanie, skąd wzięła się ta fala? Choć moim zdaniem właściwszym byłoby, dlaczego nie było jej wcześniej, bo przecież ona ma charakter zupełnie naturalny. Około 40 proc. mieszkańców Europy Zachodniej i USA ma poglądy tradycyjnie konserwatywne, a ponad 20 proc. uwzględnia część z nich. Mimo różnic w tej grupie to ogromna przewaga nad lewicą, gdzie najwyżej około 30 proc. mieści się w kanonie twardych wyznawców tego typu ideologii i wyklucza pozostałych. Lewica miała więc przewagę w mediach, ale nie w społeczeństwie. Mediami starała się wyrównać przekaz, jaki oferowały wspólnoty chrześcijańskie dzięki istnieniu zorganizowanych Kościołów. Dlatego też lewica przykładała do tego większą wagę. Udało jej się przeciągnąć do wsparcia świat celebrytów i biznesu. To ostatnie zaczęło się zmieniać. Szaleństwa ideologiczne lewicy zagroziły biznesowi i ten najpierw dyskretnie, a teraz coraz bardziej otwarcie zaczął porzucać jej projekty. To wymusiło właśnie zmiany w mediach amerykańskich i nie pozostaje bez wpływu na Europę. W Polsce jest trochę inaczej, bo biznes wciąż jest mocno związany więzami postkomunistycznych układów, ale jest tylko kwestią czasu, gdy zacznie szukać pewnej równowagi. Na razie konserwatywna fala nad Wisłą opiera się na obywatelskiej mobilizacji. A co do TVN… No cóż, może Tusk będzie chciał go zagłodzić, tak jak próbuje z Republiką. Jaka szkoda… **GP**

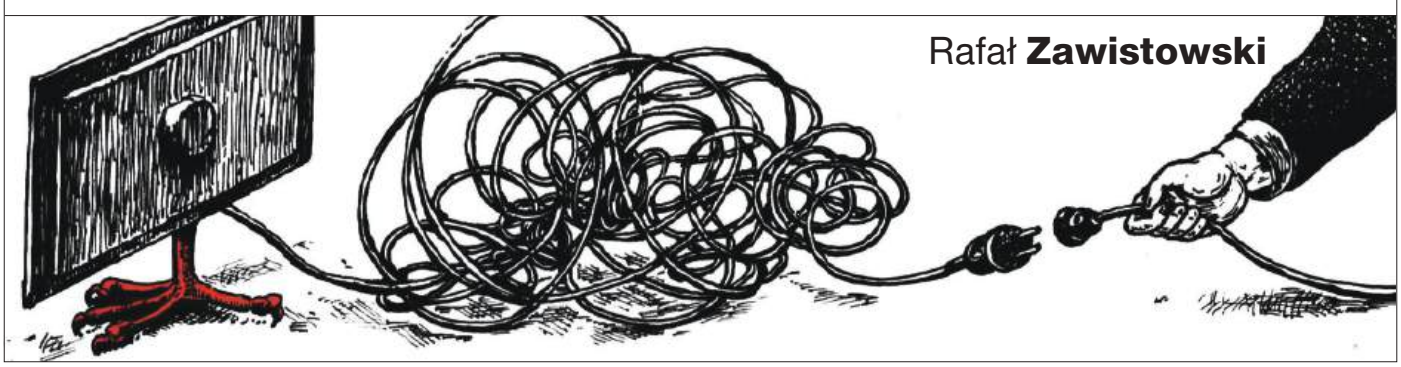

W numerze

TEMAT NUMERU

6 Polskie dzieci na celowniku Moskwy
Grzegorz Wierzchołowski

KRAJ

16 Rosyjski cień nad polskim „Dzikiem”
Piotr Nisztor

22 Jak wyglądają konkursy w sądach? Bukmacherzy nie przyjęliby zakładów
Grzegorz Broński

PUBLICYSTYKA

24 Moskiewski scenariusz polskiej wojny domowej
Piotr Grochmalski

28 Braun, kolejny klon Giertycha
Dawid Wildstein

30 Republika niemiecka Rosyjskiej Federacji
Jakub Maciejewski

32 „Adin, dwa, tri, czietirie...” Kaszpirowski, (post)sowiecki guru
Krzysztof Wołodźko

ŚWIAT

46 BND na sprzedaż, czyli die Katastrophe
Antoni Rybczyński

50 Problem z Tuckerem Carlsonem
Maciej Kożuszek

GOSPODARKA

62 Polscy rolnicy pozostawieni sami sobie
Maciej Pawlak

HISTORIA

74 Kilku tylko ufałem bezgranicznie…
Piotr Dmitrowicz

KULTURA

78 Tour de Apolonia, czyli każdy nosi brzemię swoich przodków
Sylwia Krasnodębska

ŚRODOWISKO

82 Małpka, która podbiła miliony serc
Jacek Liziniewicz

Kosiniak-Kamysz, czyli zero złudzeń w sprawie sowieciarza
Piotr Lisiewicz

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
21 Jacek Liziniewicz
21 Krzysztof Karnkowski
34 Dawid Wildstein
35 Marcin Wolski
35 Tomasz Łysiak
49 ROSJA ABSURDEM STOI
53 WIEŚCI Z UE
56 OBRONNOŚĆ
65 KULINARIA

66 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ”
73 Tadeusz M. Płużański
73 Józef Wieczorek
77 NAUKA
88 LISTY
89 OKIEM KAPELANA

Polska na zero z Unią. W nowym budżecie wpłacimy tyle, ile dostaniemy
Jacek Liziniewicz

Cały świat był w szoku. Tajemnica wysadzenia rosyjsko-niemieckiego gazociągu
Z Bojanem Pancevskim rozmawia Michał Rachoń

Proces, który osądził zbrodnię, choć nie uratował sprawiedliwości
Tomasz Panfil

Sklep Gazety Polskiej POLECA

KTO NAM UKRADŁ EUROPĘ? MOCNE POLAKÓW ROZMOWY O UNII

PIOTR LEGUTKO

Czy Unia Europejska zmierza w stronę superpaństwa? Jaką rolę odgrywa w niej Polska i kto dziś wyznacza kierunek zmian na naszym kontynencie? Piotr Legutko zaprasza do fascynującej debaty z wybitnymi polskimi intelektualistami, historykami i politykami. W książce swoje opinie prezentują m.in. Andrzej Nowak, Ryszard Legutko, Marek A. Cichocki, Jan Rokita, Jacek Saryusz-Wolski, Sławomir Dębski, Rafał A. Ziemkiewicz oraz Przemysław Żurawski vel Grajewski. To ważny i odważny głos w dyskusji o przyszłości Europy, suwerenności państw narodowych i miejscu Polski we wspólnocie europejskiej. Poznaj argumenty, które kształtują debatę o przyszłości Europy!

Format: 150x210 mm | **Liczba stron:** 336 | **Oprawa:** twarda

ŚWIAT ZAGINIONY. WYPRAWA DO WNĘTRZA PRL. TOM 2

JACEK PIEKARA

Jak wyglądała codzienność w PRL? Co jedzono, jak spędzano wolny czas, jakich technologii używano i czym żyli Polacy za żelazną kurtyną? Jacek Piekara zabiera czytelników w niezwykłą podróż do świata, który odszedł bezpowrotnie. Bogato ilustrowane kompendium pełne fotografii, ciekawostek i zapomnianych pojęć pozwala odkryć realia życia w Polsce Ludowej zarówno tym, którzy ją pamiętają, jak i młodszym pokoleniom. Książka polecana przez profesorów Andrzeja Nowaka i Jana Żaryna. Wejdź do świata PRL i zobacz go oczami jego mieszkańców.

Format: 210x270 mm | **Liczba stron:** 400 | **Oprawa:** twarda

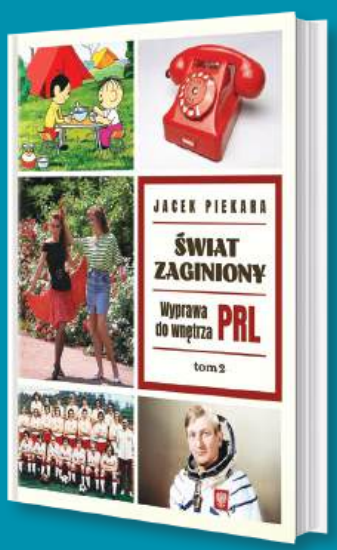

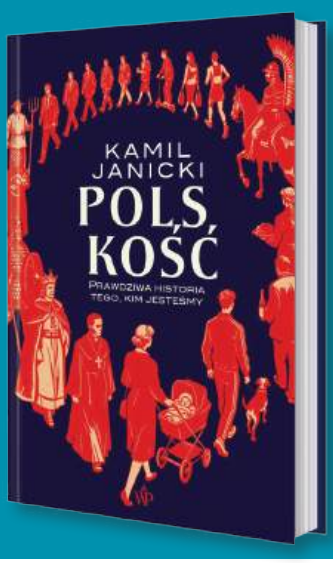

POLSKOŚĆ. PRAWDZIWA HISTORIA TEGO, KIM JESTEŚMY

KAMIL JANICKI

Kim naprawdę jesteśmy jako naród? Skąd wzięły się cechy, które uznajemy za fundament polskości? Kamil Janicki, jeden z najpopularniejszych polskich autorów historycznych, zabiera czytelników w pasjonującą podróż przez dzieje Polski, obalając utrwalone mity i stereotypy. To książka, która zmusza do refleksji, pozwala spojrzeć na historię z nowej perspektywy i lepiej zrozumieć współczesną Polskę. Odkryj prawdziwe korzenie polskiej tożsamości.

Format: 150x210 mm | **Liczba stron:** 336 | **Oprawa:** twarda

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl** | **tel. 22 232 37 70**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl

SKLEP GAZETY POLSKIEJ

Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

Jeśli marszałek Czarzasty chce poczuć, jak wielkie są zasługi UE w kwestii tego, że nie musi robić wiadomych czynności fizjologicznych w polu, to powinien udać się do Ministerstwa Rolnictwa. „Podgrzewane siedzisko, funkcja mycia, ciepły nawiew i komfort godny pięciogwiazdkowego hotelu. Nie, to nie opis apartamentu dla milionera, lecz wyposażenia łazienki w ministerstwie Stefana Krajewskiego" – napisał portal Blask Online. Każdy widzi w członkostwie Polski w UE plusy na miarę własnych horyzontów. Jan Paweł II mówił o powrocie do cywilizacji Zachodu, którą współtworzyliśmy przez wieki, ekonomiści o braku ceł, artyści o współpracy z najpiękniejszymi muzeami. Bolszewik Czarzasty dostrzegł akurat kupę.

Wojciech Czuchnowski o koniach prezydenta Nawrockiego: „Pisaliśmy, że na terenie ponad 100-hektarowej posiadłości były nie tylko konie, ale też daniele, świnki wietnamskie itd. I że zwyczaj hodowania tam zwierząt (z których część swobodnie chodzi po lesie) zapoczątkował jeszcze PRL-owski premier, Piotr Jaroszewicz, który do Promnika wprowadził muflony". No to skoro Jaroszewicz za komuny zapoczątkował, to obecny prezydent jest usprawiedliwiony! A swoją drogą Czuchnowski przypomina Państwu mentalnie bardziej świnkę wietnamską czy muflona?

Tytuł w tygodniku „Polityka", byłym organie KC PZPR z siedzibą w Pałacu Kultury: „Polska Partia Trumpa. PiS i Nawrocki liczą na bratnią pomoc zza oceanu". Autor tekstu to Michał Danielewski (nie Muflonowski i nie Świnkowietnamski). Cokolwiek by mówić, na bratniej pomocy to „Polityka" się zna. Chyba wybiorę się do czytelni, by przypomnieć teksty na ten temat z czasów sowieckiej agresji na Czechosłowację z 1968 roku. Bardzo wielu idoli jakże inteligenckiej „Polityki" w bratnim masakrowaniu Czechów i Słowaków brało udział.

Na portalu tegoż tygodnika polecam wszystkim blog Ewy Siedleckiej, która taki oto kreśli scenariusz, gdy chodzi o Trybunał Konstytucyjny: „(…) pójście

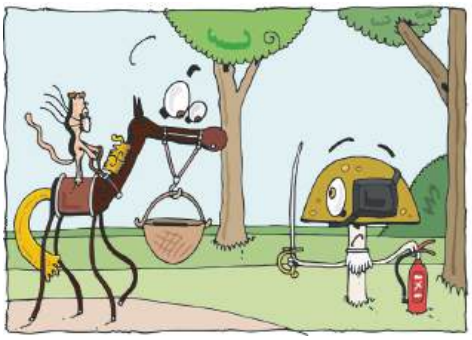

„Pisaliśmy, że na terenie ponad 100-hektarowej posiadłości były nie tylko konie, ale też daniele, świnki wietnamskie"
Wojciech Czuchnowski oskarżycielsko o zwierzętach prezydenta

Jest mi bliżej do Klaudii Jachiry niż do Jarosława Kaczyńskiego! No dobra, spokojnie, w jednej konkretnej sprawie.

GAZETA POLSKA

wtedy na wojnę ze wszystkimi, a to nie byłaby niezłomność, ale głupota. Tym bardziej, że następny może być wniosek o pociągnięciu prezesa Święczkowskiego do odpowiedzialności dyscyplinarnej, a wtedy sądzony będzie przez sędziów, którym uparcie i notorycznie utrudnia życie". O! O bardziej otwartą sugestię, że „sędziowie" będą kierować się zemstą, chyba trudno. Takich to powinno się wyrzucić z TK na zbity pysk – to dokładnie wynika z wpisu Siedleckiej.

Pudelek: „Aga Nowakowska, wokalistka bijącego rekordy popularności girlsbandu Modelki, od kilku tygodni wiernie towarzyszy zaledwie 18-letniemu skrzydłowemu FC Porto Oskarowi Pietuszewskiemu". Nic gorszego niż obecność na celebryckich salonach nie może się piłkarzowi przytrafić. Piłkarz powinien być blisko wartości wyznawanych przez kiboli, a nie celebrytów, a to jest odwrotność o 180 stopni. Robert Lewandowski nie został nigdy bohaterem świata kibicowskiego przez celebrytów swojej żony.

Jest mi bliżej do Klaudii Jachiry niż do Jarosława Kaczyńskiego! No dobra, spokojnie, w jednej konkretnej sprawie. Jakiej? Najpierw trochę historii. 29 listopada 1990 roku był tryumfem wolności. Sejm zniósł wprowadzony w stanie wojennym przez fanatycznego abstynenta Wojciecha Jaruzelskiego zakaz sprzedaży alkoholu przed godziną 13. Sztandar wolności niósł Shakin Dudi, czyli Ireneusz Dudek, który w piosence „Za dziesięć trzynasta" śpiewał: „Trzynasta wybiła – wstaje nowy dzień./ Ruszyła kolejka, wszystkim lżej./ Życie po trzynastej tu zaczyna się". Polacy powszechnie odebrali decyzję Sejmu jako zniesienie jednego z absurdów komunizmu. 8 października 2026 roku historia zatoczyła koło. Sejm podjął decyzję głupszą od zakazu Jaruzelskiego. O ile zakaz sprzedaży alkoholu do 13 można było jakoś tłumaczyć walką z zapijaniem kaca przed pracą, o tyle wprowadzony teraz przez Sejm zakaz sprzedaży alkoholu w nocy na terenie całej Polski jest czystym idiotyzmem. Mieszkańcy prawicowego Podkarpacia nie chcą takiego zakazu i praktycznie nie ma tam samorządowej prohibicji. No to Sejm im ją narzuci, ponad podziałami, bo posłom wyszło z badań, że to im się wyborczo opłaci. Patrzę na przepite fizjonomie posłów, z których niejeden pił tak hardcorowo, że już nie może (jak Czarzasty czy Szejna), i widzę, jak podnoszą łapę za prohibicją. Z niektórymi (ale z komuchami nie) miałem okazję pić w miejscach zakazanych, czyli publicznych. Nie ma granic hipokryzji, której nie dopuści się polityk, jeśli coś mu z badań wyjdzie.

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA; MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

Rzadko zgadzam się z Konfederacją, bo ja jestem rusofob, ale tu miała ona 100 proc. racji, głosując przeciw powyższej sprawie. Odnotujmy też nazwiska „sprawiedliwych" polityków PiS i Rozwoju Plus, którzy nie poddali się terroryzmowi alkofobów i zagłosowali przeciw. Z PiS postawili się Artur Szałabawka i Michał Jach. Z Rozwoju Plus m.in.: Krzysztof Szczucki, Paweł Jabłoński i Szymon Szynkowski vel Sęk. Piję ich zdrowie! Zdrowia Klaudii Jachiry i Roberta Dowhana z KO nie wypiję, ale uczciwość nakazuje mi ich niezgodę na hipokryzję odnotować.

Biznesmen Dowhan, były prezes klubu żużlowego Falubaz Zielona Góra, być może wziął trochę normalności od kiboli. Niedawno wykazał się też odwagą, pisząc w interpelacji poselskiej o systemie kaucyjnym: „Wstyd mi, że takie prawo stanowimy", „zrobiliśmy z ludzi śmieciarzy" oraz „czy nie możemy raz być dla ludzi, a nie zawsze przeciwko nim?". W czasach, gdy pisze się o alkotwittach, myślę, że nie była to alkointerpelacja, ale gdyby była, stanowiłaby potwierdzenie tez, jakie postawił genialny pisarz Józef Mackiewicz w świetnym artykule „Pochwała alkoholu".

Pojawił się nowy tomik wierszy Wincentego „Witka" Różańskiego „Odsłonięte karty", łobuza z Poznania, zmarłego w 2009 roku, którego poezja ma moc ratowania tego co ważne. Czytam wiersz „W roznieconym ogniu", w którym wspomina on swojego Ojca, powstańca wielkopolskiego: „jak mówi poeta/ między Posen a Poznań/ jest cholerna różnica/ na cmentarzu Górczyńskim/ groby powstańców/ Franciszek Ratajczak Cezary Różański/ (…) mój ojciec bez ręki leży/ na cmentarz/ ojcze gdzie ręka/ tam pod Babimostem/ ojcze gdzie jesteś/ nie powiem ci synu/ śmierć to tajemnica/ a życie jest czynem". Amen! **GP**

Mirosław **Andrzejewski**
{ RODZINA WACIAKÓW }

POLSKIE DZIECI NA CELOWNIKU MOSKWY

Grzegorz
Wierzchołowski
RED. NACZELNY NIEZALEŻNA.PL

JAK ROSYJSKIE SŁUŻBY INSPIRUJĄ MŁODZIEŻ DO PRZEMOCY

Brutalne ataki młodocianych nożowników w szkołach, fałszywe alarmy bombowe, fascynacja seryjnymi mordercami i mroczne internetowe „wyzwania"... Przestrzeń cyfrowa stała się dla Kremla nowym polem bitwy. Rosyjskie służby specjalne, wykorzystując popularne aplikacje i komunikatory, coraz skuteczniej zwodzą nastolatków w Polsce i Europie. Manipulując ich emocjami, oferując pieniądze lub bazując na poczuciu krzywdy, nakłaniają ich do aktów dywersji i przemocy. Precyzyjnie zaplanowana wojna hybrydowa – wyzyskująca istniejące przecież realnie problemy związane z wychowaniem dzieci i internetowymi patologiami – ma zdestabilizować polskie państwo od wewnątrz.

Początek października 2026 roku wstrząsnął polskim społeczeństwem. W środę 7 października w Ostrołęce 19-latek zaatakował nożem dziewięć osób, a w plecaku – jak się okazało – miał domowej roboty materiały wybuchowe. Szczęśliwie nikt nie zginął. Dzień później, w szkole podstawowej w Leszczydole-Nowinach, 15-latek śmiertelnie ranił nożem woźną oraz zaatakował dyrektora i nauczycielkę. Wszystko chciał rejestrować przy użyciu kamerki w telefonie, przymocowanej do kasku. Tego samego dnia zatrzymano w Sierpcu 17-latka, który planował podobny atak w swojej szkole.

Według naszych informacji policja natknęła się na poszlaki, że akcja może być w jakiś sposób koordynowana, a pojawiające się w mediach społecznościowych ostrzeżenia o nadchodzącym „krwawym piątku" – do dziś nie wiadomo, na ile realne – wywołały uzasadniony niepokój wśród rodziców w niektórych przypadkach przeradzający się w panikę. Ruszyła też fala próbujących zdobyć medialny rozgłos naśladowców zatrzymanych nastolatków. Tylko w piątek 9 października doszło do masowych zatrzymań szkolnej młodzieży w całym kraju. W Lublinie ujęto

MODUS OPERANDI

Rosjanie nie muszą tworzyć patologicznych społeczności zabójców od zera. Wystarczy, że infiltrują środowisko nastolatków, oferują młodocianym socjopatom wsparcie, kryptowaluty czy sprzęt – i umiejętnie kierunkują ich zbrodniczą energię.

FOT. ADOBE STOCK

m.in. 18-latka nawołującego do ataku maczetami oraz 16-latkę, która w sieci groziła uczniom, wymachując nożem w kominiarce. W Wielkopolsce zatrzymano pięciu nastolatków z nożami i maczetami. Na samym Mazowszu w ręce policji wpadło 11 nieletnich. Zatrzymania miały miejsce także m.in. na Podlasiu, Warmii i Mazurach. Zatrzymana młodzież publikowała w internecie filmy z groźbami, zdjęcia z ostrymi narzędziami i zapowiadała ataki na własne szkoły. Większość z nich tłumaczyła potem swoje postępowanie chęcią zrobienia „żartu" lub „głupotą".

Rzecz jasna nie ma twardych dowodów, że ataki z 7 i 8 października były zaplanowaną, inspirowaną przez czynniki zewnętrzne operacją – podobnie jak późniejsza lawina fałszywych gróźb i dezinformacja. Zarówno jednak poszlaki (czasowa zbieżność aktów przemocy, internetowa inspiracja do brutalnych działań), jak i doświadczenia ukraińskie wskazują, że jest to niestety prawdopodobny scenariusz.

Ukraina jako poligon

Wojna na Ukrainie to dla rosyjskich służb specjalnych gigantyczny poligon doświadczalny w obszarze wojny hybrydowej. To właśnie za naszą wschodnią granicą FSB i GRU z premedytacją testują techniki werbunku, w których narzędziem przestępczych działań stają się dzieci i młodzież. Wykorzystując naiwność, chęć łatwego zarobku czy problemy tożsamościowe Rosjanie poprzez komunikatory (głównie rosyjski Telegram) i media społecznościowe wciągają małoletnich w działania o charakterze sabotażowym, a nawet terrorystycznym.

Jedną z najbardziej wyrafinowanych metod jest tzw. gamifikacja („grywalizacja") mająca skłaniać młodzież do brutalnych działań. Już w maju 2022 roku Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) informowała o wykryciu rosyjskiej aplikacji mobilnej, która pod pozorem wirtualnej zabawy nakłaniała dzieci do fotografowania infrastruktury wojskowej i krytycznej. Użytkownicy poszukiwali w terenie wirtualnych „skrzynek" z nagrodami, nieświadomie przesyłając wrogowi geolokalizację strategicznych obiektów. Z kolei w grudniu 2024 roku w Charkowie rozbito grupy zrzeszające 15- i 16-latków, którzy pod płaszczykiem uczestnictwa w internetowym „queście" prowadzili rozpoznanie stanowisk ukraińskiej obrony przeciwlotniczej oraz podpalali transformatory.

Rosyjskie służby potrafią również instrumentalnie wykorzystywać naturalne dla młodzieży tendencje do buntu i tworzenia subkultur. Jaskrawym tego przykładem jest zjawisko „PMC Redan" z przełomu lutego i marca 2023 roku. Ta inspirowana japońską animacją subkultura nagle zaczęła organizować masowe ustawki i bójki nastolatków w ukraińskich centrach handlowych, m.in. w Kijowie i Charkowie. Ukraińska policja zablokowała wówczas kilkanaście kanałów na Telegramie i wezwała na komisariaty setki młodych ludzi.

Ale są i znacznie bardziej przerażające przykłady. Właśnie w ostatni piątek – gdy w Polsce rodzice drżeli o bezpieczeństwo swoich dzieci – policja z Równego (północno-zachodnia Ukraina) poinformowała, że zaledwie 14-letnia dziewczyna, działając na bezpośrednie zlecenie FSB, zamordowała 27-letniego żołnierza ukraińskich sił zbrojnych. Nastolatka najpierw otruła swoją ofiarę alkoholem z metadonem, a następnie udusiła mężczyznę, transmitując całą zbrodnię na żywo swojemu rosyjskiemu oficerowi prowadzącemu. Znajomość dziewczynki z Rosjaninem rozpoczęła się w wirtualnym świecie. Młoda mieszkanka Równego nawiązała kontakt z obywatelem Federacji Rosyjskiej za pośrednictwem komunikatora Telegram. Morderstwo nie było pierwszym przestępstwem, jakiego nastolatka dopuściła się na rzecz wroga. SBU ustaliła, że dziewczyna już wcześniej współpracowała z rosyjskimi służbami, angażując się w akty sabotażu na terenie swojego miasta. 11 listopada ubiegłego roku 14-latka podpaliła w Równem wojskowy samochód.

Dla rosyjskich mocodawców późniejsze losy, a nawet życie zwerbowanych ukraińskich dzieci nie ma żadnego znaczenia. W marcu 2025 roku w Iwano-Frankiwsku zginął 17-latek, a jego 15-letni kolega został ciężko ranny; w ich rękach przedwcześnie eksplodowały ładunki wybuchowe ukryte w termosach. Instrukcje i obietnicę zapłaty za zamach w centrum miasta chłopcy otrzymali od rosyjskich internetowych „opiekunów". Z kolei w kwietniu 2026 roku SBU udaremniła krwawe zamachy w szkołach w obwodach kirowohradzkim i odeskim. Poprzez kanały na Telegramie Rosjanie zwerbowali nastolatków, manipulując ich poczuciem wyobcowania. Jeden z 15-latków otrzymał zadanie skonstruowania bomby, zdetonowania jej w szkole i zabicia ocalałych rówieśników z myśliwskiego karabinu dziadka. Rosyjscy oficerowie prowadzący naciskali, by po masakrze uczeń natychmiast odebrał sobie życie, co miało zatrzeć ślady operacji.

Płatne zlecenia i dezinformacja

Zjawisko internetowego werbunku młodzieży do działań na rzecz Rosji w Polsce nie jest jedynie zagrożeniem teoretycznym.

Internetowe ostrzeżenia o nadchodzącym „krwawym piątku" wzbudziły panikę w wielu szkołach.

Tylko 9 października doszło do masowych zatrzymań szkolnej młodzieży w całym kraju.

Najdobitniej świadczy o tym rozbicie w 2023 roku siatki szpiegowsko-dywersyjnej działającej na zlecenie FSB. Jak wynikało z oficjalnych informacji, polecenia i instrukcje przekazywano zdalnie, a wynagrodzenia wypłacano w kryptowalutach. Wykonawcy dokumentowali swoje działania za pomocą zdjęć i nagrań. Warto zaznaczyć, że najmłodszy zwerbowany do tej siatki chłopak miał zaledwie 16 lat. Zlecane zadania były zróżnicowane – od rozpoznania infrastruktury i działań propagandowych, po przygotowania do fizycznej dywersji i przemocy wobec ludzi.

Problem ten wyraźnie dostrzegają także inne państwa regionu, doświadczające narastającej agresji hybrydowej. 9 maja 2024 roku doszło do podpalenia sklepu Ikea w Wilnie. Litewska prokuratura ustaliła, że była to operacja transgraniczna – uzgodnienia oraz przekazanie nagrody finansowej miały miejsce w Polsce, a bezpośredni wykonawca w chwili czynu był niepełnoletni. Z kolei łotewska służba bezpieczeństwa (VDD) w raporcie za 2025 rok odnotowała, że wykonawcami zlecanych tam z zewnątrz „operacji psychologicznych" (ulotki, napisy i szablony z hasłami prorosyjskimi, akty o charakterze chuligańskim) bardzo często byli młodzi ludzie i małoletni. Rosyjscy oficerowie wywiadu cynicznie wykorzystywali trudną sytuację społeczną tych osób, oferując atrakcyjny i łatwy zarobek.

Niedawno w Niemczech, w powiecie Rems-Murr, zatrzymano m.in. 14- i 15-latka w związku z podejrzeniem planowania zabójstwa innego nastolatka. Sprawa jest łączona z przemocową grupą online „Eterssa" – co jest o tyle ciekawe, że ukraińska SBU ujawniła, iż rosyjskie służby próbowały przez „Eterssę" werbować nieletnich (za pośrednictwem Telegrama) do przeprowadzania ataków na szkoły na Ukrainie.

Inny masowy mechanizm uderzający w młodzież i oświatę zastosowano we wrześniu 2024 roku w Czechach i na Słowacji. Wtedy to setki szkół zostały zasypane seryjnymi groźbami bombowymi. Czeski kontrwywiad (BIS) poinformował o „wyraźnym rosyjskim śladzie", wiążąc masowe groźby z rosyjskojęzycznym środowiskiem w internecie oraz towarzyszącymi im działaniami dezinformacyjnymi. Wydarzenia te dowodzą, że operacja wymierzona w szkoły wcale nie musi polegać na inspirowaniu fizycznego ataku. Celowe wywoływanie fałszywych alarmów skutecznie zakłóca naukę, obciąża służby i tworzy niebezpieczne poczucie powszechnej bezradności, z czego włodarze na Kremlu doskonale zdają sobie sprawę.

Złowrogi cień Państwa Islamskiego

Jeśli chodzi o zdalne popychanie dzieci do przemocy, to Moskwa czerpie pełnymi garściami z przerażających, ale niezwykle skutecznych praktyk terrorystów z Państwa Islamskiego (ISIS). To właśnie islamscy ekstremiści jako pierwsi (na masową skalę) udowodnili, że przy pomocy komunikatorów internetowych i mediów społecznościowych można zamienić wyobcowanego, przesiąkniętego kultem przemocy nastolatka w bezwzględnego mordercę.

FOT. MATEUSZ KOTOWICZ/ARTSERVICE/FORUM, POLICJA.GOV.PL

Badacze z amerykańskiego Combating Terrorism Center w kontekście dżihadystów użyli na określenie tego procederu sformułowania „virtual entrepreneurs". Chodzi o osoby, które przez internet wyszukiwały potencjalnych sprawców, po czym budowały z nimi relację i zachęcały ich do zbrodniczego działania. Spektakularnym i tragicznym przykładem takich działań była aktywność Rachida Kassima – w samym tylko okresie od lipca do września 2016 roku na terenie Francji odnotowano osiem przypadków, w których nastoletni uczestnicy spisków terrorystycznych znajdowali się pod bezpośrednim, zdalnym wpływem tego dżihadysty przebywającego w Syrii. Problem ten przybrał w tamtym czasie ogromną skalę – pomiędzy wrześniem 2014 roku a grudniem 2016 roku w państwach zachodnich doliczono się 34 spisków terrorystycznych kierowanych lub inspirowanych przez ISIS, w które zaangażowanych było łącznie 44 nastolatków, a nawet dzieci.

Zjawisko to dotarło również do Polski. W opublikowanym w tym roku raporcie ABW zaznaczono, że niezwykle „niepokojącym trendem jest wzrost zainteresowania propagandą terrorystyczną (np. Państwa Islamskiego) wśród bardzo młodych osób". W czerwcu 2023 roku ABW ujęła 18-latka, a komunikat służb mówił wyraźnie o jego kontaktach z osobami podającymi się za przedstawicieli ISIS. Podobnie było w maju 2025 roku, gdy funkcjonariusze aresztowali 17-letniego mieszkańca województwa podkarpackiego, który – jak podało ABW – „przygotowywał zamach w celu wsparcia polityki organizacji radykalnych dżihadystów Państwa Islamskiego ISIS".

Analitycy zajmujący się bezpieczeństwem dostrzegają łudzące podobieństwo między metodami ISIS a strategią wywiadu rosyjskiego. Obie strony wykorzystują ogłoszenia, pośredników, prywatne kontakty online, a efektem ich działań ma być przemoc, zastraszenie i namacalny efekt propagandowy, co docelowo ma osłabić przeciwnika. Najważniejsza różnica tkwi w świadomości samego sprawcy. Młody radykał islamski z reguły wie, że działa dla ISIS. Tymczasem nastolatek podejmujący się „wyzwania" czy biorący udział w podejrzanej grze na Telegramie może w ogóle nie wiedzieć, że końcowym zleceniodawcą jest państwo rosyjskie.

Nie ma twardych dowodów, że ataki z 7 i 8 października były zaplanowaną, inspirowaną przez czynniki zewnętrzne, operacją rosyjskich służb – podobnie jak późniejsza lawina fałszywych gróźb i dezinformacja. Jednak czasowa zbieżność aktów przemocy, internetowa inspiracja do brutalnych działań oraz doświadczenia ukraińskie wskazują, że jest to prawdopodobny scenariusz.

Algorytmy zbrodni w służbie Moskwy

Zjawisko inspirowania młodzieży przez internet do popełniania aktów przemocy nie jest nowe. Wystarczy wspomnieć internetowe „wyzwanie" znane jako „Niebieski wieloryb" („Blue Whale"), które wywodziło się z rosyjskojęzycznego portalu VKontakte i którego skutkiem było wiele samobójstw nieletnich. Dramatyczne wydarzenia z Ostrołęki każą zwrócić uwagę na zjawisko tzw. Dark TCC (True Crime Community). To toksyczna bańka w mediach społecznościowych – chociażby na TikToku – gdzie nastolatki z seryjnych morderców i masowych zamachowców robią idoli, naśladując ich stylizacje czy nosząc specyficzną odzież.

Krok dalej idą brutalne międzynarodowe siatki, takie jak Maniac Murder Cult (MMC) czy powiązana z nimi struktura opisywana przez analityków we wrześniu 2026 roku jako „The Alliance". Opierają się one na fascynacji zbrodnią i okrucieństwem. Jedna z grup należących do „Alliance" – tzw. Grupa A – tworzyła w ostatnich latach treści skierowane do wyalienowanych i prześladowanych uczniów w Europie i USA, przedstawiając przemoc jako drogę do zemsty i uznania. „Co istotne, grupa twierdziła, że zapewni rekrutom pieniądze, sprzęt, odzież oraz pomoc w planowaniu ataków. Jednocześnie zachęcała zwolenników do wykazania się poprzez podpalenia, akty wandalizmu i inne czyny popełniane w jej imieniu. Niepokojące jest to, że Grupa A wykazywała jawną obsesję na punkcie przemocy w szkołach" – pisze w raporcie międzynarodowy think tank Institute for Strategic Dialogue. A dalej czytamy: „ISD zidentyfikowało szereg wskaźników sugerujących możliwe wsparcie dla »The Alliance« ze strony podmiotów powiązanych z rosyjskim państwem. Obejmują one zachęty finansowe do stosowania przemocy, zlecanie zadań za pośrednictwem osób trzecich, zaawansowaną infrastrukturę techniczną oraz skoordynowaną propagandę. Odzwierciedla to sprawdzone rosyjskie metody rekrutacji »agentów jednorazowego użytku« do prowadzenia działań z użyciem przemocy za granicą".

Ale Rosjanie wcale nie muszą tworzyć takich patologicznych społeczności od zera. Wystarczy, że je infiltrują, oferują młodocianym socjopatom wsparcie, kryptowaluty czy sprzęt – i umiejętnie kierunkują ich zbrodniczą energię. Istotnym elementem w motywowaniu potencjalnych kandydatów do zbrodni staje się stopniowanie wyzwań – najpierw na przykład stawia się warunek obejrzenia godziny drastycznych nagrań (zwracał na to uwagę dziennikarz Republiki Mateusz Łoń, badając temat powiązań napastnika z Ostrołęki), potem przesłania wideo z aktu wandalizmu, pobicia czy podpalenia, wreszcie – za zadanie stawia się odebranie komuś życia. **GP**

Piotr
Lisiewicz
Z-CA RED. NACZELNEGO „GP"

KOSINIAK-KAMYSZ, CZYLI ZERO ZŁUDZEŃ W SPRAWIE SOWIECIARZA

PSL NIE JEST PARTIĄ OBROTOWĄ

To nie wydarzyło się nigdy w III RP. PSL świetnie czuło się w koalicji z SLD z uwagi na postkomunistyczny rodowód liderów obu ugrupowań. Jego członkowie współtworzyli politykę resetu w czasach rządów PO i PSL z lat 2007–2015, czasem w gorliwości przewyższając w tym Tuska. Obecnie Kosiniak-Kamysz patronuje powrotowi do SKW reseciarzy powiązanych z Rosją. PSL nie jest partią obrotową, nigdy nie weszło w koalicję z obozem niepodległościowym, a gdy jedyny raz zagłosowało za rządem Jana Olszewskiego, to potem wbiło mu nóż w plecy w czasie „nocnej zmiany".

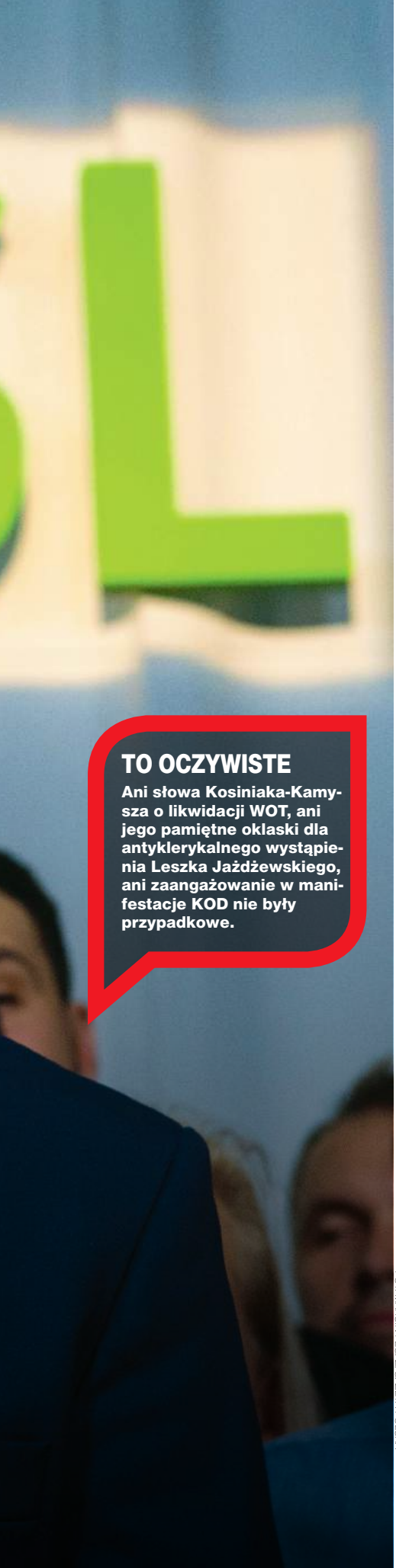

FOT. MARCIN PEGAZ/GAZETA POLSKA

TO OCZYWISTE

Ani słowa Kosiniaka-Kamysza o likwidacji WOT, ani jego pamiętne oklaski dla antyklerykalnego wystąpienia Leszka Jażdżewskiego, ani zaangażowanie w manifestacje KOD nie były przypadkowe.

Złudzenia co do tego, że PSL może zmienić koalicjanta, mają niezły rozmach, bo, jak ujawniła Telewizja Republika, sięgnęły Białego Domu – sugerował to Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi prezydent Donald Trump. Premier Mateusz Morawiecki wspomniał w ubiegłym tygodniu, że jego ugrupowanie prowadzi rozmowy z politykami obecnej koalicji rządzącej. Mówił, że chce obronić Polskę przed Tuskiem i Braunem. O PSL mowy nie było. Nie są to pierwsze takie wieści. Już w grudniu 2025 roku portal Onet.pl sugerował, że Morawiecki wysyła „emisariuszy" do PSL. 1 kwietnia 2026 roku w Jasionce zorganizowana została debata pomiędzy Morawieckim a Kosiniakiem-Kamyszem.

Kosiniak-Kamysz wicepremierem i pierwsza decyzja: Smoleńsk

Złudzenia, że PSL jest po prostu partią ludową, która może zmieniać sojuszników, nie mają żadnych racjonalnych podstaw. I Kosiniak-Kamysz zrobił wiele, by wszystkich ich pozbawić. Pierwszą jego decyzją jako wicepremiera i szefa MON było zlikwidowanie 16 grudnia 2023 roku podkomisji smoleńskiej. To było jasne zademonstrowanie wobec Moskwy, że porządek panuje w Warszawie i jej wersja wydarzeń w tej sprawie obowiązuje nad Wisłą. Nawet mimo że współpracownik Putina Dmitrij Rogozin de facto przyznał, że Smoleńsk był rosyjską zbrodnią, pisząc do Jarosława Kaczyńskiego: „Przyjedź do Smoleńska". Podkomisja smoleńska została zlikwidowana, natomiast w MON Kosiniaka-Kamysza powołano zespół do spraw… jej rozliczania. Liczniejszy od owej podkomisji.

Dalej przywracanie rosyjskich wpływów już poszło. Profesor Sławomir Cenckiewicz pisał o tym niedawno: „Większego szkodnika jak Pan @KosiniakKamysz w MON nie było (pewnie poza tym całym Stanisławem Dobrzańskim z PSL – zresztą agentem bezpieki PRL) – Stróżyk, Dusza, Pacek, Lichocki czy Klin to symbole Pana rządów!". Mimo to niektórzy na prawicy nie krytykują go tak zdecydowanie jak Tuska. Cenckiewicz nie ma w tej sprawie złudzeń, dlatego napisał do Kosiniaka-Kamysza: „Pańskie umizgi do prawicy też były i są fikcją – przejrzałem to z bliska! Jest Pan narzędziem Tuska i działa Pan z nim w porozumieniu, głosując za demontażem ustroju, konstytucji i praworządności w Polsce!". Wspomniał też o rzadko przypominanej haniebnej roli PSL w czasie polsko-rosyjskiego resetu: „Przywódca partii, która przez swoją politykę energetyczną w czasach resetu uzależniała nas od gazu rosyjskiego, nie będzie mnie uczył patriotyzmu!". Przypomnijmy, że umowa gazowa, którą chciał zawrzeć Waldemar Pawlak z PSL, miała uzależnić Polskę od zakupu gazu do roku 2037!

Najbardziej czerwony szef PSL po 1989 roku

„Trzeba zlikwidować Wojska Obrony Terytorialnej, bo one nie służą naszemu społeczeństwu, nie widzimy efektów ich działań" – ta wypowiedź Kosiniaka-Kamysza z 2018 roku nie była przypadkowa. Wynikała z faktu, że reprezentuje on postkomunistyczne układy w wojsku, dla których pojawienie się niekontrolowanych przez nie WOT było największym złem. Jako szef MON po 13 grudnia 2023 roku lider PSL musiał wycofać się z tych słów, bo Polacy widzieli świetną rolę, jaką WOT odegrały podczas powodzi, pandemii czy wojny hybrydowej na granicy. Ani słowa Kosiniaka-Kamysza o likwidacji WOT, ani jego pamiętne oklaski dla antyklerykalnego wystąpienia Leszka Jażdżewskiego, ani zaangażowanie w manifestacje KOD nie były przypadkowe.

Jak mówi Wieńczysław Nowacki, ludowy opozycjonista z czasów komuny, człowiek, który o ruchu ludowym wie wszystko, Kosiniak-Kamysz jest NAJBARDZIEJ CZERWONYM prezesem PSL po 1989 roku. Jego postkomunistyczne związki są silniejsze niż Waldemara Pawlaka, Jarosława Kalinowskiego czy Janusza Piechocińskiego. Dlaczego? Wynika to także z powiązań rodzinnych. Jego ojciec Andrzej Kosiniak-Kamysz, wiceminister zdrowia i główny inspektor sanitarny w komunistycznym rządzie Mieczysława Rakowskiego, do ZSL wstąpił w pamiętnym 1968 roku. Władysław Kosiniak-Kamysz urodził się w Krakowie i podobnie jak ojciec został lekarzem. – Oni nigdy byli chłopami. Na tym terenie, także

w ramach ZSL, aktywni byli działacze „linii witosowej", współpracujący z solidarnościowym ruchem chłopskim. Symbolem prawdziwego ruchu ludowego był w Krakowie Edward Kaleta, uważany za kontynuatora linii Wincentego Witosa i Stanisława Mierzwy, prześladowanego w latach stalinowskich. Byli działacze ZSL, którzy potajemnie wspierali prawdziwy ruch chłopski, i należy im się za to ogromne uznanie – mówi Wieńczysław Nowacki, który po aresztowaniu w 1983 roku podjął w więzieniu głodówkę i oprawcy dokarmiając go siłą, uszkodzili mu przełyk. Rozpracowywany był przez SB pod kryptonimem „Niezłomny". – Andrzej Kosiniak-Kamysz był przeciwieństwem tej linii, zawsze wzorowo prawomyślny, zawsze w zgodzie z linią PZPR – dodaje.

Postkomuna w czystym wydaniu

Warto więc podkreślić, że jeszcze „ciekawszy" niż ojciec życiorys ma stryj lidera PSL, Zenon Kosiniak-Kamysz. Ukończył on studia w Dreźnie w NRD. Jest absolwentem Uniwersytetu Technicznego Wydziału Organizacji i Zarządzania w Dreźnie. Od 1982 roku pracował jako specjalista w Centrali Handlu Zagranicznego Budimex oddział Kraków. W latach 1984–1986 był zastępcą szefa kontraktu Krakowskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego Krakbud w Lipsku w NRD. Od 1986 do grudnia 1989 roku był wicedyrektorem Oddziału Polskiej Izby Handlu Zagranicznego w Krakowie.

Z takim życiorysem w sam raz nadawał się w III RP do kariery m.in. w dyplomacji. Za rządów Tadeusz Mazowieckiego w 1990 roku został mianowany pierwszym sekretarzem ambasady RP w Budapeszcie. Za rządów koalicji SLD–PSL, czyli premierów Pawlaka, Oleksego i Cimoszewicza, pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych oraz Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, pełniąc tam funkcję dyrektora departamentu. Kolejny awans czekał go za rządów premiera Leszka Millera czy znów koalicji SLD i PSL – od 2001 do 2003 roku był wiceministrem spraw wewnętrznych, czyli zastępcą Krzysztofa Janika.

Złudzenia, że PSL jest po prostu partią ludową, która może zmieniać sojuszników, nie mają żadnych racjonalnych podstaw. I Kosiniak-Kamysz zrobił wiele, by wszystkich ich pozbawić.

Współpraca z Kim Ir Senem, Ceausescu i Ho Chi Minhem

Potocznie mówi się, że PSL to kontynuacja ZSL czasów komunizmu. To prawda, ale nie cała, bo z racji pokoleniowych jest jeszcze gorzej. Czołówka starszych działaczy PSL to dawni aparatczycy Związku Młodzieży Wiejskiej z czasów reżimu Jaruzelskiego. A to nie była, jak się potocznie myśli, młodzieżówka ZSL, lecz organizacja skupiająca młodych działaczy PZPR i ZSL. Kolejni szefowie ZMW wywodzili się właśnie z PZPR. W aparacie tej organizacji działali Waldemar Pawlak, Jarosław Kalinowski, Janusz Piechociński czy Jan Bury.

Była ona organizacją partnerską sowieckiego Komsomołu, przyszli działacze PSL jeździli tak jak Włodzimierz Czarzasty do Związku Sowieckiego. Organ ZMW, pismo „Zarzewie", pisał o tym 15 marca 1987 roku: „Najważniejszym partnerem ZMW jest Wszechzwiązkowy Leninowski Komunistyczny Związek Młodzieży. Współpraca ta ciągle rozszerza się (...) obejmuje wymiany grup studyjnych, wspólne seminaria, wymianę doświadczeń z zakresu działalności organizacyjnej w środowisku wiejskim, szkolenia dla aktywu. Ważne miejsce w kontaktach ZMW zajmuje Dymitrowski Komunistyczny Związek Młodzieży". Jak czytamy w „Zarzewiu", ZMW współpracowało nie tylko z Komsomołem czy bratnimi organizacjami z NRD Honeckera czy Rumunii Ceausescu, lecz także ze Związkiem Młodych Komunistów Kuby, Rewolucyjnym Związkiem Młodzieży Mongolii, Związkiem Socjalistycznej Młodzieży Pracującej Korei i wietnamskim Związkiem Młodzieży Komunistycznej im. Ho Chi Minha.

Świetne kontakty w Moskwie

ZMW znane było ze znakomitych kontaktów w ZSRS. Dochodziło do zaskakujących sytuacji, gdy o Agrotechnice – pionierskiej spółce nomenklaturowej ZMW – źle pisano w prasie PRL, zaś wychwalały ją „Izwiestia" czy „Komsomolska Prawda". Klimat organizacji najlepiej oddają relacjonowane na łamach „Zarzewia" wizyty i szkolenia aktywu ZMW w ZSRS. „Riazań powitał nas bardzo uroczyście i serdecznie. Na Dworcu Wschodnim zebrali się licznie riazańscy komsomolcy. Niech żyje niezłomna radziecko-polska przyjaźń – głosił w języku polskim napis na ogromnym transparencie. Dziewczęta w ludowych rosyjskich strojach wręczyły kierownictwu naszej grupy bochen chleba" – relacjonował Mieczysław Alaba.

Po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku wiele organizacji zdelegalizowano. Ale nie ZMW. Jej lider, tow. Waldemar Świrgoń z PZPR, tłumaczył 11 kwietnia 1982 roku na łamach wznowionego „Zarzewia", że ZMW „powstawał po to, by naprawiać politykę państwa wobec wsi, a nie po to, by walczyć z państwem. Chyba dlatego ZMW jako jedyna organizacja powstała po sierpniu 1980 roku nie została ani zawieszona, ani rozwiązana po wprowadzeniu stanu wojennego". Stan wojenny był nie tylko czasem konsolidacji ideologicznej ZMW. Roku 1982 sięgają swymi korzeniami interesy ludzi z biznesowego imperium obecnego PSL. Transparenty Agrotechniki niesiono w 1-majowych pochodach.

Kolejni liderzy ZSL byli szefami Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Zapewne takim zostałby też „młody" Kosiniak-Kamysz, gdyby komunizm nie upadł, chociaż na cztery łapy. Gdy dawne ZSL bało się, że zniknie ze sceny politycznej w 1990 roku, wybrało na swojego kandydata na prezydenta Romana Bartoszcze. Gdy tylko przestał być on potrzebny, został brutalnie usunięty. Cała historia PSL w III RP pokazuje, że partia pozostaje postkomunistycznym bastionem. Możliwe są pojedyncze transfery, jak przejście do PiS blisko 20 lat temu przez Janusza Wojciechowskiego i Zbigniewa Kuźmiuka. Ale postkomunistyczny beton w PSL niezmiennie trwa. **GP**

KUP TERAZ

Kup prenumeratę **e-wydania** Gazety Polskiej i czytaj najważniejsze teksty wcześniej niż inni!

Dziś niezależne dziennikarstwo to placówka frontowa. W świecie zdominowanym przez polityczne naciski, **Twoja prenumerata** to nie tylko dostęp do prawdy – **to realne wsparcie** dla redakcji, która nie boi się zadawać trudnych pytań.

Dlaczego warto wybrać wersję cyfrową?

Szybkość: Czytasz wcześniej niż inni.
Wygoda: Całe archiwum w Twoim komputerze, telefonie i tablecie.
Solidarność: Każda subskrypcja to „cegiełka" na rzecz wolnego słowa.

JAK KUPIĆ PRENUMERATĘ W 60 SEKUND

1. Wejdź na: **prenumerata.swsmedia.pl**
2. Wybierz pakiet **Gazety Polskiej.**
3. Opłać (BLIK, karta, przelew) **i czytaj natychmiast!**

TWOJE WSPARCIE MA ZNACZENIE

GAZETA POLSKA

POLSKA NA ZERO Z UNIĄ.

W nowym budżecie wpłacimy tyle, ile dostaniemy

Jacek **Liziniewicz**

UE TNIE WYDATKI

Debata nad kolejną perspektywą finansową Unii Europejskiej na lata 2028–2034 wchodzi w kluczową fazę. Wszystko wskazuje na to, że Polska będzie jednym z największych przegranych przygotowanego przez prawą rękę Donalda Tuska budżetu. Kończą się czasy, gdy nasz kraj był olbrzymim beneficjentem funduszy. W kolejnej siedmiolatce najprawdopodobniej w różnej formie wpłacimy do UE tyle samo, ile z niej otrzymamy.

15 i 16 października odbędzie się szczyt Rady Europejskiej. To jedna z ostatnich okazji, aby liderzy państw europejskich porozmawiali o kolejnej perspektywie finansowej Unii. W marzeniach eurokratów 27 państw UE ma się dogadać jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Urzędnicy UE będą dążyć za wszelką cenę do tego, aby zamknąć negocjacje jeszcze przed początkiem 2027 roku, gdy na kontynencie ruszy wiele kluczowych kampanii wyborczych. Sytuacja Wspólnoty nie jest najlepsza, co w swoim sprawozdaniu rocznym zaprezentowanym w ubiegłym tygodniu opisał Europejski Trybunał Obrachunkowy. Łączne zadłużenie UE wzrosło w ubiegłym roku o ponad 20 proc., do 738,9 mld euro, i może sięgnąć 1 bln euro do 2027 roku. „Bez porozumienia w sprawie nowych dochodów budżet europejski może wykazać znaczący deficyt. Będzie to wymagało podjęcia trudnych decyzji, takich jak zmiana wkładów państw członkowskich w górę oraz europejskich ambicji w dół" – ostrzegł Europejski Trybunał Obrachunkowy.

Podatki dociążą Polskę

Dlatego Unia Europejska przedstawiła już pięć mechanizmów, które będą umożliwiać otrzymywanie dodatkowych pieniędzy. Po pierwsze, Komisja Europejska zaproponowała wyższy udział w ETS. 30 proc. wpływów z aukcji trafiałoby teraz do Brukseli. Miałoby to dawać około 9,6 mld euro rocznie.

FOT. ADOBE STOCK

NA KREDYT

Łączne zadłużenie UE wzrosło w ubiegłym roku o ponad 20 proc., do 738,9 mld euro, i może sięgnąć 1 bln euro do 2027 roku.

Urzędnicy UE będą dążyć za wszelką cenę do tego, aby zamknąć negocjacje w sprawie budżetu jeszcze przed początkiem 2027 roku, gdy na kontynencie ruszy wiele kluczowych kampanii wyborczych.

Dodatkowo KE chce położyć rękę na przychodach z cła klimatycznego. Tutaj poziom daniny miałby wynieść 1,4 mld euro. Następnie Wspólnota zamierza nałożyć opłatę od niezebranych e-odpadów. Mielibyśmy płacić 2 euro od każdego kilograma elektrośmieci, co dałoby UE przychód 15 mld euro. Do budżetu Unii miałyby też trafiać w dużej części zyski z akcyzy za tytoń i wyroby pokrewne (dodatkowe 11 mld euro). W końcu dociążone miałyby być też duże korporacje. Jak wyliczają jednak politycy Prawa i Sprawiedliwości, takie podatki będą przede wszystkim uderzać w nasz kraj. Trzy z nich są bowiem klasycznymi podatkami ekologicznymi. – Obciążenia z tytułu podatków przypadające na Polskę są prognozowane na około 6 mld euro, a więc ponad 13 proc. całości szacowanych wpływów, podczas gdy składka zależna stanowi ponad 5 proc. całości wpływów ze składki wszystkich 27 krajów członkowskich – twierdzi Zbigniew Kuźmiuk, poseł Prawa i Sprawiedliwości. Jego zdaniem, jeżeli zsumujemy polskie składki i dochody podatkowe, jakie będziemy musieli zapłacić, da to kwotę około 120 mld euro w siedem lat. Tymczasem środki, które w tym czasie otrzymamy z Unii Europejskiej, będą wynosiły 123 mld euro. – Praktycznie więc już w tym wypadku zaczynamy wychodzić na zero – mówi nam Kuźmiuk. Będzie więc dochodzić do absurdalnej sytuacji, w której zamiast gospodarować własnymi pieniędzmi – 120 mld euro – będziemy je wysyłali do Brukseli, która następnie będzie nam mówiła, na co mamy je wydać i kontrolować ich wydatkowanie. Co więcej, całe fundusze będą objęte mechanizmem warunkowości. To oznacza, że w wypadku naruszenia praworządności Bruksela może dowolnie wstrzymać wypłatę środków. Z takim przypadkiem Polska miała już do czynienia w 2023 roku, gdy Bruksela nie chciała wypłacić pieniędzy z KPO rządowi PiS-u. Środki natychmiast odblokowano po wyborach, gdy Polacy postawili na rząd Donalda Tuska.

Cięcia w rolnictwie

Niestety nie ma dobrych wiadomości dla polskich rolników. W ubiegłym tygodniu stan negocjacji omawiała prezydencka Rada Rolnictwa i Obszarów Wiejskich. – To, co leży na stole, to absolutny dramat – mówi nam Krzysztof Ciecióra. – Donald Tusk obiecywał 50 mld euro dla polskiej wsi. Krajewski później zbijał tę kwotę na 34 mld euro. Okazuje się, że stanęło na 24,6 mld euro na najbliższe siedem lat. Porównując to do budżetu, który my wynegocjowaliśmy, czyli 31 mld euro na pięć lat, to jest mniej pieniędzy o 20 proc. – uzupełnia Ciecióra. Jak dodaje, nie będzie tzw. II filaru, czyli środków finansowych przekazywanych na inwestycje w obszary wiejskie. – Na dzisiaj wszystko wskazuje na to, że po wejściu tej perspektywy finansowej w życie minister rolnictwa stanie się jedynie księgowym, który będzie przekazywał resztki dopłat, jakie pozostały w budżecie – mówi Ciecióra. Jego zdaniem zderzając to z innymi kierunkami polityki Unii, oznacza to, że UE będzie wygaszać rolnictwo na Starym Kontynencie. – Pomoc rolnikom przejmą poszczególne kraje. Takie programy uruchamia już Francja. Wspólna Polityka Rolna się kończy. Teraz nastanie czas państw, które będą musiały pokazać determinację, czy chcą utrzymać rolnictwo – dowodzi Krzysztof Ciecióra. Co ważne jednak, temat Wspólnej Polityki Rolnej praktycznie nie istnieje w sferach rządowych. Nie mamy żadnej strategii, jak ochronić interes polskich farmerów.

Dzieło Serafina

Sprawa jest dla Polski gardłowa. Ale wszystko wskazuje na to, że rząd nie będzie specjalnie kruszył kopii. Architektem fatalnego budżetu jest przecież Piotr Serafin, prawa ręka Donalda Tuska, gdy ten był przewodniczącym Rady Europejskiej. Oczywiście nasz kraj jest tylko jednym z 27, które muszą się zgodzić na nowy budżet. Na dzisiaj 17 krajów sprzeciwia się cięciom wydatków. Jest też tzw. grupa skąpców, która najchętniej jeszcze bardziej zaciskałaby pasa. Sytuacja nie jest więc stabilna. – Dla Polski najlepiej byłoby, gdyby ten budżet przepadł i obowiązywałoby prowizorium wyliczane w oparciu o ciągle aktualny budżet UE. Obecne rozwiązania są znacznie korzystniejsze dla naszego kraju – przekonuje Kuźmiuk. Wszystko zacznie powoli rozstrzygać się już w tym tygodniu. **GP**

ROSYJSKI CIEŃ
nad polskim „Dzikiem"

PRODUKCJA W FINLANDII I ESTONII, NIEMIECKIE CERTYFIKATY I ROSYJSKA MYŚL TECHNICZNA

Fińska firma, należąca do obywateli Federacji Rosyjskiej, jest producentem sprzętu użytkowanego w Polsce na siłowniach plenerowych działających pod znaną marką kojarzoną ze zdrowym trybem życia. Dyrektorem zarządzającym jest tam Ian Markelov. To syn właściciela rosyjskiego przedsiębiorstwa MB Barbell, które przekazało produkowany sprzęt na okupowane przez Rosję tereny Ukrainy, m.in. do obwodu zaporoskiego oraz Ługańskiej i Donieckiej Republiki Ludowej.

FOT. MOS.RU

Piotr **Nisztor**

Rosnąca moda na zdrowy tryb życia, w tym ćwiczenia fizyczne, spowodowała, że od kilku lat w całym kraju głównie samorządy – ze środków własnych, dotacji unijnych czy budżetów obywatelskich – zaczęły finansować tworzenie siłowni plenerowych. Największym zainteresowaniem cieszą się te najbardziej innowacyjne z regulowanym obciążeniem. Dwanaście z nich oznaczonych jest logo „WK Dzik", popularnej marki stworzonej przez czwórkę influencerów, pasjonatów treningów siłowych. Ich otwarciu towarzyszyły media, a także lokalni samorządowcy i fani treningów. 14 października br. we Wrocławiu ma być otwarta 13. „Dzik Gym", największa z dotychczasowych siłowni. Kolejne mają powstać już wkrótce. Ze śledztwa „Gazety Polskiej" i programu śledczego Republiki „Ściśle jawne" wynika jednak, że wątpliwości mogą budzić powiązania z Rosją producenta sprzętu użytkowanego w „Dzik Gym". Jest nim firma StreetBarbell Group z Finlandii. Należy ona do dwóch obywateli Federacji Rosyjskiej, a jej dyrektorem zarządzającym – jak wynika z rejestrów – jest inny obywatel tego kraju, Ian Markelov. To syn rosyjskiego biznesmena Vadima Markelova, założyciela i właściciela mającej siedzibę w Republice Karelii, obszarze Federacji Rosyjskiej graniczącym z Finlandią, spółki MB Barbell, produkującej m.in. sprzęt na siłownie. Podmiot ten – jak ustaliliśmy – wprost wspiera rosyjską inwazję na Ukrainę. Pod koniec 2023 roku Vadim Markelov został Laureatem Roku Republiki Karelii za przekazanie sprzętu swojej firmy na okupowane przez Rosję tereny Ukrainy, m.in. do obwodu zaporoskiego oraz Ługańskiej i Donieckiej Republiki Ludowej, w tym do tamtejszych baz rosyjskiej armii. Jednak ani MB Barbell, ani Vadim Markelov nie są objęci żadnymi międzynarodowymi sankcjami. „Gazeta Polska" i „Ściśle jawne" sprawdziły, co faktycznie łączy z Rosją fińską spółkę, z której sprzętu korzystają użytkownicy „Dzik Gym".

Strategiczny bufor Rosja–NATO

Karelia to położona na północnym zachodzie europejskiej części Rosji autonomiczna republika wchodząca w skład Federacji Rosyjskiej, granicząca z Finlandią. To terytorium ma strategiczne znaczenie dla Rosji. Z jednej strony to baza wypadowa i istotny korytarz do ewentualnego ataku militarnego na Finlandię. Przez Karelię przebiega linia kolejowa łącząca Sankt Petersburg z Murmańskiem, gdzie znajduje się baza rosyjskiej Floty Północnej, wyposażonej w okręty podwodne z bronią jądrową. Stąd odcięcie tej trasy przez siły NATO z kierunku fińskiego sparaliżowałoby potencjał nuklearny Rosji w Arktyce. Dlatego cała republika jest istotną strefą buforową, mającą osłaniać Sankt Petersburg przed ewentualnym uderzeniem odwetowym. Odległość od fińskiej granicy do tego, będącego matecznikiem Władimira Putina, miasta to zaledwie 200 km. To właśnie na tym strategicznym obszarze, w mieście Pietrozawodsk, będącym stolicą Republiki Karelii, swoją siedzibę ma firma MB Barbell, produkująca sprzęt sportowy i siłowy. W znajdującej się tam fabryce odlewane są m.in. sztangi, dyski i konstrukcje maszyn, które trafiają potem na siłownie. Właścicielem tego powstałego w połowie lat 80. przedsiębiorstwa jest rosyjski biznesmen Vadim Markelov. Nazwa firmy pochodzi od jego inicjałów (w rosyjskiej transkrypcji imię Vadim brzmi „Badim") oraz angielskiego słowa „barbell" oznaczającego sztangę. Markelov jest też wynalazcą produkowanego przez jego firmę sprzętu.

Sprzęt dla rosyjskich żołnierzy w Doniecku i Ługańsku

MB Barbell z Pietrozawodska to największy w Rosji producent zewnętrznego sprzętu treningowego. W lipcu 2017 roku Władimir Putin, będąc z wizytą w Republice Karelii, odwiedził centrum sportowe na świeżym powietrzu z zainstalowanymi urządzeniami MB Barbell. Osobiście oprowadzał go po nim sam Markelov, a informacja na ten temat wraz ze zdjęciami znalazła się na oficjalnej stronie Kremla. Nie przypadkiem. Sprzęt MB Barbell znajduje się w wielu rosyjskich miastach, a także rosyjskich jednostkach wojskowych. „Produkty MB Barbell można spotkać w dużych rosyjskich miastach, w rosyjskiej bazie lotniczej w Syrii, w Mariupolu, Ługańsku i Doniecku" – czytamy we fragmencie całostronicowego artykułu, który 3 sierpnia 2023 roku ukazał się w lokalnym czasopiśmie „Karelia". Zresztą Markelov za wsparcie rosyjskiej armii na Ukrainie pod koniec 2023 roku został Laureatem Roku Republiki Karelii. MB Barbell przekazał bowiem sprzęt do baz wojskowych na zajętych przez Rosję terenach Ukrainy, m.in. w obwodzie zaporoskim oraz Ługańskiej i Donieckiej Re-

Wizyta Putina w lipcu 2017 roku w Republice Karelii, w centrum sportowym na świeżym powietrzu z zainstalowanymi urządzeniami MB Barbell. Oprowadza go Wadim Markelov.

publice Ludowej. Jednak ani spółka z Karelii, ani sam biznesmen nie są objęci żadnymi międzynarodowymi sankcjami. Mimo to MB Barbell musiała przystosować swoją produkcję do warunków funkcjonowania po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Tak opowiadał o tym Markelov, cytowany przez gazetę „Karelia": „Pracujemy według dość napiętego harmonogramu. Zamówień mamy nawet zbyt dużo. W tym roku kupiliśmy dużo nowego sprzętu, który jest stopniowo dostarczany. Większość rzeczy otrzymujemy przez Chiny i Turcję, natomiast centra obróbcze kupiliśmy w Rosji. Materiały chemiczne również otrzymujemy przez państwa trzecie. Nie ma sytuacji, w której czegoś by nam brakowało. Wszystkiego wystarcza. Wielkość naszego eksportu się nie zmieniła". W artykule można również przeczytać, że w połowie 2023 roku MB Barbell sprzedawała sprzęt nie tylko do Afryki, Izraela, na Tajwan i do krajów arabskich, ale także do Europy. W jaki sposób?

FOT. ARCH.

Fińska spółka i syn Markelova

Z fińskiego rejestru wynika, że w styczniu 2015 roku w Helsinkach została zarejestrowana spółka MB Barbell Sport, handlująca sprzętem marki MB Barbell. Obecnie podmiot ten działa pod nazwą StreetBarbell Group. Ze strony internetowej przedsiębiorstwa można się dowiedzieć, że produkty fińskiej spółki trafiają m.in. do Japonii, Azerbejdżanu, Arabii Saudyjskiej, Maroka, a także do Europy Zachodniej, m.in. do Czech, Niemiec, Francji, Szwajcarii, Hiszpanii czy Polski. Jednak – jak zaznacza firma – nie jest on produkowany w Rosji, ale m.in. na terenie Unii Europejskiej. Z fińskiego rejestru wynika, że spółka zmieniła nazwę na StreetBarbell Group w połowie 2023 roku, niespełna półtora roku po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Wówczas też zmieniła się struktura właścicielska. W fińskich aktach rejestrowych znajduje się protokół nadzwyczajnego zgromadzenia wspólników StreetBarbell Group z 31 lipca 2023 roku. Według niego właścicielami spółki są dwaj obywatele Federacji Rosyjskiej: Dmitrij Bubnov oraz Vladimir Gulevich, który oprócz tego wspólnie z obywatelem Finlandii Terho Weli Mati Ulwinenem zasiadają w zarządzie przedsiębiorstwa. Z kolei dyrektorem zarządzającym (CEO) StreetBarbell Group jest Ian Markelov. Jak ustaliliśmy – to syn Vadima Markelova, właściciela MB Barbell z Karelii. Z certyfikatu wystawionego przez BaltSert, prywatnej firmy certyfikującej z Sankt Petersburga, dowiedzieć się można, że od 24 stycznia 2025 roku do 23 stycznia 2028 roku producentem sprzętu MB Barbell, m.in. gryfów, talerzy/obciążeń, hantli i sztang, jest Ian Markelov. Co to faktycznie oznacza? To, że fiński podmiot, kierowany przez Markelova juniora, produkuje sprzęt identyczny jak ten wychodzący z rosyjskiego przedsiębiorstwa, oparty na myśli technicznej jego ojca oraz przedsiębiorstwa z Karelii. Zapytaliśmy o to StreetBarbell Group. Wśród pytań wysłanych do spółki z Helsinek znalazły się też te dotyczące związków z MB Barbell nie tylko samej firmy, ale także jej właścicieli oraz relacji Iana Markelova z Vadimem Markelovem. Nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi.

Wytłoczenia „MB Barbell" i „StreetBarbell"

Dystrybutorem sprzętu oferowanego przez spółkę z Helsinek jest ActiveLine z Lublina. To działalność gospodarcza Marcina Taczalskiego. Ze strony internetowej wynika, że przedsiębiorstwo specjalizuje się m.in. w tworzeniu siłowni plenerowych czy placów zabaw. ActiveLine jest partnerem marki Dzik w projekcie „Dzik Gym". To pod tą nazwą zaczęły powstawać nowoczesne siłownie plenerowe finansowane m.in. z budżetów obywatelskich i środków samorządu. Marka Dzik została stworzona w 2012 roku przez czterech fanów fitnessu znanych jako „Warszawski Koks" – Michała Owczarzaka „Owcę", Pawła Sikorę „Ponczka", Roberta Orzechowskiego „Robura" i Michała Sakowskiego „Sakera". Początkowo prowadzili oni amatorską siłownię oraz kanał na YouTubie promujący wiedzę o treningach i zdrowym odżywianiu. Jak wskazywali w wywiadach, pasja przerodziła się w dobrze prosperujący biznes. Działają poprzez spółkę WK. Pod marką Dzik sprzedawane są dziś napoje, suplementy i żywność, a także odzież sportowa i akcesoria. Z kolei w ramach „Dzik Gym" powstało 12 plenerowych siłowni. Trzy z nich znajdują się w Warszawie. Na każdej z nich – jak ustaliliśmy – na użytkowanym sprzęcie można odnaleźć wytłoczenia z nazwą rosyjskiej firmy z Karelii „MB Barbell". Identycznie oznaczony sprzęt znajduje się również na „Dzik Gym" w Olsztynie, sfinansowanej ze środków Otwartego Budżetu Akademickiego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego (koszt ponad 750 tys. zł). Jednak nie na wszystkich siłowniach działających pod tą popularną marką znajduje się sprzęt z wytłoczeniami „MB Barbell". Tak jest m.in. na „Dzik Gym" w Łęcznej. Na użytkowanym tam sprzęcie znajduje się nazwa spółki z Finlandii „StreetBarbell". „Jeśli mielibyśmy świadomość, że sprzęt pochodzi z Rosji i na takim samym ćwiczą żołnierze jej armii, to na pewno byśmy się na taki zakup nie zgodzili. Natomiast w przypadku naszej siłowni podpisywaliśmy umowę z firmą, która wystartowała w przetargu i zaprzecza jakimkolwiek zakupom sprzętu z Federacji Rosyjskiej" – stwierdził Grzegorz Kuczyński z Urzędu Miasta Łęczna, który poinformował nas, że koszt budowy siłowni wyniósł niespełna 1 mln 200 tys. zł, z czego ponad 650 tys. zł wynosił wkład gminy Łęczna, a pozostałą część stanowiło dofinansowanie z Funduszu Rozwoju Kultury Fizycznej w ramach programu

modernizacji kompleksów sportowych „Moje boisko – ORLIK 2012".

Spółka z Estonii w branży stoczniowej

O współpracę ze StreetBarbell i nabywany sprzęt zapytaliśmy ActiveLine. Marcin Taczalski udzielił nam bardzo szczegółowej odpowiedzi, przekazując również potwierdzające je dokumenty. Podkreślił, że jego przedsiębiorstwo nigdy nie tylko nie kupowało sprzętu od rosyjskiej spółki MB Barbell, ale nie miało z tym podmiotem żadnego kontaktu – zarówno z samą spółką, jak i z jej przedstawicielami i udziałowcami. Taczalski zaznaczył, że od 2018 roku współpracuje z firmą z Helsinek StreetBarbell Group. Oznacza to, że rozpoczął ją jeszcze, gdy działała pod nazwą MB Barbell Sport. „Zgodnie z przekazywanymi nam konsekwentnie stanowiskiem spółki, co najmniej od rozpoczęcia przez Rosję wojny na Ukrainie urządzenia marki StreetBarbell są produkowane wyłącznie na terenie UE (komponenty w Estonii – PnP Group OU, Kohtla-Järve, montaż końcowy w Helsinkach). Wiemy też, że StreetBarbell korzystał również z podwykonawców w innych państwach UE oraz w Zjednoczonych Emiratach Arabskich" – podkreślił Taczalski. Sprawdziliśmy spółkę z Kohtla-Järve w Estonii. Z tamtejszego rejestru wynika, że powstała w lipcu 2020 roku, a jej beneficjentem rzeczywistym i członkiem zarządu jest Nadeżda Pereskokov, rocznik 1991, obywatelka Estonii. Z opisu działalności wynika, że PnP Group zajmuje się m.in. produkcją konstrukcji stalowych, obróbką stali zwykłej i nierdzewnej oraz aluminium. Współpracuje z podmiotami z sektora stoczniowego. Na liście klientów PnP Group znajduje się na przykład Meyer Turku, duża fińska stocznia specjalizująca się w budowie statków wycieczkowych.

Kluczowe certyfikaty z Niemiec

Taczalski podkreśla, że niezbitym dowodem na produkcję na terenie Unii Europejskiej sprzętu, którym handluje ActiveLine, są certyfikaty renomowanej niemieckiej organizacji certyfikującej TÜV Thüringen. „Z dokumentów tych wynika, że dostarczane przez nas urządzenia są produkowane w Europie i nie naruszają żadnych sankcji (…). Audytorzy TÜV skontrolowali zakład produkcyjny w Finlandii w sierpniu 2025 r. oraz ponownie 10 września 2026 r., tym razem w zakładzie w Vantaa (aglomeracja Helsinek). Wszystkie te dokumenty wydano już po rozpoczęciu przez Rosję wojny na Ukrainie, a ostatnia inspekcja odbyła się niespełna miesiąc temu". Czy jednak Taczalski posiada wiedzę, że dyrektorem zarządzającym StreetBarbell jest syn Vadima Markelova? „Wiemy o pokrewieństwie prezesa spółki fińskiej z Vadimem Markelovem, spółka sama podaje to publicznie. Samo pokrewieństwo nie jest jednak powiązaniem gospodarczym. Zgodnie z naszą wiedzą Vadim Markelov nie ma w spółce fińskiej żadnych udziałów, nie pełni w niej żadnych funkcji i w żaden sposób nie uczestniczy w jej działalności" – odpowiedział Taczalski. Przyznał, że nie widzi żadnych kontrowersji w fakcie, że StreetBarbell używa rosyjskich rozwiązań, produkując identyczny sprzęt jak MB Barbell. „To, że fiński producent korzysta z rozwiązania opracowanego przez wynalazcę z Rosji, nie czyni jego urządzeń rosyjskim sprzętem. Korzystanie z układu okresowego Mendelejewa, którego uczy się w każdej polskiej szkole, nie oznacza przecież wspierania Rosji. Igor Sikorski, podobnie jak Vadim Markelov, urodził się na terenie dzisiejszej Ukrainy, a śmigłowce Black Hawk noszące jego nazwisko produkuje PZL Mielec i używa ich polska policja. Nikt nie nazywa ich rosyjskim sprzętem" – zaznaczył Taczalski.

WK Dzik to popularna marka stworzona przez czwórkę influencerów, pasjonatów treningów siłowych. Początkowo prowadzili oni amatorską siłownię oraz kanał na YouTubie promujący wiedzę o treningach i zdrowym odżywianiu.

Kampania czarnego PR-u?

Jak jednak komentuje fakt wytłoczeń „MB Barbell" znajdujących się na sprzęcie użytkowanym na niektórych siłowniach „Dzik Gym"? „Wytłoczenia »MB Barbell« nie oznaczają rosyjskiej firmy. Nasz fiński dostawca do 26 czerwca 2023 r. działał pod firmą MB Barbell Sport Oy i pod tą nazwą oznaczał swoje urządzenia. Oznaczenia te pozostają na elementach urządzeń jako dawna nazwa producenta. Istnienie w Rosji innego podmiotu o podobnej nazwie nie zmienia tego, kto i gdzie wyprodukował te urządzenia. Zrobiła to spółka fińska, w zakładach w Estonii i Finlandii, co potwierdza certyfikacja TÜV" – zaznaczył Taczalski. Twierdzi, że od dłuższego czasu firma konkurencyjna prowadzi wobec jego przedsiębiorstwa kampanię czarnego PR-u, rozpowszechniając nieprawdziwe informacje o handlu rosyjskim sprzętem, produkowanym przez rosyjską firmę MB Barbell. W odpowiedziach na nasze pytania Taczalski wskazywał, że jego przedsiębiorstwo wystąpiło w tej sprawie z pozwami o naruszenie dóbr osobistych, a o podejrzeniu czynu nieuczciwej konkurencji zawiadomiło prokuraturę.

Co na to „Dziki"?

O pochodzenie sprzętu na siłowniach działających pod marką „Dzik Gym" zapytaliśmy właściciela marki, spółkę WK. Nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi. Taczalski przyznał jednak, że jego przedsiębiorstwo poinformowało WK o producencie sprzętu, jego certyfikatach i miejscu produkcji, a także o zarzutach formułowanych przez konkurencję oraz swoim stanowisku. „Spółka WK Sp. z o.o. przyjęła te wyjaśnienia, uznała je za wystarczające, a współpraca trwa nadal" – zaznaczył Taczalski. **GP**

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }

Jacek **Liziniewicz**

WRACAJ PAN DO KAPUSTY

Kanał Zero opublikował reportaż pokazujący życie Michała Kołodziejczaka. Dwie kobiety opisały, jak funkcjonuje ten polityk Koalicji Obywatelskiej. Na co dzień pan Michał pozuje na rolnika, działacza społecznego, męża i ojca. Z materiału wyłania się jednak inna wersja. Oto jedna z kilku kochanek opisała tajemnice alkowy. Mówiła o tym, jak do niedawna wiceminister ćpał podczas łóżkowych sesji, jak podawał jej narkotyki podczas stosunków, jak poniżał i stosował przemoc, rozbijając jej głowę, a później kładąc się spać w jej krwi. Trudno w to uwierzyć, ale relację poniekąd uzupełnia druga współpracownica lidera AgroUnii. Też mówi o przemocy. Wyzwiskach od k…w. Traktowaniu jej jak śmiecia. Michał Kołodziejczak w 2023 roku był już praktycznie nikim. Jego AgroUnia nie miała żadnej siły. Nikt w zasadzie w nią nie wierzył. Organizacja nie miała szans na start w wyborach, bo nie była zdolna zebrać podpisów. Gdy szła na dno, Michał Kołodziejczak nawiązał współpracę ze środowiskiem Kamratów, czyli najbardziej prorosyjskiej szurii. Wówczas pomocną dłoń wyciągnął do niego Donald Tusk. Nie przeszkadzało mu to, że Kołodziejczak został wielokrotnie skompromitowany. O jego dziwnych zachowaniach mówiła wtedy cała Polska. Wszyscy zastanawiali się, czyją był pacynką. Kto go stworzył? Czy Rosjanie, czy tylko Artur Balazs? A może i jedno, i drugie? Tuskowi to nie przeszkadzało. Dał mu mandat. Dał mu stanowisko posła. Później zrobił z niego ministra. Może jednak to właśnie cecha rozpoznawcza środowiska premiera? Może to, co działo się w Kłodzku, dzieje się na co dzień w Koalicji Obywatelskiej? Czy nie jest tak, że Tusk prędzej weźmie do siebie nafutrowanego narkotykami zboczeńca niż eksperta w danej dziedzinie? Bo co może ćpun? Musi wykonywać rozkazy. Inaczej kończy ze złamanym życiorysem i rozstrzelany medialnie. Kołodziejczak właśnie tak kończy. Pogubiony. Człowiek, który nie był w stanie intelektualnie unieść tego, do czego go pchano. Pajacyk, któremu coś się wydawało. Przestał być potrzebny, to go zmielili. Jak wielu innych przedtem. Donald Tusk znajdzie sobie innego pożytecznego zwyrodnialca. Michałowi Kołodziejczakowi życzę, aby wrócił do kapusty i na pole. Niech na wsi odzyska spokój. Z czasem ludzie wybaczą. Ciężka praca przed panem, ale czas na chwilę szczerości przed społeczeństwem i – przede wszystkim – samym sobą. **GP**

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }

Krzysztof **Karnkowski**

POZORY ZA PRAWDZIWĄ KASĘ

To był czarny tydzień dla CPK. Najpierw dowiedzieliśmy się o wrzutce do przepisów. Ot, nie wiadomo kiedy, nie wiadomo skąd pojawił się tajemniczy zapis, który wprowadza najostrzejsze na świecie regulacje dotyczące tuneli kolejowych. Za tą zmiana idzie konieczność modyfikacji projektów, które są już zaawansowane i zgodne z przepisami zarówno Polski, jak Unii. Jakby tego było mało, słyszymy o wycofywaniu się firm, które miały być zaangażowane w budowę. Raczej już angażować się nie będą, ponieważ cała inwestycja od czasu zmiany władzy jest traktowana niepoważnie, a pieniądze stracić na niej można całkiem poważne. Powiedzieć, że CPK łapie poślizg, to nic nie powiedzieć. Ani Tusk, ani reszta koalicji 13 grudnia tej inwestycji nie chcieli, za bardzo sprzyja ona rozwojowi Polski, za mocno może dać się we znaki Berlinowi. Za tych rządów nie powstanie, tak jak nie spodziewam się powstania ani nawet postępów w budowie elektrowni atomowej, bo i powstać nie ma. Centralny Port Komunikacyjny, po drodze przemieniony w Port Polska, o czym chyba zresztą nawet sam premier nie pamięta, potrzebny jest nie po to, by ktoś z niego gdziekolwiek poleciał. Chodzi o to, by można było przez kilka lat dobrze zarabiać, sabotując przy tym rozwój Polski, łącząc więc przyjemne z niepożytecznym, co ta ekipa uwielbia najbardziej. Czy to na budowach, czy w szpitalach, czy też na przykład w mediach publicznych. Podejrzewam, że jeśli obecna władza ma jakiś pomysł na budowę bazy USA w Polsce, to właśnie taki. Tworzyć, by nie stworzyć, ale po drodze wypłacać sobie za to sute pensje. Amerykanie chyba się już zorientowali, stąd wzrastająca nerwowość strony umownie nazywanej polską w relacjach wzajemnych. Gdyby byli w opozycji, protestowaliby dalej przeciw CPK, być może też patrzący w lewo dorzucaliby do tego jeszcze „Jankesi, do domu", a tak – markują pracę, a płaca z tego jak najbardziej realna. **GP**

Powiedzieć, że CPK łapie poślizg, to nic nie powiedzieć. Ani Tusk, ani reszta koalicji 13 grudnia tej inwestycji nie chcieli.

JAK WYGLĄDAJĄ KONKURSY W SĄDACH? BUKMACHERZY NIE PRZYJĘLIBY ZAKŁADÓW

Konkurs z jednym kandydatem? Tak często wygląda wybór na wolne stanowiska w sądach. Kulisy tego typu ustaleń ujawniło pismo, które trafiło do sędziów w Warszawie. – To pokazuje, na czym polega ich walka o praworządność: żeby mogli wybierać swoich – ocenia sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka, była przewodnicząca Krajowej Rady Sądownictwa. Inni prawnicy kpią, że bukmacherzy nie przyjęliby zakładów na zwycięzców w takich zawodach.

SĘDZIA UJAWNIŁ KULISY „NEGOCJACJI"

Grzegorz **Broński**

Niestety, ten kazus nakazuje zupełnie inaczej spojrzeć na konkursy na stanowiska sędziowskie w obecnej Krajowej Radzie Sądownictwa i zadziwiające wycofywania kandydatur – jak choćby ostatnio do sądów w Opolu i Białymstoku. Tego rodzaju spółdzielnie odstraszają oraz zniechęcają do udziału w procedurze, skoro już na wstępie jawi się ona jako pozorna, a wręcz ustawiona – tłumaczy „Gazecie Polskiej" sędzia Łukasz Zawadzki, członek Krajowej Rady Sądownictwa.

„Zbędna kumulacja zgłoszeń"

Procedura jest znana. Najpierw w Monitorze Polskim publikowane jest obwieszczenie ministra sprawiedliwości o wolnych stanowiskach sędziowskich (wakatach). Później osoby chcące awansować zgłaszają się do Krajowej Rady Sądownictwa, która wybiera najlepszego i stosowną uchwałę wysyła do prezydenta.

A w praktyce? Gigantyczny skandal wybuchł po ujawnieniu przez Niezależna.pl treści pisma, które trafiło do sędziów sądów rejonowych z okręgu warszawskiego. Jego autor – sędzia Paweł Dobosz, delegat do kolegium Sądu Okręgowego w Warszawie – podjął się „koordynacji wymiany informacji dotyczącej deklarowanych przez sędziów zgłoszeń na poszczególne wolne stanowiska w pionie karnym". Przekazał, że do końca roku ma być jeszcze 11 obwieszczeń – każdorazowo o jednym wolnym stanowisku.

„Taka praktyka publikacji obwieszczeń (…) może prowadzić do zbędnej kumulacji zgłoszeń na poszczególne monitory, blokowania sobie możliwości udziału w konkursie, w którym możliwe, miałoby się większe szanse na pozytywne rozstrzygnięcie, czy też do udziału w konkursach sędziów, którzy nie chcieliby wzajemnie ze sobą konkurować" – stwierdził.

Sporządził nawet imienną listę 10 sędziów, którzy zgłosili chęć udziału w nadchodzących konkursach. Tych jeszcze nie ogłoszonych. „Zarówno ja, jak i wszyscy sędziowie, którzy wzięli udział w tych uzgodnieniach, uznali, że uczciwe będzie, by informację o treści tych uzgodnień przekazać pozostałym sędziom rejonowym, którzy chcieliby brać udział w konkursach" – dodał sędzia Dobosz.

„Hipokryzja górą!"

– Nie jest to zjawisko nowe, ale dotychczas nikt publicznie go nie opisał. Sędzia Dobosz okazał się wyjątkowo szczery – stwierdza sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka, była przewodnicząca Krajowej Rady Sądownictwa.

FOT. ADOBE STOCK

Nie ma żadnych przesłanek, że cytowany dokument powstał z inicjatywy kierownictwa stołecznego sądu, ale w odpowiedzi na pytania portalu Niezależna.pl s. Dobosz przyznał: „Treść pisma jest wyłącznie mojego autorstwa. Nikt nie ingerował w jego kształt. Pismo przedstawiłem do zapoznania Wiceprezesowi od spraw karnych SO w W-wie i nie zgłaszała zastrzeżeń". Taką funkcję pełni sędzia Aneta Obszyńska-Małocha.

Pawełczyk-Woicka jednoznacznie ocenia zaistniałą sytuację, mówiąc: „Hipokryzja górą". Przyznaje, że w ostatnich dwóch latach funkcjonowania KRS poprzedniej kadencji – już po wyborach parlamentarnych w 2023 roku – bywały konkursy na wyższe stanowiska w formule jeden kandydat na jedno stanowisko. – Ale powodem było zastraszanie kandydatów, którzy rzeczywiście się wycofywali. Niektórzy wprost o tym mówili podczas posiedzeń Rady. Później jednak czyniono z tego zarzut wobec nas – tłumaczy. – A wpływ działaczy iustitiańsko-themisowych na środowisko jest duży.

– To pokazuje, na czym polega ich walka o praworządność: żeby mogli wybierać swoich. Do tego się wszystko sprowadza – podkreśla była przewodnicząca KRS. – Ataki na Trybunał Konstytucyjny, wielokrotne naruszanie obowiązującego prawa, notoryczne nieszanowanie zasad praworządności. To ma wspólną motywację. Niezrozumiała chęć władzy, nieprawdopodobna zawiść. Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć.

Podwójna miara

Sędzia Zawadzki zwraca uwagę, że podczas niedawnego posiedzenia większość Krajowej Rady Sądownictwa zdecydowała o powtórce konkursów do sądów administracyjnych. – Tylko dlatego, że procedurę rozpoczęto przed ukonstytuowaniem obecnego składu Rady, a teraz tzw. środowisko oburzyła treść pisma sędziego Dobosza, z którego treści wynika fakt ewidentnej manipulacji „praworządnościowych" postępowań konkursowych. Jest to o tyle bulwersujące, że przecież w postępowaniach przed poprzednią Radą startowało po kilka–kilkanaście osób na jedno miejsce, co nie przeszkadza niektórym członkom obecnej Rady spekulować, iż wówczas nie startowali najlepsi – wyjaśnia rzecznik stowarzyszenia „Prawnicy dla Polski".

– Tymczasem sędzia Dobosz bez żenady, jednoznacznie sugeruje konkretną kolejność, która winna zostać zachowana, aby… uniknąć konkurencji. Tym samym w domyśle część środowiska sędziowskiego dąży do tego, aby na jedno miejsce zgłaszał się jeden kandydat, co zakrawa na patologię i pozostaje w sprzeczności z piętnowaniem konkursów sprzed maja 2026 roku jako nieuczciwych – stwierdza sędzia Zawadzki.

Fala tłumaczeń

Ujawnienie bulwersującego dokumentu wywołało burzę. „Rzeczywiście odbiorca tego pisma może mieć wrażenie, że jest jakaś ustalona lista w porozumieniu z kimś z władz sądu i że nie warto się zgłaszać. Nieprawda. Absolutnie to nie jest nasza intencja" – tłumaczyła portalowi Niezależna.pl sędzia Anna Ptaszek, rzecznik warszawskiego sądu.

Natomiast dzień po publikacji ukazał się komunikat. „Prezes Sądu Okręgowego w Warszawie nie upoważnił Pana Sędziego do wysłania informacji o treści wynikającej z pisma, a wręcz wstrzymał wysłanie, uznając, że wskazane w nim zasady nie znajdują akceptacji Kierownictwa Sądu" – czytamy.

Wytoczono też ciężkie działa. Podjęte bowiem zostały czynności wyjaśniające w sprawie „opublikowania przez sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie pisma, które może wzbudzać wątpliwości co do transparentności i rzetelności przyszłych konkursów na wolne miejsca sędziowskie". Padła nawet sugestia o „uchybieniu godności urzędu sędziego".

Nieco dziwi, że w żadnym z komunikatów nie wspomniano o sędziach wymienionych w piśmie sędziego Dobosza, który jednoznacznie stwierdził, że lista powstawała w uzgodnieniu z nimi.

Warszawa nie jest wyjątkiem?

Pismo sędziego Dobosza spowodowało, że dyskusja skoncentrowała się wokół warszawskiego sądu, ale czy w innych miastach podejmowane są podobne działania?

– W niektórych ośrodkach jest jeden kandydat na jedno miejsce i to rzecz powszechna. Czy to efekt uwag pod adresem ewentualnych kandydatów ze strony kierownictwa sądów, żeby poczekali na swoją kolejkę? Tego nie wiem – zaznacza sędzia Pawełczyk-Woicka.

Krytycznie jednak ocenia postawę osób, które poddają się takiej presji. – Jeśli ktoś się nie zgłasza do konkursu, bo jakieś pismo powstało albo prezes sądu coś powiedział, to mamy problem z tym człowiekiem, a nie konkursem. To w końcu dorośli ludzie. Jeżeli ktoś kandyduje na stanowisko sędziowskie, musi mieć indywidualną niezależność. Wolę sędziego, który samodzielnie podejmuje decyzje dotyczące swojego losu, bo wtedy mam nadzieję, że będzie też samodzielnie podejmował decyzje co do losów innych ludzi w rozpoznawanych sprawach – tłumaczy była przewodnicząca KRS. **GP**

Piotr
Grochmalski

Moskiewski scenariusz POLSKIEJ WOJNY DOMOWEJ

Coraz bardziej widoczne jest, że Donald Tusk pod presją Berlina hamuje budowę w Polsce stałej bazy wojsk USA, co radykalnie zwiększyłoby nasze bezpieczeństwo. W tym samym czasie Martin Jaeger, szef Federalnej Służby Wywiadowczej (BND), stwierdza w Bundestagu, że Niemcom grozi „gwałtowny konflikt" z Rosją. Z informacji niemieckiego wywiadu wynika bowiem, że Putin może szykować się do eskalacji konfliktu w Europie, a dokładnie – na terenie Niemiec. Dzień później Donald Tusk wygłasza prowokacyjne przemówienie podczas inauguracji roku akademickiego w Akademii Sztuki Wojennej (ASW) w Warszawie.

Ekipa Donalda Tuska na początku swojego urzędowania zlikwidowała Centrum Badań nad Bezpieczeństwem na ASW. Było to skrajnie nieodpowiedzialne osłabienie zaplecza analitycznego polskiego resortu obrony. CBB było wyspecjalizowanym ośrodkiem pracującym na potrzeby MON i innych instytucji państwa, skupiającym zespoły zajmujące się Rosją, jej strategią wojskową i przestrzenią postsowiecką, Chinami, Indiami oraz zagrożeniami cywilizacyjnymi. Rozwiązanie takiego zespołu w sytuacji agresywnej wojny informacyjnej Rosji z Polską i Zachodem oznacza bezpowrotną utratę grupy o unikalnych kompetencjach, a więc działanie na szkodę polskiego bezpieczeństwa.

Wyobrażenia a rzeczywistość

Gdy 1 października Kosiniak-Kamysz przyznał, iż w marcu w Waszyngtonie odbył spotkanie z prezydentem Trumpem, aby przyspieszyć rozmowy w sprawie stałej bazy amerykańskich wojsk w Polsce, Tusk wpadł w panikę. Coraz bardziej widoczna była bowiem jego rola jako głównego hamulcowego tego projektu. Pojawiały się też spekulacje, że Kosiniak-Kamysz miał stanąć na czele nowego rządu, bo zabójczy dla polskiego bezpieczeństwa staje się chorobliwy antyamerykanizm Tuska. Psychopatycznie uzależniony od władzy, ostentacyjnie pojawił się w Akademii Sztuki Wojennej, aby zaznaczyć swoją dominację nad ministrem obrony i zaprezentować się w nowej roli – wodza narodu, który symbolicznie rzekomo jest ojcem nowej armii. W przerysowanej, karykaturalnej stylistyce nowego wodza stwierdził: „Ani wróg, ani sojusznik nie będzie decydował o tym, jaką drogą podążają Polacy, kto w Polsce rządzi, jak budujemy swoją armię". Tusk wykorzystał sytuację, by swoje blokowanie strategicznego projektu dla Polski, a więc działanie na szkodę naszego bezpieczeństwa, przedstawić jako akt służący RP. Tylko w psychopatycznym umyśle może pojawić się pomysł zrównania zagrożenia ze strony USA z zagrożeniem ze strony Putina. Tusk stwierdził: „Dziś i wróg, i sojusznik dobrze wie, że Polska nie pozwoli sobie na żadne skuteczne akty agresji wobec nas, i ani wróg, ani sojusznik nie będzie decydował o tym, jaką drogą podążają Polacy, kto w Polsce rządzi, jak budujemy swoją armię. Na tym polega prawdziwa suwerenność. Nie ma suwerennej ojczyzny bez suwerennej, dobrze wyszkolonej, dumnej z własnych dokonań armii".

Ten sam człowiek w grudniu 2021 roku, tuż przed agresją Putina na Ukrainę, stwierdził: „Kiedy idę ulicą, myślę czasami, że co piąta osoba, którą mijam, uważa, że być może to ja do spółki z Putinem zabiłem prezydenta [Lecha Kaczyńskiego – przyp. red.]". To szokujące, że człowiek, który ponosi polityczną odpowiedzialność za śmierć całego dowództwa polskiej armii, dziś pcha nas w przepaść w imię swej żądzy władzy, pokazując Polskę jako oblężoną twierdzę, której w równym stopniu zagrażają nasi sojusznicy i wrogowie. Ta paranoiczna ocena jest jedynie wizją Tuska.

RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

Bo w rzeczywistości do wyborów w 2027 roku Rosja będzie eskalowała wobec Polski działania poniżej progu wojny, które waszyngtoński Instytut Badań nad Wojną określa jako „fazę zero". Postępowanie Tuska radykalizujące do niebezpiecznych granic działania wymierzone w opozycję i społeczeństwo patriotyczne będzie wykorzystywane przez Kreml do pogłębiania destabilizacji Polski.

Ustawa na „stan przedwojenny"

Donald Tusk świadomie prowokuje takie wydarzenia również dlatego, aby atmosferę strachu wykorzystać w przyspieszonym procesie zawłaszczania władzy i budowania autorytarnego systemu. Widać też, jak koalicja 13 grudnia testuje i buduje wąskie grupy ludzi w wymiarze sprawiedliwości, służbach i administracji, w pełni i bezgranicznie oddanych ekipie Donalda Tuska. Wciągani są oni w działania quasimafijne, które mają ich wiązać bezgraniczną lojalnością z obecną ekipą. Przegrana koalicji 13 grudnia w przyszłorocznych wyborach oznaczałaby dla nich ogromne zagrożenie. Dlatego wiele niebezpiecznych sygnałów wskazuje, iż w wąskim gronie ludzi Tuska realnie rozważany jest wariant siłowy. Był on poważnie brany pod uwagę wobec Trybunału Konstytucyjnego. Ale też rozważany jest scenariusz wykorzystywania zagrożenia rosyjskiego do dalszego zawłaszczania państwa. Ireneusz Raś, wiceminister sportu i turystyki, otwarcie nie wyklucza sytuacji, w której przyszłoroczne wybory parlamentarne nie odbędą się w planowanym terminie ze względu na możliwość eskalacji rosyjskiej agresji, co uniemożliwi organizację głosowania. Rząd pracuje już nad ustawą na „stan przedwojenny". Ma ona usprawnić system kierowania obroną państwa i przyspieszyć proces przerzucania wojska w newralgiczne miejsca, a w rzeczywistości scentralizować władzę w rękach premiera i dać mu możliwości, które mogłyby doprowadzić do szybkiego zbudowania mechanizmów autorytarnego reżimu. Ustawa taka, bez ochrony demolowanych przez reżim Tuska demokratycznych instytucji, będzie śmiertelnym zagrożeniem dla społeczeństwa.

Tusk chce naszej krwi?

To bardzo niebezpieczna gra, tym bardziej że to w Warszawie napisany już został rosyjski scenariusz wojny domowej w Polsce. Jeden z głównych architektów resetu w relacjach z Rosją, Jarosław Bratkiewicz, w swojej książce „Wojny domowe. Dwie i pół" stwierdził: „Polska wojna domowa pozostaje w stadium schłodzenia. Kulminowała ona w wyborach powszechnych w 2023 roku, ale werdykt wyborców na rzecz opozycji antypisowskiej [w rzeczywistości zwycięstwo w wyborach osiągnął wówczas PiS] jeszcze nie przesądza o ostatecznym zwycięstwie w tej wojnie. Dokona się ono, kiedy praworządność polska zdelegalizuje PiS – partię stawiającą sobie za cel rewolucję tradycjonalistyczną w Polsce, a więc działania o antykonstytucyjnym charakterze. Których efekt końcowy wynagrodziłby Polaków putinizmem à la polonaise. (…) Wygranej bitwy nie utożsamiamy jednak ze zwycięstwem w wojnie. Koalicja partii obywatelskich musi przełamać i spacyfikować [podkr. P.G.] w zawłaszczonej przez PiS po 2015 roku architektonice Rzeczpospolitej cały szereg redut i pułapek: pisowskiego prezydenta RP, »przyłębski« trybunał konstytucyjny i »glapińskie« czarnoksięstwo w banku centralnym". Książka ukazała się w 2025 roku, ale dokładnie buduje scenariusz, który ma doprowadzić do wytępienia, „spacyfikowania", wyautowania z Polski tych, których określa jako „pisowski »małpi lud«", który łyka „myśli Jarosława Kaczyńskiego niczym prawowierni Hindusi pijący mocz krowi". Bratkiewicz, tak jak w czasach tuskowego resetu z Putinem, jest tylko instrumentem, człowiekiem wychowanym w kulcie sowieckiego imperium i w pogardzie do polskiej państwowości. W istocie w tym planie punktem krytycznym są wybory w 2027 roku, które są też kluczowym elementem rosyjskiej strategii destabilizowania RP. Zgodnie z Russian New Generation Warfare istotnym elementem tzw. phase zero, fazy przygotowania środowiska politycznego, informa-

cyjnego, psychologicznego i operacyjnego do ewentualnej przyszłej konfrontacji kinetycznej z NATO, wybory stanowią dogodne środowisko do działań destabilizacyjnych. Według Instytutu Badań nad Wojną (który wprowadził owo pojęcie fazy zero) działania Rosji wobec państw europejskich nie stanowią zbioru przypadkowych incydentów, lecz wzajemnie wspierające się kampanie obejmujące sabotaż, cyberataki, operacje wywiadowcze, podpalenia, naruszenia przestrzeni powietrznej, działania na morzu oraz operacje informacyjne. Ich funkcją jest jednocześnie testowanie reakcji NATO, rozpoznawanie jego słabych punktów, podnoszenie progu tolerancji na rosyjską agresję, osłabianie jedności politycznej Zachodu i tworzenie warunków dla potencjalnych przyszłych działań konwencjonalnych.

Pełzająca agresja na Polskę

Polska zajmuje w tej strategii szczególne miejsce, ponieważ jest państwem frontowym NATO, głównym zapleczem logistycznym wsparcia Ukrainy i jednym z węzłowych państw w atlantyckim systemie bezpieczeństwa opartym na doktrynie kill web. ISW wskazuje, że nasilające się naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej są elementem rosyjskiej fazy zero. Wybory w 2027 roku mogą być dla Rosji nie tyle celem samym w sobie, ile dogodnym środowiskiem do dalszego kształtowania warunków fazy zero. Kampania wyborcza stwarza możliwość wykorzystania istniejących podziałów społecznych do podważania poparcia dla NATO, USA i Ukrainy, przedstawiania wydatków obronnych jako źródła zagrożenia lub kosztów narzuconych Polsce oraz przekonywania części społeczeństwa, że konfrontacja z Rosją jest wynikiem błędów polskich władz.

Dlatego w odniesieniu do Polski można mówić o trzech nakładających się poziomach rosyjskiej strategii: bieżącym zakłócaniu i destabilizacji, przygotowywaniu społeczeństw i elit do akceptowania coraz wyższego poziomu rosyjskiej presji oraz rozpoznawaniu słabości wojskowych, infrastrukturalnych i politycznych, które mogłyby zostać wykorzystane w przypadku przejścia do otwartej konfrontacji. ISW podkreśla przy tym, że obecne działania nie są dowodem na nieuchronność wojny Rosji z NATO; są natomiast oceniane jako tworzenie dogodnego środowiska ułatwiającego prowadzenie skutecznej wojny. Rosyjska strategia wobec Polski przed wyborami w 2027 roku nie powinna być analizowana wyłącznie jako próba destabilizacji poprzez ingerencję w proces wyborczy. W perspektywie ISW wybory są jednym z elementów znacznie szerszego procesu fazy zero, którego ostatecznym przedmiotem jest odporność Polski i NATO na przejście od wojny poniżej progu do wojny kinetycznej. W takim ujęciu dezinformacja, cyberataki, sabotaż, prowokacje i naruszenia przestrzeni powietrznej pełnią podwójną funkcję: wywierają presję już dziś, a zarazem dostarczają Rosji wiedzy o tym, jak Polska i jej sojusznicy reagują na kolejne szczeble eskalacji.

Julianne Smith, która w latach 2021–2024 była stałym przedstawicielem USA przy NATO, opublikowała 7 października 2026 roku na łamach „Foreign Affairs" tekst, w którym alarmuje, że „rosyjska wojna hybrydowa weszła w nową niebezpieczną fazę". Według niej Moskwa przestaje traktować działania poniżej progu otwartej wojny jako serię odizolowanych operacji, a coraz wyraźniej wykorzystuje je do systematycznego testowania odporności państw NATO. Smith wskazuje, że rosyjskim celem jest „rozbicie jedności sojuszu, wystawienie na próbę zaangażowania członków w artykuł 5" oraz zwiększenie kosztów wspierania Ukrainy.

Przedstawianie przez Tuska USA jako państwa równie groźnego dla nas jak Rosja spełnia w pełni to, co sygnalizuje Smith. Zrozumiałe jest, iż w przypadku Polski presja rosyjska będzie prawdopodobnie wymierzona nie tylko w konkretne instalacje czy infrastrukturę, lecz także w zdolność państwa do utrzymania społecznego i politycznego konsensusu w warunkach narastającego zagrożenia. Obecna aktywność ekipy 13 grudnia dokładnie wpisuje się w rosyjski scenariusz. Najważniejszym elementem tej strategii jest stopniowa eskalacja. Smith zwraca uwagę, że przez pierwsze lata rosyjskie operacje pozostawały „tuż poniżej progu, który mógłby wywołać zbiorową reakcję". Moskwa mogła więc przecinać kable, przeprowadzać cyberataki, organizować sabotaż czy podpalenia, jednocześnie zachowując możliwość zaprzeczania swojemu udziałowi. Obecnie – zdaniem autorki – sytuacja się zmieniła. Rosja podejmuje działania coraz bardziej bezpośrednie i ryzykowne, a jednocześnie sprawdza, jak daleko może się posunąć bez wywołania zdecydowanej odpowiedzi NATO.

Tusk nie odstrasza skutecznie, ale zachęca Putina

Szczególnie istotne jest to, że rosyjska eskalacja może być prowadzona w sposób kumulatywny. Smith ostrzega, że „reakcja budowana incydent po incydencie to nie odstraszanie". Właśnie taki sposób działania może być zastosowany wobec Polski: pojedynczy incydent będzie przedstawiany jako ograniczony, przypadkowy lub trudny do jednoznacznego przypisania, lecz kolejne zdarzenia będą stopniowo zwiększały presję. Rosja może testować reakcję na cyberatak, następnie na sabotaż, potem na incydent z dronem lub naruszenie przestrzeni powietrznej, a równolegle prowadzić operację informacyjną przedstawiającą każdy z tych przypadków jako niezwiązany z pozostałymi. Strategiczny efekt może być jednak kumulatywny: osłabienie poczucia bezpieczeństwa, przeciążenie instytucji państwa, wzrost kosztów ochrony infrastruktury i narastające pytania o wiarygodność NATO. W tym mechanizmie szczególne znaczenie będzie miała polska przestrzeń informacyjna. A tu ogromnym problemem jest fakt, iż to premier i jego rząd są głównym źródłem dezinformacji.

Tuż po uderzeniu pocisku manewrującego Ch-101 w Polskę premier Tusk tłumaczył Putina. Twierdził, że nie był to atak wymierzony w nasz kraj, ale był to najprawdopodobniej zbłąkany pocisk lub mieliśmy do czynienia z awarią. Ale gen. Ireneusz Nowak, dowódca operacyjny Rodzajów Sił Zbrojnych, stwierdził, iż w 80 proc. jest przekonany, że było to działanie intencyjne ze strony Rosji. To rujnuje wiarygodność komunikacji rządu z obywatelami, a więc wzmacnia siłę oddziaływania rosyjskiej dezinformacji. Smith podkreśla, że rosyjskie „środki aktywne" mają długą tradycję i opierają się m.in. na wykorzy-

stywaniu pełnomocników, grup pośredniczących i wiarygodnego zaprzeczania. Współcześnie oznacza to możliwość łączenia cyberoperacji, sabotażu i dezinformacji. Jeśli na przykład dojdzie do awarii infrastruktury energetycznej, zakłócenia transportu lub incydentu granicznego, rosyjska operacja informacyjna może jednocześnie podważać ustalenia polskich służb, rozpowszechniać sprzeczne wersje wydarzeń i sugerować, że odpowiedzialność ponosi Polska lub Ukraina. Smith zwraca uwagę, że Moskwa często „odwraca scenariusz", oskarżając państwa NATO o „rusofobię". Celem takiej operacji nie musi być przekonanie wszystkich Polaków do jednej wersji wydarzeń. Wystarczy zwiększenie niepewności i stworzenie przekonania, że nie istnieje wiarygodne źródło informacji. Wybory w 2027 roku mogą stworzyć wyjątkowo dogodne środowisko dla takiej strategii. Rosja wykorzysta kampanie rządu dyskredytujące opozycję. W tym sensie celem rosyjskiej operacji wpływu może być nie tyle „wygranie" polskich wyborów, ile doprowadzenie do sytuacji, w której niezależnie od wyniku wyborczego społeczeństwo pozostanie bardziej podzielone, a nowy rząd będzie miał mniejszą zdolność do prowadzenia spójnej polityki bezpieczeństwa.

Brak mechanizmu odstraszania

Zdaniem Julianne Smith problemem Polski i Zachodu nie jest wyłącznie brak zdolności do wykrywania rosyjskich operacji, lecz brak odpowiednio silnego mechanizmu odstraszania. Autorka pisze, że „dopóki każda prowokacja kosztuje Moskwę tyle, co zestrzelenie drona, Putin ma wszelkie powody, by eskalować konflikt". W odniesieniu do Polski oznacza to możliwość stopniowego przesuwania granicy ryzyka: od działań, które można jeszcze uznać za incydentalne, do działań coraz bardziej niebezpiecznych, przy których rośnie prawdopodobieństwo przypadkowych ofiar i niekontrolowanej eskalacji. Smith ostrzega bowiem, że wraz ze wzrostem rosyjskiej tolerancji na ryzyko rośnie również możliwość, że jeden z kolejnych incydentów zakończy się „katastrofalnymi stratami w ludziach". Dlatego najbardziej prawdopodobny mechanizm rosyjskiej presji wobec Polski nie musi polegać na jednym spektakularnym akcie. Bardziej zgodny z opisanym przez Smith modelem byłby proces stopniowego zwiększania napięcia. Każdy kolejny krok byłby jednocześnie sprawdzianem reakcji Polski i NATO.

W odniesieniu do Polski można mówić o trzech nakładających się poziomach rosyjskiej strategii: bieżącym zakłócaniu i destabilizacji, przygotowywaniu społeczeństw i elit do akceptowania coraz wyższego poziomu rosyjskiej presji oraz rozpoznawaniu słabości wojskowych, infrastrukturalnych i politycznych, które mogłyby zostać wykorzystane w przypadku przejścia do otwartej konfrontacji.

W takim scenariuszu wybory w 2027 roku mogą stać się nie tyle bezpośrednim celem rosyjskiej strategii, ile momentem szczególnie intensywnego oddziaływania. Ale doprowadzanie do wywołania w Polsce krwawej konfrontacji rządu z opozycją byłoby operacją, która mogłaby radykalnie zmienić bezpieczeństwo całego regionu. Byłaby to próba wywołania w Warszawie czegoś na kształt Majdanu. Dla Putina byłby to powód do wielkiego sukcesu. Krwawa prowokacja rosyjskiej agentury w Polsce może być tym czynnikiem, który wyzwoli kumulowaną przez ekipę 13 grudnia wrogość do opozycji. Równie niebezpieczne byłoby połączenie rzeczywistego incydentu z natychmiastową operacją dezinformacyjną, ponieważ pozwala ono przekształcić ograniczony problem bezpieczeństwa w radykalny kryzys polityczny. W świetle analizy Smith najważniejszym wyzwaniem dla Polski nie jest więc samo pytanie, czy Rosja zdecyduje się na konkretny akt agresji, lecz czy będzie mogła przez długi czas zwiększać poziom presji bez ponoszenia proporcjonalnych kosztów. Autorka ostrzega, że Zachód zbyt długo odpowiadał na rosyjskie działania pojedynczo, zamiast rozpoznawać ich wzajemne powiązania. W przypadku Polski oznacza to konieczność patrzenia na cyberatak, sabotaż, prowokację powietrzną, operację dezinformacyjną i działania przeciwko infrastrukturze nie jako na pięć niezależnych wydarzeń, lecz jako potencjalne elementy jednej kampanii. Taka perspektywa jest szczególnie ważna przed 2027 rokiem, ponieważ rosyjska strategia może być skierowana nie tylko przeciwko bezpieczeństwu fizycznemu Polski, lecz także przeciwko jej odporności politycznej, społecznej i informacyjnej. W konsekwencji rosyjska eskalacja może przebiegać według logiki opisanej przez Smith jako stopniowe „zdejmowanie maski": coraz mniej ukrytych operacji, coraz więcej prowokacji, coraz większa tolerancja ryzyka i coraz intensywniejsze testowanie reakcji NATO. Granica między wojną hybrydową a przygotowaniem środowiska do poważniejszej konfrontacji może stawać się coraz mniej wyraźna. Dla Polski kluczowe będzie zatem nie tylko wykrywanie poszczególnych rosyjskich działań, lecz także rozpoznawanie ich jako części długotrwałej kampanii, której celem – zgodnie z analizą Julianne Smith – jest osłabienie jedności NATO, zwiększenie kosztów pomocy Ukrainie i sprawdzenie, jak daleko Moskwa może się posunąć, zanim Zachód zdecyduje się na skoordynowaną odpowiedź. **GP**

Dawid
Wildstein

BRAUN, KOLEJNY KLON GIERTYCHA

Po opublikowaniu taśm, na których wprost mówi się o sprowadzaniu przez przywódcę Konfederacji Korony Polskiej, najlepiej masowo, hinduskich migrantów do pracy u zaprzyjaźnionych z tą partią przedsiębiorców, nikt już nie może nazywać Brauna prawicowcem. Przy tej okazji warto przypomnieć, że postać ta od początku była wydmuszką, produktem postkomunistycznego systemu, zaś jej jedynym celem było ośmieszanie polskiego obozu niepodległościowego i rozbijanie go.

PUBLICYSTYKA

Gdy patrzymy na Brauna, równie ważne jak ujawnianie jego kłamstw jest przypominanie, że w historii III RP tego typu „projekty" nie są niczym nowym. Przed nim było wielu jemu podobnych i po nim, a kiedy okaże się, że nie jest on już w stanie odgrywać swojej roli, pojawią się kolejne jego imitacje. Idealnym przykładem takiego proto-Brauna jest jedna z najważniejszych dziś figur w polskiej polityce, Roman Giertych.

Wszystkie kłamstwa Brauna

Wymieniać kłamstwa Brauna, to, w jaki sposób oszukuje on swoich wyborców, można w nieskończoność. Najważniejsze jest jednak to, że fałsz jest rdzeniem tego ugrupowania i aktywności jego przywódcy. Braun nie ma nic wspólnego z prawicą, z obozem niepodległościowym, jeśli nawet momentami stosował retorykę, która go do wspomnianych formacji upodabniała, okazywała się ona krótkotrwała i czysto powierzchowna. Co symptomatyczne, ten źródłowy fałsz nie przeszkadzał Braunowi reklamować się jako „jedyna prawdziwa prawica", uderzać w inne partie tym, że nie są one dość „antysystemowe". Ten fałsz dotyczy także wiary. Braun udaje prawdziwego katolika, jedynego realnego reprezentanta tej religii w polskiej polityce, gotowego jej bronić za wszelką cenę. W praktyce sprowadza się to do groteskowych, skądinąd zawsze opłacalnych dla liberalno-lewicowej władzy teatrzyków. Raz Braun gasił gaśnicą świecznik chanukowy, innym razem niszczył choinki z niewłaściwymi bombkami. No i regularnie pozdrawiał wszystkich „szczęść Boże". Poza tym... nic. Jedyne, co udało się Braunowi, to utrwalenie wśród sporej części polskiej, a także europejskiej opinii publicznej obrazu Polaka – katolickiego fundamentalisty, agresywnego i niezdolnego do podjęcia dyskusji.

I nie powinno nas to dziwić. Tak naprawdę bowiem Braun i jego ugrupowanie są głęboko antykatolickie. Po pierwsze, jak się okazuje, zgodnie ze słowami profesora Jankowskiego, Braun snuje plany sprowadzenia do nas mas obcej religijno-etnicznie mniejszości. Po drugie, w orbicie partii Brauna są ludzie, których wypowiedzi i działania powinny być dla każdego katolika dyskwalifikujące. Tak zwani Rodacy Kamraci, którzy wprost mówili o tym, że należy defekować (używając znacznie ostrzejszego określenia) na Pismo Święte (warto tu zauważyć, że nawet polska lewica nie ma w swoich szeregach kreatur, które ośmieliłyby się powiedzieć publicznie coś takiego). Leszek Miller, będący idealnym produktem zlaicyzowanej, antyreligijnej postkomuny, czy w końcu Mateusz Piskorski, człowiek broniący Armii Czerwonej i Sowietów, najbardziej destrukcyjnej dla katolicyzmu (w tym polskiego) siły w XX wieku.

Wielbiciele Sowietów

Równie szczery jak w wypadku „katolicyzmu" okazuje się Braun w innych, deklaratywnie konstytutywnych dla tożsamości jego partii kwestiach politycznych i światopoglądowych. Mowa tu o „antykomunizmie", „obronie suwerenności" oraz „sprzeciwie wobec migracji i Unii Europejskiej". Jeśli chodzi o te ostatnie kwestie, pamiętajmy, że taśmy Brauna to tylko kolejny element układanki. Przecież wcześniej, właśnie w Brukseli, korzystając ze swojego statusu europosła, Braun zorganizował spotkanie z przedstawicielami Indii... dotyczące kwestii sprowadzania Hindusów do pracy zarobkowej na teren UE.

Jednak to „antykomunizm" i bezczelność Brauna, to, za jakich idiotów musi mieć on swoich odbiorców, są najbardziej uderzające. O ile przy innych kwestiach usiłuje

się on chociaż ukrywać ze swoimi prawdziwymi poglądami i celami działań, o tyle tu jest wręcz ostentacyjny. Wspomniany już Mateusz Piskorski jest oficjalnie jedną z najważniejszych osób w ugrupowaniu Brauna. Odpowiada za tworzenie struktur terenowych, w tym za pojawianie się nowych grup satelickich, takich jak, cóż za ironiczna nazwa, „polscy suwerenniści". Pomińmy nawet to, że przeciw Piskorskiemu od lat toczy się utajniony proces karny, w którym prokuratura zarzuca mu działalność na rzecz wywiadów rosyjskiego (FSB i SVR) oraz chińskiego, mimo że jest to absolutnie dyskwalifikujące. Oraz to, jakże to „zabawne" w kontekście taśm Brauna, że zarzuca się mu kierowanie nielegalną grupą legalizującą bezprawnie pobyt cudzoziemców w Polsce. Skupmy się na poglądach Piskorskiego wyrażanych publicznie. Otóż okazuje się, że jedną z najważniejszych osób w „antykomunistycznej partii" jest człowiek, który nie ukrywa swojego zachwytu dla sowieckich okupantów i zbrodniarzy z Armii Czerwonej oraz szacunku do nich. Pozwolę sobie przytoczyć tu kilka cytatów z Piskorskiego, żeby pokazać skalę hipokryzji Brauna. „Braterstwo broni z żołnierzami radzieckimi było fundamentem, na którym zbudowano najbezpieczniejsze granice w historii Polski", „bez potęgi militarnej Związku Radzieckiego i poświęcenia radzieckiego żołnierza dzisiejsza Polska nie miałaby ani Wrocławia, ani Szczecina, ani Gdańska", „likwidacja pomników żołnierzy radzieckich to akt czystego barbarzyństwa państwowego i plucie na groby tych, którzy oddali życie za to, by Polacy w ogóle istnieli jako naród".

Sztafeta pseudoprawicowych wydmuszek

Jak już zostało napisane na wstępie, Braun nie jest nowym projektem. To nie pierwszy raz, kiedy postkomunistyczne siły usiłują tworzyć pseudoprawicowe, niepodległościowe podmioty, których jedynym celem jest kompromitowanie prawicowych, niepodległościowych idei oraz odbieranie głosów partiom będącym realnym zagrożeniem dla eurokratów i postkomuny. Pamiętajmy, że do pewnego momentu Roman Giertych był takim samym projektem jak Braun, więcej, nawet dziś pełni czasem taką samą funkcję. Co więcej, zauważmy, że wszystkie składowe Brauna są, i były, w Giertychu. Antysemityzm, skrajna prorosyjskość (zawsze połączona z agresywnym antyamerykanizmem), deklaratywny sprzeciw wobec Unii, kamuflujący tak naprawdę optymalne dla niej działania, w końcu realizacja interesów postkomuny i relatywizacja (o ile nie wręcz wychwalanie) PRL-owskiego reżimu. Warto pamiętać, że to zbieżność nie tylko ideowa. Przez wiele lat Braun miał bardzo bliskie związki z jednym z najbardziej niebezpiecznych, agresywnych ludzi Giertycha, jego prawą ręką, Pińskim, nawet napisali wspólnie książkę. Coraz głośniej mówi się o tym, że ta relacja nie tylko nie została zerwana, lecz wręcz doszło do jej zintensyfikowania, zaś ludzie prawej ręki Tuska mają znaleźć się na listach Konfederacji Korony Polskiej. Braun to właściwie klon Giertycha, sam zaś Giertych to klon innych pseudoprawicowych wydmuszek, których wiele było i wiele jeszcze będzie. Żeby nie szukać daleko, Leszek Miller dziś także usiłuje grać tę rolę.

To wszystko pokazuje jedno. Rządzącym w Unii „skrajna prawica" w państwach naszego regionu nie musi wcale przeszkadzać. Może być wręcz elementem stabilizującym układ polityczny, z którego czerpią profity. Brukselscy eurokraci i ich sojusznicy usiłują doprowadzić do takiego obrzydzenia polityki, że znaczna część obywateli, która chce zmian, oddaje głos na partie radykalne, populistyczne, obiecujące „wywrócić stolik". Skutkuje to odpływem głosów od tych ugrupowań, które byłyby realnie w stanie przeciwstawić się destrukcji państwa. Braun jest więc, na końcu, po prostu kolejnym narzędziem obcych wpływów, i to nawet bardziej Berlina oraz Brukseli niż Moskwy (chociaż, jak widać, sprzedać się może i Indiom). Nie oznacza to jednocześnie, że ex definitione nie można z nim punktowo współpracować. Ugrupowanie Brauna chociażby po to, żeby się uwiarygodnić (tak było przy wyborach prezydenckich), może okazać się złem, które i do dobra prowadzi. W końcu żeby obalić Tuska, i pakt z Czarzastym miałby sens. Trzeba jednak pamiętać, że to zawsze będą nasi przeciwnicy, z drugiej strony opcji politycznej, chcący dla Polski jak najgorzej. **GP**

FOT. FOTOMAG/GAZETA POLSKA

Jakub
Maciejewski

REPUBLIKA NIEMIECKA ROSYJSKIEJ FEDERACJI

Atak na niemieckie interesy jest zamachem na interesy rosyjskie, wspieranie polityki Berlina to realizacja planów Moskwy, a sama RFN jest w coraz większym stopniu częścią składową tej imperialnej hybrydy kontynentalnej. To już ostatni dzwonek, by zacząć traktować Niemcy adekwatnie – jako przedłużenie wpływów Kremla.

PUBLICYSTYKA

To już doprawdy bez znaczenia, co jest przyczyną spenetrowania Niemiec przez Federację Rosyjską. Jedni powtarzają tezy o cywilizacyjnym podobieństwie Niemiec czy, ściślej mówiąc, Prus, do imperium z Kremla, inni mówią o traumie 1945 roku i o immanentnej uległości narodu Goethego wobec barbarzyńców ze Wschodu, jeszcze inni o geopolityce albo o dziedzictwie NRD, które – wedle tych metafor – nie zostało przyłączone do RFN, ale właściwie wchłonęło swojego zachodniego brata, zmieniając jedynie nazwę. I już nawet trudno oceniać skalę rosyjskiej infiltracji Niemiec, skoro nawet po pełnoskalowej inwazji na Ukrainę mamy udokumentowane przypadki współpracy niemieckich oficerów czy urzędników z rosyjskimi służbami.

Szpiedzy tacy jak Niemcy

W listopadzie 2022 roku sąd w Düsseldorfie skazał na rok i 9 miesięcy byłego oficera rezerwy Bundeswehry za szpiegostwo na rzecz rosyjskiej GRU. W grudniu 2022 roku Carsten Linke, wysoki funkcjonariusz BND, został przyłapany na przekazywaniu rosyjskiej FSB tajnych dokumentów dotyczących Ukrainy. Miał otrzymać za te usługi setki tysięcy euro. Kilka miesięcy później do dyplomatów rosyjskich w Niemczech zgłosił się Thomas L., oficer Bundeswehry w Koblencji, oferując im dokumentację o systemach szkoleniowych i technologii lotniczej niemieckiej armii. W 2026 roku prokuratura federalna częściowo zdemaskowała sieć agenturalną Ilony W., która zbudowała powiązania agenturalne z żołnierzami różnych jednostek, którzy przekazywali jej informacje dotyczące niemieckiego uzbrojenia. Gdy więc 6 października aresztowano w Nadrenii Północnej-Westfalii Augusta Hanninga, szefa BND w latach 1998–2005, nie powinniśmy się szczególnie dziwić. W niniejszym numerze „Gazety Polskiej" Antoni Rybczyński szerzej opisuje, jak głęboko w relacje z rosyjskim biznesem i tamtejszymi służbami wszedł ten dawny zaufany człowiek Gerharda Schroedera. Przypadek niemieckiego wysokiego urzędnika pracującego na rzecz Rosji nie byłby wart szerszej analizy, gdyby nie to, że wziął on udział w specyficznym ataku na Polskę. 15 sierpnia 2024 roku były szef BND wystąpił w studiu Welt TV, gdzie stwierdził, że Polska współorganizowała sabotaż na Gazociągu Północnym, który to atak miał miejsce dwa lata wcześniej. W tym czasie śledztwo niemieckie było już dalece posunięte i wykluczało sprawstwo amerykańskie czy rosyjskie i dawno już było skoncentrowane na Ukrainie. W połowie sierpnia Bojan Pancevski opublikował w „Wall Street Journal" swój pierwszy, przełomowy tekst na temat grupy ukraińskich ochotników, którzy na wynajętym jachcie „Andromeda" mieli dokonać operacji wysadzenia Nord Streamu na Bałtyku. Pancevski jednak nie stwierdził, że w tej sprawie „istniały porozumienia między Wołodymyrem Zełenskim i Andrzejem Dudą". To stwierdził August Hanning w opiniotwórczym niemieckim medium. Co więcej, późniejsze publikacje i wypowiedzi Pancevskiego raczej zaprzeczały polskiej współpracy, a w czasie rządów Donalda Tuska wręcz doszło do pomagania stronie niemieckiej w antyukraińskim śledztwie ws. gazociągu. Jeśli więc Hanning wplątał Andrzeja Dudę w odpowiedzialność za akt sabotażu, to zrobił to w oparciu o wiedzę spoza zasobów Pancevskiego.

Wisienka na torcie

Z perspektywy polskiej racji stanu nie byłoby nic złego w tym, że władze RP wspierałyby rozszczelnienie sojuszu niemiecko-rosyjskiego i zadałyby cios w główną arterię tego zbliżenia. Jednak bez względu na to, czy Hanning wie coś więcej, czy może stwierdzał nieprawdę, inaczej to

FOT. ADOBE STOCK

brzmi, gdy wiemy już na pewno, że ciążą na nim zarzuty o agenturalną pracę na rzecz Władimira Putina. Teraz można powiedzieć już z ostatecznym przekonaniem, że Rosja atakuje Polskę rękami swoich niemieckich sprzymierzeńców. Wystąpienie Hanninga jest tutaj wisienką na torcie tych ataków, ale całe śledztwo Bojana Pancevskiego na temat wysadzenia Nord Streamu przemyca szereg pomniejszych mechanizmów, za pomocą których Berlin rozpracowywał ukraińskich sabotażystów w oparciu o polsko-niemiecką współpracę instytucjonalną i zaufanie. Nawet niepozorna i niewinna, proceduralna współpraca polsko-niemiecka służyła prokuratorom niemieckim do ratowania Gazociągu Północnego. Pancevski w rozmowie z Michałem Rachoniem dla Telewizji Republika opowiadał, jak prokuratura w Gdańsku przesłała stronie niemieckiej kopie akt z pozoru nic nieznaczącej sprawy związanej z ochroną przyrody. W rzeczywistości Niemcom chodziło o kopie zdjęć paszportowych osób powiązanych z sabotażem, które przewinęły się także w tamtej sprawie. W ten sposób zwykła współpraca prokuratury polskiej i niemieckiej stała się jedynie przykrywką dla wyciągnięcia od strony polskiej kluczowych informacji potrzebnych do realizacji niemieckiej racji stanu, ale szkodzących polskiej racji stanu. Podobnie było z europejskimi procedurami granicznymi – Niemcy uruchomili je dla swojego partykularnego i przy okazji prorosyjskiego interesu schwytania sprawców i to polski strażnik graniczny otrzymał na komputerze automatyczne polecenie zadania dodatkowych pytań Ukraińcowi poszukiwanemu przez Niemców. Tak oto idea „wspólnej granicy" i „europejskiej wspólnoty" po raz kolejny w praktyce polega na tropieniu antyrosyjskich działaczy, oficerów i specjalistów.

Uzasadniona nieufność

W swojej książce Pancevski podaje więcej przykładów, z których wynika, że służby niemieckie nie są traktowane przez zachodnich sojuszników jako szczególnie prozachodnie, szczelne i wiarygodne. Holenderskie służby, dysponujące informacjami na temat sabotażu na dnie Bałtyku, podzieliły się nimi z Amerykanami, nie zaś z Niemcami. USA w relacjach z Berlinem w zakresie współdziałania służb wydają się również szczególnie ostrożne i wstrzemięźliwe, gdy chodzi o Nord Stream.

Śledztwo niemieckie było o tyle specyficzne, że za cel wzięło ludzi uderzających w rosyjską machinę państwową. Rosja również chciała dorwać sprawców, ale jej prokuratorom odmówiły współpracy takie państwa jak Dania czy Szwecja. W sytuacji odcięcia rosyjskich specjalistów od informacji, te same cele zaczęli realizować Niemcy. Gdy więc polskie służby – już w czasie rządów Donalda Tuska – pozwoliły służbom zachodniego sąsiada przeszukać podwarszawski dom, gdzie mieszkał Ukrainiec podejrzany o sabotaż, Berlin uzyskał szereg potrzebnych dowodów dla swojego śledztwa. Gdyby nie sędzia Dariusz Łubowski, państwo polskie ostatecznie oddałoby w ręce niemieckiego wymiaru sprawiedliwości człowieka, który więcej zrobił dla zatrzymania Nord Streamu niż ćwierć wieku unijnej biurokracji.

Setki Hanningów

I do tej unijnej biurokracji warto tu wrócić – sama międzynarodowa i unijna podstawa prawna dla projektu gazociągowego na dnie Bałtyku powstawała od końca lat 90., także w Brukseli. Od 1998 roku szefem BND był właśnie August Hanning, człowiek głęboko zaangażowany we wspieranie rosyjskiego reżimu aż po dziś dzień, w tym w politykę szkodliwą dla państwa polskiego. Nawet po nastaniu rządów Angeli Merkel Hanning pozostał w kręgu władzy, pełniąc kolejne funkcje w niemieckich ministerstwach. Już tylko ta jedna biografia plasuje państwo niemieckie niczym jakąś część składową, choć autonomiczną, rosyjskiego imperium, która dodatkowo zyskuje na wiarygodności i wpływach przez przynależność do struktur zachodnich. Trzeba zacząć więc otwarcie mówić o tym, że nasz zachodni sąsiad – nawet będąc w NATO czy pozostając liderem Unii Europejskiej – prowadzi politykę na szkodę swoich formalnych sojuszników (na przykład Polski czy USA), a z korzyścią dla swoich formalnych wrogów (Rosji). Sam jeden życiorys Hanninga jest tego kompletnym dowodem, a przecież Niemcy mają setki takich Hanningów: od zwykłych oficerów Bundeswehry czy wywiadu po członków Bundestagu czy byłego kanclerza. Niemcy są po prostu przedłużeniem rosyjskiej polityki, choć w lepszych garniturach i z piękniejszymi sloganami o demokracji. **GP**

Krzysztof
Wołodźko

„ADIN, DWA, TRI, CZIETIRIE...”

Kaszpirowski, (post)sowiecki guru

Dla milionów Polaków zmarły 3 października Anatolij Kaszpirowski stał się symbolem głębokiej transformacyjnej zmiany: w masowej wyobraźni sowieckich genseków zastąpił wówczas radziecki telewizyjny uzdrowiciel. „Ruskiego” nie trzeba było się już bać, należało dać mu się zahipnotyzować. Po latach pan „Adin, dwa, tri...” poparł reżim Władimira Putina. Akademicki psychiatra i guru paranormalnych nauk – nie tyle uzdrowiciel, ile „inżynier dusz”, twórca i tworzywo specyficznej epoki, która próbowała łączyć skrajny racjonalizm z technologicznie zaawansowaną szarlatanerią, a sowieckie korzenie z kapitalistyczną fascynacją wielkimi pieniędzmi.

PUBLICYSTYKA

Początek lat 90. w Polsce. Terapia szokowa, uwłaszczenie nomenklatury i chodnikowy kapitalizm. W 1993 roku sowieckie wojska opuszczają Polskę, za to na targowiskach w całym kraju obywatele pogrążonego w kryzysie czerwonego imperium handlują, czym się da. Rosyjski przestaje być językiem komunistycznej, militarnej siły, staje się mową postkomunistycznej mafii i dziesiątków tysięcy drobnych handlarzy, ratujących, jak się da, swój codzienny byt. Rosyjski jest też mową charyzmatycznego mężczyzny, który w mgnieniu oka podbija serca tłumów. Anatolij Kaszpirowski uzdrawia w Sali Kongresowej w Warszawie, w katowickim Spodku, gdańskiej Hali Olivia. Pełno go w opanowanej wciąż przez ludzi PRL-owskiej władzy Telewizji Polskiej, w rozmowach i dowcipach ulicy. Jesienią 1990 roku ojcowie paulini na Jasnej Górze oddają mu do dyspozycji celę, która wcześniej gościła Jana Pawła II. W Kaplicy Matki Boskiej „radziecki psychoterapeuta doktor Anatolij Kaszpirowski (…) modli się razem z młodzieżą maturalną” – donosi „Kronika Jasnogórska”.

„We wszystkich kościołach Polski”

Gabriel Michalik na kartach książki „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy” podaje, że gdy (post)sowiecki hipnotyzer wszedł w konflikt z rosyjską Cerkwią i powszechnie nazywano go „sługą szatana”, bronił się twardo i hardo: „występowałem we wszystkich kościołach Polski”. To mocna przesada, ale nie da się ukryć, że dyplomowany sowiecki psychiatra (Winnicki Instytut Medyczny, dyplom z 1962 roku) w tamtych latach zdobył sobie serca zarówno wierzących, jak i niewierzących Polaków. Z jego „usług medycznych” mieli korzystać nawet hierarchowie. Wielu ludzi lepiej się czuło po „ozdrowieńczych falach” z telewizora niźli po kaloriach z kuroniówki. Ktoś powie, że ulegał mu tylko „ciemny lud”. Ale Kaszpirowski odebrał również prestiżową Nagrodę Wiktora za 1990 rok, wraz z Joanną Szczepkowską, Janem Nowakiem-Jeziorańskim i Jerzym Waldorffem. Po wielu latach marzył mu się powrót do Polski: chciał leczyć alergie, choroby kręgosłupa i zajmować się korekcją nosa.

Maria Libura, ekspertka Klubu Jagiellońskiego, tłumaczy „Gazecie Polskiej”, że Kaszpirowski pojawił się w idealnym miejscu i czasie. Specjalistka od zdrowia publicznego mówi: – Społeczeństwa naszego regionu miały rozbudzone ogromne nadzieje, doświadczając przy tym głębokiej niepewności i ogromnych trudności. Kiedyś miało być lepiej, ale „tu i teraz” zanikały dotychczasowe struktury wsparcia, w tym opieki medycznej. W takim momencie ludzie potrzebują kogoś z charyzmą, kto chce pomóc, a do tego sprawia wrażenie, że wie, co robi, szczególnie jeśli oferuje cud. Kaszpirowski potrafił tę pewność odegrać przed milionami widzów. Kaszpirowski korzystał z dwóch potężnych generatorów wiarygodności: był lekarzem i występował w telewizji państwowej. Nie trzeba wcale było być skrajnie naiwnym, by uwierzyć, że ogląda się nowe osiągnięcia medycyny, których mechanizmów nauka jeszcze w pełni nie wyjaśniła.

„Potężne atuty” Kaszpirowskiego

Urodzony 11 sierpnia 1939 roku Kaszpirowski długo ćwiczył swoje socjotechniczne i psychospołeczne umiejętności. Przez ćwierć wieku był lekarzem w szpitalach psychiatrycznych, we współpracy z założonym przez Stalina Wszechzwiązkowym Towarzystwem Wiedza jak Sowiety długie i szerokie hipnotyzował robotników i chło-

FOT. FACEBOOK

pów. W 1987 roku został psychoterapeutą radzieckiej kadry narodowej w podnoszeniu ciężarów. Sam był sportowcem. Tyle że nie leczył jedynie nerwic, nie wpływał wyłącznie na emocjonalne i psychiczne samopoczucie jednostek i mas. Gdy objawił się w Polsce, „leczył" już nowotwory i łuszczyce, naprawiał błędy chirurgów i ortopedów. Seanse w TVP, które ruszyły w styczniu 1990 roku, zapewniła mu ekspertyza dr. hab. Lechosława Gapika, zajmującego się wówczas terapią z pomocą hipnozy (po latach lekarz trafił do więzienia za molestowanie pacjentek). Dokument przygotowany na potrzeby polskiej telewizji głosił, że Kaszpirowski „dysponuje trzema potężnymi atutami, a są to: zrozumienie istoty zdrowia i choroby, perfekcyjne przygotowanie zawodowe oraz umiejętność wykorzystania telewizji do oddziaływań specyficznych". Empatyczny i charyzmatyczny, uduchowiony i pełen spokoju? Cytowany wyżej Gabriel Michalik relacjonuje jedną ze swoich rozmów z kolegą po fachu Kaszpirowskiego z czasów na radzieckiej Ukrainie. Nieznany jeszcze światu psychiatra-hipnotyzer miał leczyć z otyłości, wołając do jednej z pacjentek: „Ty krowo gruba, żryj mniej! Won". Z drugiej strony jego terapia hipnozą przeznaczona dla dzieci, które moczą się w nocy, miała rzeczywiście pomagać małym pacjentom. Zajmował się również – ponoć z dobrym skutkiem – zdalnym znieczuleniem z pomocą sugestii.

Kto mógł przewidzieć pod koniec lat 80., że od teleterapii na sowieckiej Ukrainie do „telewizyjnych oddziaływań specyficznych" w Telewizji Polskiej będzie tylko krok. Czarno-białe Neptuny, kolorowe Rubiny, pierwsze telewizory z kapitalistycznych krajów Azji – a z ich ekranów patrzy na nas jego twarz. Miałem 13 lat, lecz trudno mi było dać wiarę, że dorośli ludzie, których znałem od lat, są przekonani, iż z telewizora płyną ozdrowieńcze fale. A przynajmniej biorą na serio taką możliwość. Tego nie uczyli mnie ani na lekcjach fizyki w postpeerelowskiej podstawówce, ani w salce katechetycznej. Na pierwszych lekcjach wiedzy o społeczeństwie dyskutowaliśmy z kolei o Lechu Wałęsie i Stanie Tymińskim. Na marginesie: podczas jednej z wizyt w Krakowie Kaszpirowski, przyciśnięty przez publiczność, zachęcał do głosowania na tego pierwszego. Jesienią 1990 roku w Gdańsku wręczył pokojowemu nobliście czek na 60 mln złotych – „w celu sfinansowania pamiątkowej tablicy z 21 postulatami stoczniowców gdańskich z sierpnia 1980 roku". Nie wiadomo, co się stało z pieniędzmi. Wiadomo jednak, że Kaszpirowski jeszcze przed przyjazdem do Polski otrzymał cenny dokument – imienne zezwolenie na wywóz z Polski zarobionych tutaj pieniędzy. Dokument podpisał Grzegorz Wójtowicz, ówczesny prezes Narodowego Banku Polskiego, później sądzony (i uniewinniony) w sprawie afery FOZZ i Art-B.

Sowiecka psychiatria i wielkie pieniądze

Kaszpirowskiego stać było na gesty, nad Wisłą czuł się jak ryba w wodzie, zaufała mu przeobrażająca się gwałtownie Polska, która w czasach zimnej wojny dla sowieckich ludzi była jednym z okien na Zachód. Transformujący się gwałtownie kraj, który pokochał rynkową gospodarkę, dał mu naprawdę dobrze zarobić. Nikt nie zna prawdziwych sum, ale radziecki cudotwórca (sprzeczność sama w sobie!) zarobił krocie dzięki seansom w telewizji, potężnym wydarzeniom w największych i najbardziej prestiżowych salach w Polsce, występom w kościołach, hojnym darczyńcom, sprzedaży kaset magnetowidowych, zdjęć ze swoim osławionym wizerunkiem i „namagnetyzowanej" soli. A przecież bardzo dobrze zaczął zarabiać jeszcze w sowieckiej Rosji. Masowe seanse w radzieckich republikach przynosiły mu astronomiczne zarobki. Postkomunizm ma stałą cechę: Kaszpirowski korzystał z dobrodziejstw kapitalizmu, choć był człowiekiem sowieckich służb, nigdy nie zrobiłby kariery w radzieckiej kadrze sportowej, nie dostałby programu w sowieckiej telewizji publicznej bez odpowiednich opiekunów ze służb specjalnych. Choć wątek dotyczący jego relacji z „psychotronikami z KGB" przez wielu podawany jest w wątpliwość, pewne jest, że w 1993 roku świetnie odnalazł się w rosyjskiej polityce jako deputowany z ramienia nacjonalistycznej, a następnie jawnie proputinowskiej partii Władimira Żyrinowskiego.

Na początku lat 90. w Polsce nikt jednak nie pytał Kaszpirowskiego o Rosję. Nikt też nie pytał, co stoi za przemianą radzieckiego psychiatry w guru masowej hipnozy, coraz dalszej od naukowej rzetelności. Maria Libura mówi „Gazecie Polskiej": – Już ojciec antropologii Bronisław Malinowski pokazywał, że magia może towarzyszyć całkiem racjonalnym działaniom tam, gdzie wiedza i umiejętności nie zapewniają pożądanego przez nas wyniku. Widać to często w przypadku choroby nieuleczalnej: pacjenci mogą korzystać z leczenia, a zarazem szukać dodatkowej nadziei u uzdrowiciela. Z perspektywy chorego te wybory nie muszą się wykluczać. Dlatego opowieść o zbiorowej naiwności nie tłumaczy zbiorowej fascynacji obciętym na pazia postsowieckim psychiatrą leczącym na odległość. Jego seanse oferowały chwile poczucia sprawczości ludziom tonącym w morzu codziennej bezradności. Łączyły w delirycznym transie znane „stare" (postać ze starego imperium) z niezrozumiałym, mitycznym „nowym". W sumie Kaszpirowski doskonale oddaje stan graniczny naszej transformacji ustrojowej!

Czerwony doktor Faust

Polska i pozostałe kraje demoludów były dla Kaszpirowskiego trampoliną dla kariery na Zachodzie. W Ameryce i Izraelu groma-

dził nie tylko rosyjskojęzyczną publiczność. Nigdzie jednak nie odniósł takiego sukcesu jak u nas w kraju. Trzeba mu przyznać, że umiejętnie łączył wizerunek uzdrowiciela i filantropa. Raz jeszcze Michalik: „(…) w Nowym Jorku Kaszpirowski wystąpi na forum ONZ z raportem o służbie zdrowia w ZSRR. Będzie mówił o Czarnobylu, zachęcał społeczność międzynarodową do przyjścia z pomocą cierpiącym w wyniku skutków katastrofy. Sam wiele razy przekroczy czarnobylską strefę zero. We współpracy z Kościołem katolickim w Polsce zorganizuje kolonie dla dzieci z Czarnobyla. (…) W 1990 i 1991 roku odbyło się co najmniej kilkanaście turnusów, każdy dla pięćdziesięcioosobowej grupy". To jego złote czasy: postsowieccy ludzie wkrótce uznają, że jednak ich nabrał, „czerwony Faust" szybko też skłócił się z Żyrinowskim. Wielu Rosjan miało mu za złe, że na długie lata wybrał życie w USA, dla wielu z nich był także „zbyt ukraiński". W czasach pandemii apelował do Władimira Putina, by zabronił szczepień na COVID-19. Na stałe do Rosji wrócił dwa lata przed śmiercią, gdzie znów próbował hipnozy i sprzedaży magicznej soli. Do moskiewskiego szpitala miał trafić w ostatniej chwili – długo sam próbował wyleczyć się z raka.

Choć sława Kaszpirowskiego dawno w Polsce przebrzmiała, nie brak przecież lekarzy, którzy chcą grać bogów, a stają się medycznymi hochsztaplerami. Maria Libura, zapytana przeze mnie o „faustowski moment" w życiu takich ludzi, odpowiada: – Metafora Fausta jest kusząca, bo sugeruje wyraźny moment wyboru: lekarz porzuca zasady nauki dla sławy i pieniędzy. Tak bywa, ale taka przemiana może również następować stopniowo, niemal niezauważalnie dla samego zainteresowanego. Dyplom nie chroni przed błędami poznawczymi. Lekarz może zobaczyć poprawę po zastosowaniu swojej metody i przypisać ją własnemu geniuszowi. To iluzja przyczynowości. Jeżeli później zapamiętuje przede wszystkim wdzięcznych pacjentów, a niepowodzenia tłumaczy wyjątkowymi okolicznościami, własne doświadczenie zaczyna dostarczać mu coraz więcej potwierdzeń własnej supermocy. Z czasem stawką staje się coś więcej niż jego poglądy na taką czy inną terapię. Zaczynają liczyć się reputacja, dochody, przywiązanie pacjentów, obraz siebie jako człowieka, który pomaga tam, gdzie inni zawiedli. W czasach przejściowych często brakuje gremiów strzegących odpowiedzialności zawodowej, a protesty profesjonalistów bywają lekceważone przez władze publiczne, które korzystają z guru kanalizujących trudne społeczne emocje.

Czy wróciliśmy już do czasów przejściowych? Nawet jeśli, to żaden z dzisiejszych szarlatanów nie powtórzy już sukcesu Anatolija Kaszpirowskiego. **GP**

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

ŻUREK NA DNIE?

Dawid **Wildstein**

Tydzień temu pozwoliłem sobie napisać krótki felieton o tym, jak duży problem ma obecnie Żurek, ów Silny Razem piastujący z nadania Tuska stanowisko ministra sprawiedliwości. Okazuje się, że polityk ten nie jest w stanie wywiązać się z podstawowego zadania, jakie postawił przed nim uśmiechnięty premier, czyli terroryzowania środowisk prawniczych, by wydawały „właściwe wyroki". Tymczasem nikt Żurka już się nie boi. Najwymowniejszym tego dowodem był sędzia Mielcarek, który nie tylko zdecydował się wystawić list żelazny Romanowskiemu, lecz także ogłosił, że ma zamiar podać Żurka do sądu za obrazę jego osoby. Jednak tydzień temu nie miałem świadomości, jak słaby jest tak naprawdę minister sprawiedliwości. Otóż kilka dni temu pojawiło się nagranie, na którym widać, jak Żurek z Kornelukiem usiłują przekonać swoich prokuratorów do przyjęcia awansu w ramach zarządzanej przez nich instytucji. Sytuacja jest w swoim absurdzie aż niebywale komiczna. Kolejni kandydaci im odmawiają, oczywiście wcześniej zaznaczając, że „bardzo dziękują za propozycję", którą „postrzegają jako niezmierny zaszczyt". Gdy czwarta czy piąta osoba powtarza tę formułę, trudno nie odnieść wrażenia, że mamy do czynienia z szyderstwem. Symptomatyczna jest też mowa ciała tak Żurka, jak i Korneluka. Wyraźnie widać, jak są coraz bardziej zdesperowani, jak usiłują ukryć wściekłość i strach pod nerwowymi żartami. W pewnym momencie zrezygnowany Żurek aż jęczy: „Nie ma żadnego ochotnika?". Ta scena pokazuje, w jakiej entropii jest ta władza. Nie tylko nikt nie chce się umoczyć w jej przestępstwa, dodatkowo w swojej nieudolności staje się coraz śmieszniejsza. Czy oznacza to koniec Żurka? Ironia polega na tym, że w tej samej sytuacji co minister sprawiedliwości jest sam Donald Tusk. Poza Żurkiem nasz uśmiechnięty premier raczej nie znajdzie ochotnika, który – na rok przed wyborami – będzie ryzykował więzienie, by służyć tej politycznej mafii… **GP**

FELIETON

{ WRZUTKA }

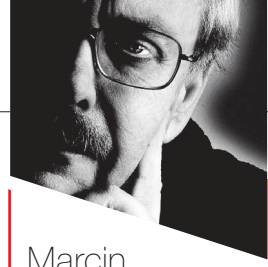

Marcin
Wolski

OSTATNIE KUSZENIE KAMYSZA

Wszyscy zastanawiają się, co mógł załatwiać sobie w Waszyngtonie Władysław Kosiniak-Kamysz. Już sam fakt, że posiada przepustkę do Białego Domu, sugeruje, że dzieją się rzeczy ważne, w końcu jego szef Donaldinio może co najwyżej pomarzyć o wykupieniu wycieczki, a na razie, na podobieństwo Radka Sikorskiego, oglądać sobie Biały Dom przez parkan. Czy jest zatem możliwe, że doktor Władysław K.-K. otrzymał propozycję nie do odrzucenia – wyjścia z koalicji 13 grudnia i zawiązania nowej z prawicą? Tylko pytanie, czy wystarczy mu odwagi, bo ta u naszego „hetmana rolnego" jest jak zwykle w deficycie. Osobiście gdybym był na miejscu Adama Bielana, miałbym dla Kosiniaka lepszą propozycję – szefostwo NATO z tytułem generalissimusa wraz z mundurem wzorowanym na Gwardii Watykańskiej (w końcu kolory gwardzistów są zbliżone do bliskich jego sercu pasiaków łowickich). Musiałby przyklasnąć, a potem już tylko na koń, szablę w dłoń, bolszewika goń, goń, goń. Niestety może się okazać, że mamy za mało koni. Media doliczyły się ostatnio czterech rumaków w użytkowaniu rodziny prezydenckiej. Na szwadron bojowy za mało! A swoją drogą, po co prezydentowi konie? Społeczeństwo chce, żeby było po równo, i być może zadowoliłby je nawet ten prezydent wypoczywający w ośrodku wczasowym „Jagódka" i płacący za wypożyczenie leżaka i parasola 15 euro. A przy okazji pytanie – ile powinni żyć przywódcy, jeśli nie da się wiecznie? Na przykład wielki demokrata Władimir Putin gotów jest zgodzić się na 150 lat, czyli ledwie 14 kadencji. Znaleźli się następcy Miczurina i Łysenki. Są pomysły korzystania z organów zwierzęcych, podobno najbardziej nadają się świńskie. Tylko jak potem mówić o długowiecznym dostojniku półczłowieku, półświni. Choć wśród komponentów znajdą się i psie serce, i sokoli wzrok, i strusi żołądek. A wracając do naszego „bohatera mimo". Wszystko ma swoją cenę. Więc jeśli pan doktor nie chce umierać za Tuska, trzeba licytować wyżej. Urząd dożywotniego hetmana, podobnie fotel premiera, a nawet prezydenta nie wystarczą, więc trzeba mu będzie zaproponować stanowisko króla. Będzie jak znalazł, kiedy przerażeni przywódcy ginącego pod muzułmańską nawałą Zachodu przyjadą do Warszawy, padną na kolana i zawołają do Kamysza, czyli Władysława V Piasta: „Królu, ratuj chrześcijaństwo!". **GP**

Wszystko ma swoją cenę. Jeśli pan doktor nie chce umierać za Tuska, trzeba licytować wyżej.

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }

Tomasz
Łysiak

NARZĘDZIA CIEMNOŚCI

W scenie III „Makbeta" Williama Szekspira padają takie słowa wypowiadane przez Banko: „Narzędzia Ciemności często, chcąc przywieść nas do zguby, mówią Prawdę. A będąc uczciwe w drobnostkach, zdradę gotują w sprawach najważniejszych". A mówi to przecież Banko prosto w twarz przyszłemu zbójcy, tuż po złowieszczych przepowiedniach Wiedźm, które poruszają w „Makbecie" strumień instynktów i wad charakteru. Żyjemy w świecie, w którym szekspirowska fraza z „Makbeta" da się weryfikować co chwilę i to, niestety, w bolesny dla nas sposób. Prawda bowiem jest wykorzystywana przez manipulantów i służy do takiego jej stosowania, by sprzyjała złu. Ułatwiają to nie tylko wszystkie współczesne media, technologie i cyfrowe cudeńka, ale też klimat przyzwolenia na to, by w brutalnej walce politycznej chwytać się wszystkiego i obracać na swój sposób, tak aby zmanipulowana prawda służyła kłamstwu. Doskonale to widać na przykładzie ataków na prezydenta RP Karola Nawrockiego. Cokolwiek zrobił (czy nie zrobił), wszystko jest wykorzystywane przeciwko niemu, pozbawiane kontekstów i pokazywane tak, że z prawdy zostają jakieś ćwierćprawdy czy też jeszcze mniejsze jej ułamki (chociaż podobno prawda jest niepodzielna – albo jest, albo jej nie ma!). Czy to będzie kwestia konia w prezydenckiej stajni, czy symbolicznego wyjścia na ring z filipińskim mistrzem i osobą niezwykle poważaną na Filipinach – wszytko zostanie skrócone, odarte ze znaczeń i użyte do prymitywnej nawalanki. Ba, jeden z posłów rządzącej kolacji w social mediach ten symboliczny „pojedynek" z filipińską gwiazdą nazwał walką „gangusów", obrażając nie tylko polskiego prezydenta, ale też Filipiny. I co? I nic. Okazuje się, że tak można, taki jest „usus" obyczajowy. Coś wchodzi w życie i tak zostaje. Jest jednak i kolejny sens słów z „Makbeta", które możemy przyjąć – jako dobrze opisujące rzeczywistość nam współczesną – to bycie uczciwym w drobnostkach, by zdradzić w kwestiach najważniejszych. I to chyba daje asumpt do jeszcze poważniejszej refleksji nad tym, w jakim państwie żyjemy i kto nami rządzi. **GP**

Prawda jest dziś wykorzystywana przez manipulantów i służy do takiego jej stosowania, by sprzyjała złu.

CAŁY ŚWIAT BYŁ W SZOKU.

TAJEMNICA WYSADZENIA ROSYJSKO-NIEMIECKIEGO GAZOCIĄGU

ROZMOWA Z AUTOREM KSIĄŻKI „WYSADZIĆ NORD STREAM. SABOTAŻ, KTÓRY WSTRZĄSNĄŁ ŚWIATEM".

– W pewnym momencie, kiedy sztorm był już bardzo silny, skipper – bardzo doświadczony żeglarz, który nie miał problemu z pływaniem podczas sztormów – uznał, że sytuacja zaczyna być naprawdę niebezpieczna. Fale miały ponad dwa metry wysokości. Obawiał się o życie załogi. Zapytał więc: „Czy na pewno chcecie to robić?". Przeprowadzili coś w rodzaju głosowania. Większość nie chciała kontynuować, ponieważ uznali, że ryzyko jest zbyt duże. I wtedy ta kobieta wstała i powiedziała mniej więcej: „Rozumiem, że to jest niebezpieczne. To może pozwólcie mi zejść samej. Wy możecie tutaj zaczekać. Zejdę, dokończę zadanie, wrócę na powierzchnię, zabierzecie mnie i odpłyniemy" – powiedział Bojan Pancevski w ekskluzywnej rozmowie z Michałem Rachoniem na antenie TV Republika.

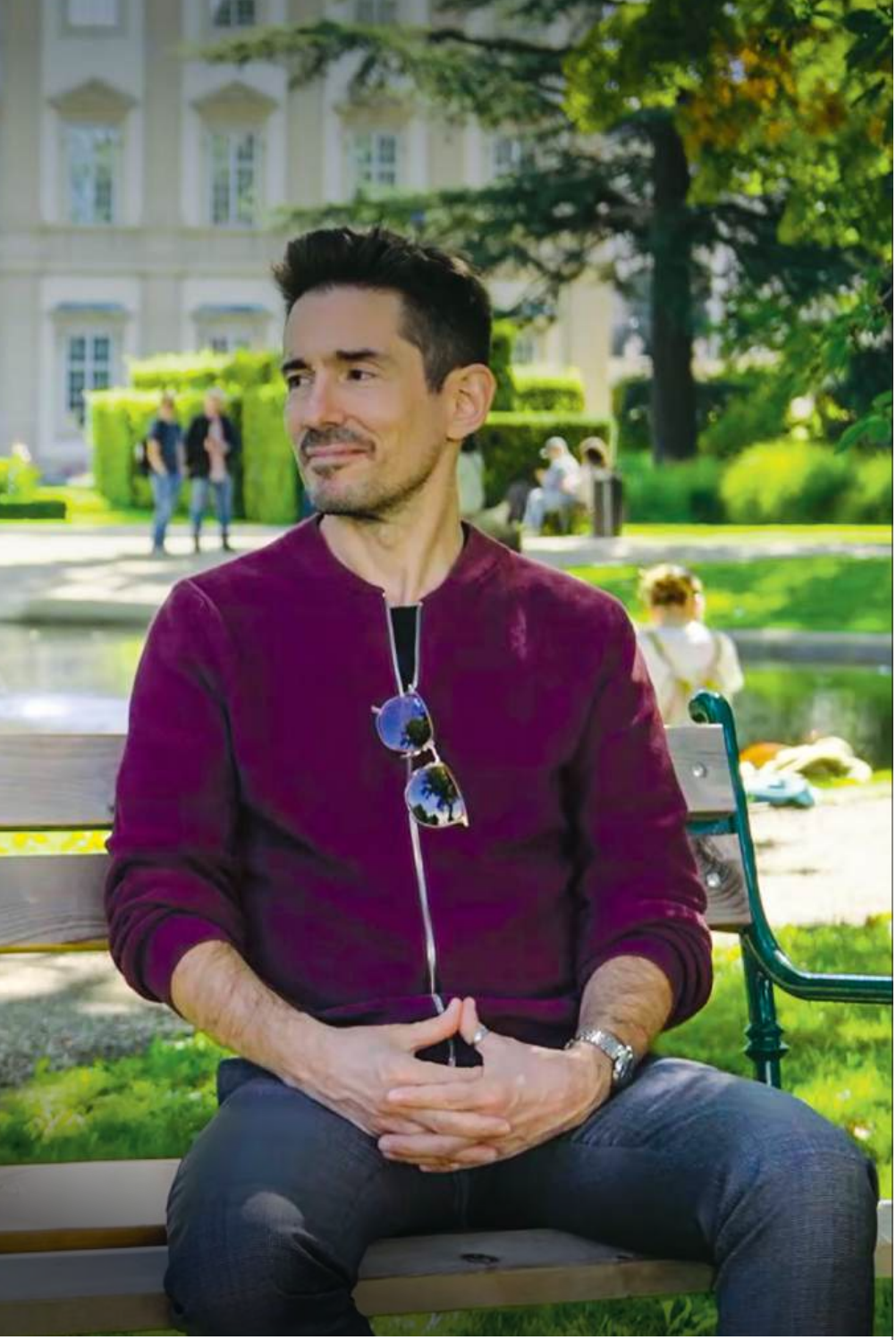

FOT. REPUBLIKA

Bojan, kiedy opublikowałeś swoją książkę, cały świat zadawał sobie pytanie, jak mogło dojść do wysadzenia Nord Streamu. Opisywałeś tę historię już wcześniej w swoich publikacjach, ale nawet eksperci od nurkowania głębinowego, zawodowi nurkowie bojowi nie wierzyli, że NS można było wysadzić w sposób, który opisałeś.

Nie chodziło tylko o nurków. Na początkowym etapie tej zagadki mylili się również eksperci od materiałów wybuchowych. Myślę, że powód jest taki, że kiedy czegoś nigdy wcześniej nawet nie próbowano zrobić, a tym bardziej nie zrobiono tego w taki sposób, ludziom trudno jest sobie wyobrazić, że jest to w ogóle możliwe. Dopóki nie pokażesz, że coś jest możliwe, ludzki umysł tego nie przyjmuje. Widzieliśmy to choćby podczas pandemii. Nie wyobrażaliśmy sobie, że mogą zostać wprowadzone lockdowny, a jednak do tego doszło. Pewne rzeczy stają się możliwe dopiero wtedy, kiedy ktoś pokaże, że rzeczywiście da się je zrobić. Myślę więc, że z ukraińskiej perspektywy tę operację można było przeprowadzić właściwie tylko w taki sposób, w jaki została przeprowadzona: tanio, przy użyciu niewielkiej liczby ludzi, przy ogromnym ryzyku i z niezwykłą odwagą.

Nawet nie wiem, od którego miejsca zacząć tę historię, ponieważ z polskiej perspektywy jest ona niezwykle interesująca. Polska była bardzo zaangażowana w cały ten proces. Zacznijmy jednak od samej natury operacji. Opisujesz coś w rodzaju półprywatnej operacji kilku osób, które miały silne związki ze służbami specjalnymi i środowiskiem wojskowym, ale jednocześnie – przynajmniej technicznie, według twoich źródeł i tego, co opisujesz w książce – znajdowały się niejako na uboczu głównego nurtu politycznego oraz głównych struktur służb specjalnych Ukrainy. Czy była to zatem operacja państwa ukraińskiego?

Była to operacja ukraińskich sił zbrojnych, a siły zbrojne oczywiście należą do państwa.

Komuś w Polsce, Niemczech czy ogólnie na Zachodzie może być trudno zrozumieć, jak funkcjonuje Ukraina podczas wojny. To zupełnie inna polityka, zupełnie inne społeczeństwo, o czym zresztą z pewnością wiesz. Jest ono dość mocno podzielone. Struktury bezpieczeństwa są rozproszone, siły zbrojne są rozproszone, scena polityczna jest rozdrobniona. Pod powierzchnią istnieje wiele różnych interesów, często sprzecznych ze sobą, niekiedy pozostających ze sobą w otwartym konflikcie. Myślę, że widzimy to również w ostatnich tygodniach.

Zasadniczo była to więc operacja struktur wojskowych. Została wymyślona i przeprowadzona w obrębie elitarnej jednostki sił specjalnych Sił Zbrojnych Ukrainy. Zaplanowali ją doświadczeni oficerowie, którzy wcześniej służyli w wywiadzie, a następnie przeszli do wojska. Pomagali im oficerowie armii i funkcjonariusze wywiadu, natomiast ludzie, którzy fizycznie

przeprowadzili atak, czyli umieścili ładunki na gazociągach, byli cywilami. Nie byli nawet żołnierzami ani funkcjonariuszami służb. W tym świecie określa się ich mianem „proxies", czyli osób działających w zastępstwie. Zostali zwerbowani specjalnie do tej operacji ze względu na swoje umiejętności, przede wszystkim umiejętność nurkowania głębinowego.

Samo słowo „proxy", którego użyłeś, jest bardzo często kojarzone ze współczesnym sposobem prowadzenia operacji służb specjalnych – takich, których technicznie i oficjalnie nie można przypisać państwu. Mieliśmy przecież oficjalne oświadczenia państwa ukraińskiego, że Ukraina nie była w to zaangażowana. Z drugiej strony z tego, co piszesz w książce, wynika dość jasno, że nie tylko państwo musiało o tym wiedzieć, lecz także środowisko służb specjalnych. Co więcej, zachodnia wspólnota wywiadowcza również posiadała pewną wiedzę o tym, że coś takiego jest przygotowywane.

Międzynarodowa wspólnota wywiadowcza dowiedziała się o tej operacji mniej więcej pod koniec maja albo na początku czerwca 2022 roku. Gazociągi zostały wysadzone 26 września 2022 roku. Czyli prawie dokładnie cztery lata temu. Holenderski wywiad wojskowy uzyskał informację ze źródła osobowego, że na Ukrainie przygotowywany jest plan wysadzenia gazociągów przez jednostkę wojskową. Holendrzy poinformowali o tym CIA. Było to pod koniec maja lub na początku czerwca, czyli kilka miesięcy przed samym atakiem. CIA natychmiast ostrzegła Niemcy, że ktoś próbuje wysadzić gazociągi, a Ukraińcom przekazano, aby tego nie robili. Na wysokim szczeblu zachodnie służby wywiadowcze posiadały więc tę wiedzę, a później informacje te rozeszły się również w części administracji państw Europy Zachodniej. Nie było więc tak, że wydarzenie to było całkowitym szokiem albo pojawiło się zupełnie znikąd. Istniały pewne sygnały wskazujące zarówno na to, co miało się wydarzyć, jak i na to, kto zamierzał to zrobić.

Operacja została wymyślona i przeprowadzona w obrębie elitarnej jednostki sił specjalnych Sił Zbrojnych Ukrainy. Zaplanowali ją doświadczeni oficerowie, którzy wcześniej służyli w wywiadzie, a następnie przeszli do wojska. Pomagali im oficerowie armii i funkcjonariusze wywiadu, natomiast ludzie, którzy fizycznie przeprowadzili atak, czyli umieścili ładunki na gazociągach, byli cywilami.

W książce znajdują się co najmniej dwa bardzo interesujące wątki. Pierwszy jest oczywiście interesujący z perspektywy światowej opinii publicznej: chodzi o wiedzę CIA oraz rolę rezydenta CIA w Kijowie. Drugi jest szczególnie interesujący dla polskiej opinii publicznej i w Twojej książce pojawia się tylko na krótko. Zacznijmy od CIA. Dlaczego – jeśli dobrze pamiętam – szef placówki CIA miał wysłać wiadomość do organizatorów? Rozumiem opisane w książce wydarzenia w ten sposób, że CIA chciała mieć dowód, iż zwróciła się do organizatorów, a w odpowiedzi otrzymała zaprzeczenie, że cokolwiek robią. Dzięki temu CIA mogłaby później powiedzieć: „Mamy czyste ręce. Nic o tym nie wiedzieliśmy, zapytaliśmy ich, oni zaprzeczyli, więc z naszej strony sprawa jest czysta".

Ten konkretny funkcjonariusz CIA otrzymał od swoich przełożonych polecenie, aby skontaktować się z ludźmi stojącymi za tym planem i powiedzieć im, żeby go przerwali. Robiąc to, chciał również w pewnym sensie zabezpieczyć samego siebie. Gdy kierownictwo CIA dowiedziało się o planie, uznało go za bardzo zły pomysł.

Trzeba pamiętać, że był to bardzo wczesny etap wojny. Administracja Bidena próbowała wtedy przekonać Niemcy do większego zaangażowania. Dzisiaj sytuacja wygląda zupełnie inaczej, ale na początku wojny Niemcy – największa gospodarka Europy i tak dalej – nie pomagały Ukrainie w takim stopniu, w jakim mogły pomagać. W Waszyngtonie, oczywiście również w Kijowie, a przypuszczam, że także w Warszawie, panowała duża frustracja związana z tym, że Niemcy były bardziej pasywne, niż oczekiwano.

Administracja Bidena naciskała więc na Niemcy, aby zrobiły więcej. Jeśli pamiętasz, toczyła się wtedy dyskusja o czołgach Leopard: czy przekazać Ukrainie Leopardy. W tamtym momencie wojny czołgi wciąż odgrywały bardzo ważną rolę. Dzisiaj, wraz z dominacją dronów, ich znaczenie jest o wiele mniejsze. Amerykanie pomyśleli więc: jeśli informacja o tym planie

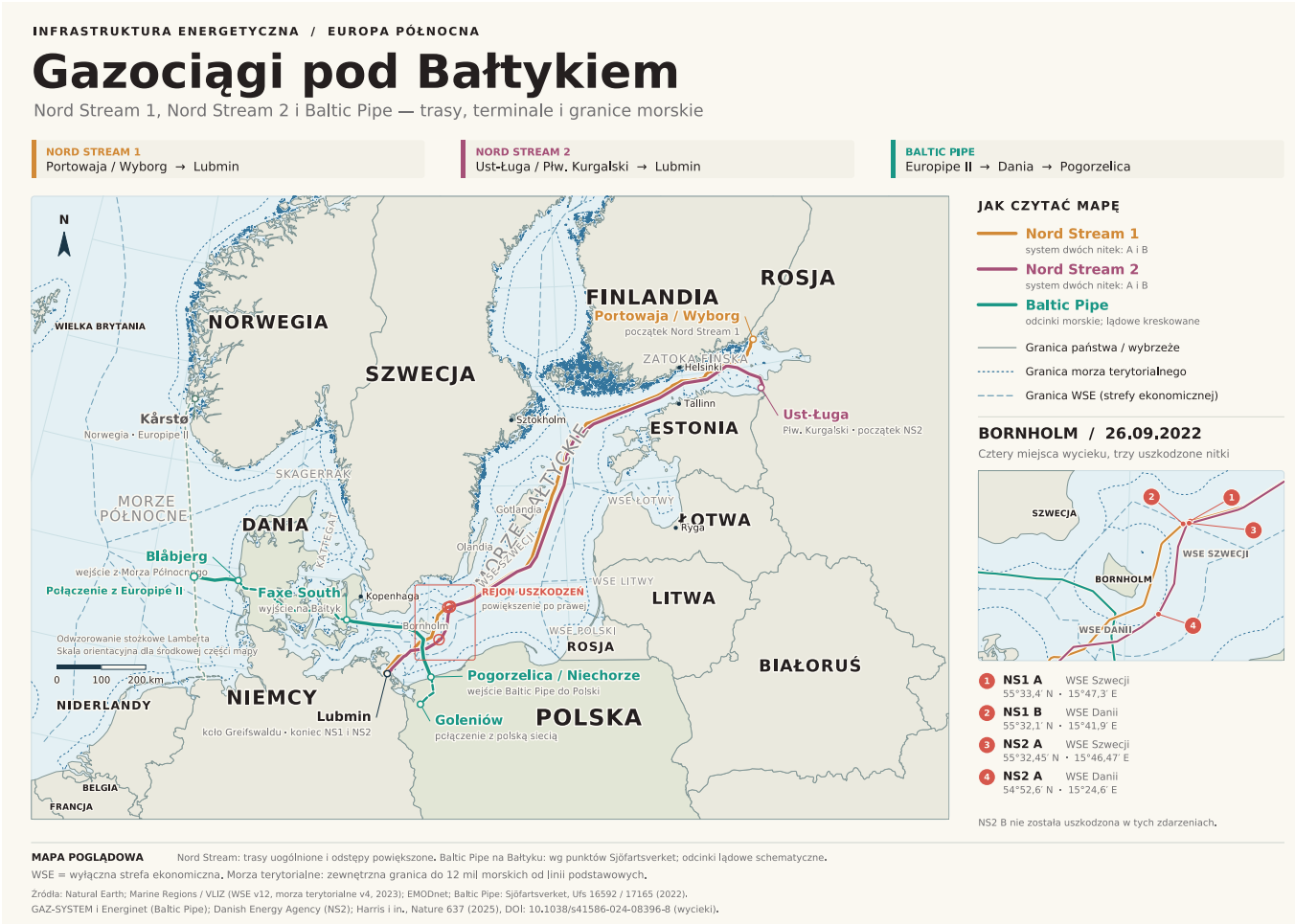

Do wysadzenia Nord Streamu użyto około 30 kg materiałów wybuchowych, które umieszczono w butlach nurkowych. Przymocowano je do gazociągu. Eksplozja zrobiła niewielkie nacięcie, które następnie wywołało reakcję łańcuchową. Rurociąg został rozerwany, powodując ogromną eksplozję.

wyjdzie na jaw, jeżeli media o tym napiszą, ówczesny kanclerz Niemiec Olaf Scholz będzie miał ogromny problem z przekonaniem niemieckiego społeczeństwa do dalszego wspierania Ukrainy, przekazywania pieniędzy i broni.

Były przecież również wcześniejsze sugestie, nawet ze strony prezydenta Bidena, że Nord Stream może przestać działać.

Oczywiście. Każdy amerykański prezydent od czasów George'a W. Busha sprzeciwiał się tym gazociągom. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Amerykanie nienawidzili tych gazociągów. Brytyjczycy ich nienawidzili. Polacy ich nienawidzili. Praktycznie cała Europa Wschodnia ich nie chciała. Pod koniec również Francuzi zaczęli się im sprzeciwiać. Niemcy pozostawali więc właściwie sami, razem z Austriakami i może kilkoma innymi państwami, do pewnego stopnia na przykład z Holandią. Byli dość osamotnieni w swoim podejściu do współpracy energetycznej z Rosją.

Joe Biden w styczniu, tuż przed pełnoskalową inwazją, powiedział, że jeżeli Rosja dokona pełnoskalowej inwazji, Nord Stream 2 zostanie zatrzymany. Ale miał na myśli sankcje. Amerykanie nie muszą niczego wysadzać, ponieważ dysponują ogromną siłą sankcji wtórnych. Tak naprawdę właśnie sankcje uniemożliwiają dziś Rosji naprawienie gazociągów. System Nord Stream, największy system podmorskich gazociągów na świecie, składa się z dwóch gazociągów: Nord Stream 1 oraz Nord Stream 2. Nord Stream 1 jest starszy, Nord Stream 2 nowszy. Nord Stream 1 jest obecnie objęty sankcjami Unii Europejskiej. Niemcy ostatecznie zgodziły się na ich wprowadzenie. To właśnie sankcje uniemożliwiają Putinowi naprawienie gazociągu. Putin próbował doprowadzić do jego naprawy i wznowić handel gazem, ale nie może tego zrobić ze względu na sankcje. Amerykańskie sankcje są w pewnym sensie skuteczniejsze niż materiały wybuchowe – dopóki Amerykanie albo Europejczycy ich nie zniosą. Kiedy więc Joe Biden mówił, że Nord Stream 2 zostanie zatrzymany, miał na myśli właśnie sankcje. I dokładnie tak się stało. Gdy rozpoczęła się pełnoskalowa inwazja, Niemcy wstrzymały proces certyfikacji. Następnie Unia Europejska wprowadziła sankcje, a Amerykanie powrócili do polityki sankcyjnej zapoczątkowanej jeszcze przez administrację Trumpa.

Eksplozja gazociągu Nord Stream. Wybuch został zarejestrowany około tysiąca kilometrów dalej na północ, w rejonie szwedzkiego koła podbiegunowego.

Były też sankcje dotyczące możliwości ubezpieczenia takich prac.

Tak. Nikt nie może nawet dotknąć tego gazociągu. Jeżeli obowiązują sankcje, żadna firma budowlana nie może przy nim pracować, żadna firma ubezpieczeniowa nie może ubezpieczyć prac ani samego gazociągu i żadna firma nie może kupować przesyłanego nim gazu. Nawet gdyby w jakiś magiczny sposób naprawiono gazociąg i ponownie wpuszczono do niego gaz, kto miałby go kupić? Żadna firma nie mogłaby tego zrobić, ponieważ naraziłaby się na amerykańskie sankcje.

To była więc amerykańska część odpowiedzi na pytanie o to, kto wiedział wcześniej. W jaki sposób informacja trafiła do holenderskich służb? Wspominasz, że jedno ze źródeł twierdziło, iż mogło się to stać za pośrednictwem polskich służb specjalnych.

Nie. Z tego, co wiem, polskie służby specjalne w ogóle nie uczestniczyły w tej operacji. Myślę natomiast, że już po operacji, kiedy Niemcy rozpoczęli śledztwo i zaczęli odkrywać kolejne szczegóły dotyczące tego, co się wydarzyło i jak zostało przeprowadzone, wtedy Polacy się zaangażowali. I, mówiąc bardzo delikatnie, nie byli szczególnie skłonni do współpracy z Niemcami.

Mogę powiedzieć, że Holendrzy posiadali informację ze źródła osobowego dotyczącą tego, co miało się wydarzyć. Mam własne przypuszczenia na temat tego, kim mogło być to źródło i skąd pochodziła informacja, ale nie chcę o tym mówić. Nie omawiam tego również w książce.

Z perspektywy Ukraińców stojących za atakiem wyglądało to tak, że rozmawiali o różnych możliwościach ze swoimi przyjaciółmi i współpracownikami w zachodnich służbach – m.in. w Polsce i Szwecji. Szwecja była zresztą bardzo istotna, ponieważ jej wybrzeże znajduje się bliżej miejsc, które planowali zaatakować. Początkowo planowali wypłynąć ze Szwecji, a nie z Niemiec. Kiedy CIA dowiedziała się o operacji i próbowała ją powstrzymać, cały plan przełożono i zmodyfikowano. Zrezygnowano ze Szwecji i ostatecznie operację przeprowadzono z terytorium Niemiec.

Rozmawiali jednak wcześniej o tych planach ze swoimi bliskimi kontaktami w różnych służbach wywiadowczych, jak sądzę również w Polsce. Dlatego później, kiedy próbowali ustalić, w jaki sposób informacja wyciekła, zastanawiali się: może ktoś w Polsce coś powiedział, może ktoś w Szwecji coś powiedział? Nie było to dla nich jasne.

Czyli chodziło raczej o echo wcześniejszych rozmów i całego procesu przygotowań.

Dokładnie. Ludzie, którzy organizowali tę operację, byli przecież weteranami środowiska wywiadowczego. Przez lata blisko współpracowali z różnymi europejskimi partnerami, oczywiście również z Amerykanami. Mieli więc kontakty w CIA, w szwedzkich służbach, w polskich służbach i tak dalej.

Przejdźmy więc do Polski, również pod względem czysto technicznym. Organizacja tego ataku przebiegała

w kilku etapach i przynajmniej dwa z nich – być może więcej – były bezpośrednio związane z Polską. Pierwszym było miejsce, czyli bezpieczny dom, w którym zebrała się ekipa w południowo-wschodniej Polsce. Drugim był port związany z jachtem „Andromeda", który również odegrał rolę w całej operacji. Zacznijmy od pierwszego wątku. To również miało pewne poważne konsekwencje. Ludzie, którzy formalnie nie byli zawodowymi żołnierzami, zostali zgromadzeni w bezpiecznym domu i potraktowani zgodnie z zasadami, według których funkcjonują żołnierze. To bardzo interesujące i wydaje mi się, że przed publikacją Twojej książki nikt w Polsce o tym nie mówił. Co o tym wiemy?

Polska była w pewnym sensie zapleczem logistycznym tej operacji, po prostu dlatego, że podczas tej wojny Polska jest zapleczem logistycznym praktycznie każdej operacji związanej z Ukrainą. Graniczy z Ukrainą. Wszystko musi przechodzić przez Polskę – amunicja, transport, ludzie. Żeby grupa sabotażowa mogła dotrzeć do miejsca docelowego, czyli portu na wyspie Rugia w Niemczech, musiała przejechać przez Polskę. Przekraczając granicę z Ukrainy do Polski, posługiwali się ukraińskimi paszportami. Następnie trafili do bezpiecznego domu w Polsce, którego lokalizacji nie ujawniamy. Czekali na dokumenty tożsamości z Unii Europejskiej. Plan zakładał, że ukraińskich paszportów używają wyłącznie do przekroczenia granicy. Były to prawdziwe ukraińskie paszporty, wydane jednak na inne nazwiska. Jedyną prawdziwą rzeczą było zdjęcie osoby znajdującej się w paszporcie. Nazwisko było inne, dane były inne, ale sam dokument był autentyczny. Paszporty zostały wydane przez ukraiński wywiad.

Co dość wyraźnie pokazuje zaangażowanie ukraińskiego państwa.

Tak, służb wywiadowczych. Przekroczyli granicę z tymi paszportami, ale następnie otrzymali polecenie, żeby je schować i nigdy więcej nikomu ich nie pokazywać. Chodziło o to, żeby po rozpoczęciu operacji w żaden sposób nie łączyć zespołu z Ukrainą. Czekali więc na dokumenty tożsamości państw Unii Europejskiej, które miały zostać dostarczone do tego bezpiecznego domu. Dzięki nim mogli podróżować do Niemiec. Jeżeli mieliby zostać wylegitymowani przez policję czy jakiekolwiek inne służby, mieli posługiwać się właśnie europejskimi dokumentami. Czekali tam przez pewien czas. Cały proces trwał dłużej, niż zakładano. Pojawiły się problemy z dostarczeniem dokumentów. Dlatego do momentu, kiedy je otrzymali, musieli pozostać w Polsce i praktycznie nie opuszczać domu.

Mieli wysadzić dwa gazociągi – choć technicznie Nord Stream to właściwie dwa gazociągi i cztery rury.

Cztery rury.

Polska była w pewnym sensie zapleczem logistycznym tej operacji, po prostu dlatego, że podczas tej wojny Polska jest zapleczem logistycznym praktycznie każdej operacji związanej z Ukrainą.

Dwa gazociągi, cztery rury. Pierwotny plan zakładał również wysadzenie TurkStreamu. Pomysł polegał na tym, że dwa zespoły miały działać jednocześnie i niezależnie od siebie. Zanim więc przejdziemy do skutecznego wysadzenia Nord Streamu, porozmawiajmy o południowej części operacji. Ona się nie udała. Dlaczego?

Plan zakładał wykorzystanie dwóch jachtów żaglowych, dwóch niewielkich jednostek, każda z sześcioosobową załogą składającą się z żołnierzy i nurków. Celem było wysadzenie Nord Streamu oraz TurkStreamu. Były to dwa gazociągi, którymi rosyjski gaz płynął bezpośrednio do Europy z pominięciem terytorium Ukrainy.

TurkStream składa się z dwóch rur. Jest trochę krótszy od Nord Streamu. Biegnie pod Morzem Czarnym, łącząc Rosję z Turcją, a następnie gaz trafia dalej do Unii Europejskiej przez Bałkany. Ta część operacji zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. Wybrano rumuński port nad Morzem Czarnym – Mangalię. To popularna miejscowość wypoczynkowa w Rumunii. Wynajęli tam jacht. Plan był taki, że nurkowie i żołnierze wypłyną nim na morze i zrobią mniej więcej to samo, co później zrobiono z Nord Streamem. Problem polegał na tym, że nie odrobili odpowiednio pracy domowej. Myślę – choć nigdy mi się do tego wprost nie przyznali – że pomylili mniejsze gazociągi znajdujące się u wybrzeży Bułgarii z właściwym dużym gazociągiem, który leży znacznie dalej i znacznie głębiej. Morze Czarne jest dużo głębsze od Bałtyku. Bałtyk ma nieco ponad 100 metrów głębokości w najgłębszych obszarach związanych z tą operacją, podczas gdy Morze Czarne schodzi miejscami do około 2000 metrów. To był pierwszy błąd – nieprawidłowo zaplanowana logistyka.

Drugim, kluczowym błędem było to, że nie zdawali sobie sprawy, jak silnie kontrolowany jest akwen w pobliżu Mangalii, u wybrzeży Rumunii, tuż przy granicy z Bułgarią. Teren jest intensywnie patrolowany zarówno przez straż przybrzeżną, jak i przez okręty NATO. Powód jest prosty. Nieco dalej na północ, w rejonie

Odessy, trwa wojna. Poważna wojna. Dlatego rumuńska i bułgarska straż przybrzeżna bardzo rygorystycznie kontroluje ten rejon. Firmy wynajmujące łodzie często nie pozwalają klientom wypływać poza rumuńskie wody terytorialne, m.in. ze względów ubezpieczeniowych. Jeżeli chcesz opuścić rumuńskie wody terytorialne, często musisz mieć na pokładzie skippera zatrudnionego przez firmę czarterową. Bez niego firma po prostu ci na to nie pozwoli. A nawet jeżeli spróbujesz wymknąć się po cichu, natrafisz na jednostki straży przybrzeżnej, które cię zatrzymają i poproszą o dokumenty, zezwolenia i tak dalej. Tego wszystkiego wcześniej nie przewidzieli. Za każdym razem, kiedy wypływali, natrafiali na patrole i kolejne problemy. Ostatecznie spędzili tam chyba około dziesięciu dni. Była to prawie całkowita porażka. W praktyce siedzieli tam, wypływali z portu i wpływali do niego, i niczego nie byli w stanie zrobić.

Jedna z osób, które znajdowały się na miejscu – i w ten sposób możemy wrócić do Bałtyku – kiedy stało się jasne, że południowa część operacji zakończyła się niepowodzeniem, ruszyła w około dwunastogodzinną podróż samochodem nad Bałtyk.

Dokładnie. Praktycznie przez całą Europę. Z Morza Czarnego nad Bałtyk, żeby dołączyć do swoich kolegów i pomóc im dokończyć operację Nord Stream. Skorzystała z usług kierowców, czegoś w rodzaju taksówek, i przejechała cały kontynent z Mangalii aż nad niemieckie wybrzeże Bałtyku.

Po przekroczeniu granicy polsko-niemieckiej grupa popełniła dość banalny błąd. Przekroczyła prędkość na niemieckiej drodze. Dlaczego ten drobny błąd okazał się później tak ważny?

Operacje konspiracyjne nigdy nie przebiegają idealnie, nawet jeżeli uczestniczą w nich najlepsi profesjonaliści. A tutaj nie wszyscy byli najwyższej klasy zawodowcami. Połowę zespołu stanowili cywile. Jechali w kierunku portu, w którym mieli odebrać łódź. Poruszali się drogą lokalną. Wiele osób wie, że na niemieckich autostradach często nie ma limitu prędkości, ale na drogach lokalnych obowiązują bardzo restrykcyjne ograniczenia. Wjechali do niewielkiej miejscowości. Przed wjazdem znajdował się fotoradar. Przekroczyli obowiązujące tam ograniczenie do 50 kilometrów na godzinę i kamera zrobiła zdjęcie samochodu. Nie wiem, jak dokładnie wygląda to w Polsce, ale w Niemczech przy wykroczeniu drogowym wykonywane jest zdjęcie w bardzo wysokiej rozdzielczości. Widać kierowcę, osobę siedzącą obok kierowcy, przód samochodu oraz tablicę rejestracyjną. To zdjęcie stało się później kluczowym dowodem, a właściwie tropem, który skierował śledztwo w stronę Ukrainy. Samochód miał ukraińskie tablice rejestracyjne. Należał do ukraińskiej firmy przewozowej. Takie samochody bardzo często kursują między Niemcami, Polską i Ukrainą, ponieważ – jak wiesz – miliony ukraińskich uchodźców przebywają w Polsce i Niemczech. W samych Niemczech jest obecnie około 1,3 mln ukraińskich uchodźców. Takie przewozy między Ukrainą a Niemcami nie są więc niczym niezwykłym. Wynajęli jedną z takich firm. W pewnym momencie kierowca był jednak bardzo zmęczony, więc jeden z nurków powiedział: „Dobrze, ja poprowadzę". I właśnie jego twarz została sfotografowana przez fotoradar. Niemiecka policja przepuściła później to zdjęcie przez oprogramowanie do rozpoznawania twarzy, które można normalnie kupić w internecie. To nie była żadna tajna technologia w stylu Jamesa Bonda. Jeżeli wprowadzisz czyjeś zdjęcie do takiego programu, wyszukuje on inne fotografie tej samej osoby dostępne w internecie. W ciągu kilku sekund znaleziono strony internetowe pokazujące, że człowiek ze zdjęcia był instruktorem nurkowania głębinowego. Ukraińskie tablice rejestracyjne. Instruktor nurkowania głębinowego. To był przełomowy moment w całym śledztwie.

Śledczy odkryli to oczywiście dopiero wiele miesięcy po wysadzeniu gazociągów. Jak dokładnie udało im się wysadzić Nord Stream? Dla mnie najbardziej fascynujący jest sposób, w jaki przygotowali i umieścili ładunki wybuchowe. A także psychologiczny aspekt całej operacji i rola kobiety, o której piszesz, która okazała się niezwykle ważna.

Materiały wybuchowe są bardzo ważną częścią tej historii. Pierwsza informacja o eksplozji pochodziła z europejskiego systemu wczesnego ostrzegania przed trzęsieniami ziemi. Wybuch został zarejestrowany około tysiąca kilometrów dalej na północ, w rejonie szwedzkiego koła podbiegunowego. Urządzenia sejsmiczne zarejestrowały coś, co wyglądało jak trzęsienie ziemi. Następnego ranka eksperci przeanalizowali dane i zorientowali się, że to nie było trzęsienie ziemi, tylko eksplozja. Była jednak tak silna, że zarejestrowała ją aparatura służąca do wykrywania trzęsień ziemi. Co ciekawe, użyto stosunkowo niewielkiej ilości materiału wybuchowego. Organizatorzy zwrócili się o pomoc do emerytowanego inżyniera, naukowca, profesora z Ukrainy. Ukraina, podobnie jak Polska, ma bardzo dobre uczelnie techniczne. Temu ekspertowi przedstawiono problem: jak zniszczyć podmorską infrastrukturę? Miał doświadczenie w tej dziedzinie. Zauważył, że rurociągi znajdują się pod bardzo wysokim ciśnieniem. Nord Stream 1 pracował pod ciśnieniem około 160 barów, czyli bardzo wysokim. Dochodzi do tego oczywiście oddziaływanie ciśnienia wody na dnie morza oraz ciśnienia wewnątrz rury. Ekspert doszedł do wniosku, że wystarczy bardzo niewielka ilość materiału wybuchowego, która zrobi odpowiednie nacięcie w powłoce rurociągu.

Rura ma betonową oraz stalową osłonę. Wystarczyło ją miejscowo naruszyć. To trochę tak, jakby przekłuć wielki balon małą igłą. Masz ogromny balon, dotykasz go małą igłą i balon pęka. W pewnym sensie dokładnie to stało się z gazociągiem. Użyto około 30 kilogramów materiałów wybuchowych, które umieszczono w butlach nurkowych. Przymocowano je do gazociągu, a pomiędzy rurę a materiał wybuchowy włożono silikonową pod-

Wołodymyr Żurawlow, obywatel Ukrainy, jest podejrzany przez niemiecki wymiar sprawiedliwości o udział w wysadzeniu gazociągów Nord Stream. Na zdjęciu w studiu Republiki.

kładkę, aby odpowiednio ukierunkować energię eksplozji. Eksplozja zrobiła niewielkie nacięcie, które następnie wywołało reakcję łańcuchową. Rurociąg został rozerwany, powodując ogromną eksplozję, którą zarejestrowano nawet w rejonie koła podbiegunowego. Było to więc bardzo pomysłowe, bardzo tanie i bardzo proste urządzenie. Podobnie zresztą jak cała operacja. I, w pewnym sensie, podobnie jak sposób, w jaki Ukraina prowadzi wojnę z Rosją: wykorzystując innowacyjność, zdolność adaptacji, wiedzę techniczną i tak dalej. Taki właśnie ładunek musieli przetransportować na dół i przymocować do gazociągu. Schodzili z jachtu na głębokość około 80 metrów. Problem polegał na tym, że trafili na sztorm. Bałtyk pod koniec września jest dość nieprzewidywalnym środowiskiem. Lato przechodzi w jesień. Robi się zimno, wietrznie i bardzo nieprzyjemnie. A oni trafili na sztorm z wiatrem o sile wichury. To, co robili, było bezpośrednim zagrożeniem dla życia. Samo nurkowanie jest przecież dość niebezpieczne, szczególnie z całym sprzętem.

Komplet wyposażenia może ważyć od 80 do 100 kilogramów. W przypadku tej kobiety oznaczało to ciężar większy niż masa jej własnego ciała. Wyobraź sobie, że masz na plecach drugiego człowieka i w czasie sztormu musisz ostrożnie zejść pod wodę, zabrać ze sobą materiały wybuchowe, a potem wrócić na powierzchnię i ponownie wejść na łódź. Jeden z członków załogi został podczas tego procesu poważnie ranny, ponieważ sztorm rzucał łodzią na wszystkie strony. Trzeba sobie wyobrazić, jak niebezpieczna była ta sytuacja. A mimo wszystko kontynuowali.

Jeden z nurków na początku operacji miał COVID, co dodatkowo zwiększało ryzyko. W praktyce jest to przeciwwskazanie do nurkowania. A on mimo to nurkował, schodził na dużą głębokość i przechodził cały proces dekompresji, który sam w sobie jest bardzo wymagający. O ile pamiętam, dostał później zapalenia ucha wewnętrznego.

I dochodzimy do kobiety, o którą pytałeś. Moim zdaniem była bardzo ważnym członkiem zespołu. Była jedyną kobietą w całym spisku. Łącznie zaangażowanych było około dwóch tuzinów ludzi. Na łodzi znajdowało się początkowo sześć osób, później dołączyła siódma. Wszyscy pozostali byli mężczyznami. Ona była jedyną kobietą. I prawdopodobnie należała do najlepszych nurków w całej grupie.

Czy dobrze pamiętam, że nie była nurkiem technicznym?

Była nurkiem technicznym, ale w tamtym okresie nie potrafiła jeszcze korzystać z rebreathera. Pozostali używali rebreatherów, które są bardziej ekonomiczne pod względem zużycia gazu. Rebreather to system zamkniętego obiegu, który nie wypuszcza powietrza na zewnątrz. Ponieważ ona nie potrafiła z niego korzystać, musiała zabierać jeszcze więcej sprzętu.

W pewnym momencie, kiedy sztorm był już bardzo silny, skipper – bardzo doświadczony żeglarz, który nie miał problemu z pływaniem podczas sztormów – uznał, że sytuacja zaczyna być naprawdę niebezpieczna. Fale miały ponad dwa metry wysokości. Obawiał się o życie załogi. Zapytał więc: „Czy na pewno chcecie to robić?”. Przeprowadzili coś w rodzaju

głosowania. Większość nie chciała kontynuować, ponieważ uznali, że ryzyko jest zbyt duże. I wtedy ta kobieta wstała i powiedziała mniej więcej: „Rozumiem, że to jest niebezpieczne. To może pozwólcie mi zejść samej. Wy możecie tutaj zaczekać. Zejdę, dokończę zadanie, wrócę na powierzchnię, zabierzecie mnie i odpłyniemy". I to w pewnym sensie zawstydziło mężczyzn. Nie mieli odwagi siedzieć na łodzi i pozwolić kobiecie samotnie ryzykować życie. W efekcie zdecydowali się kontynuować operację.

I udało im się.

Wbrew wszystkiemu.

Cały świat był w szoku. Później rozpoczęło się śledztwo. Rozmawiałeś z ludźmi, którzy je prowadzą.

Tak. Rozmawiałem zarówno ze śledczymi, jak i z ludźmi, którzy przeprowadzili operację. Rozmawiałem więc z obiema stronami tego dramatu. To naprawdę niezwykli ludzie. Właściwie właśnie wtedy, kiedy zrozumiałem, kto przeprowadził tę operację i kim są ludzie, którzy ich ścigają – detektywi – zdecydowałem, że chcę napisać o tym książkę. Obie grupy są absolutnie niezwykłe. Każda jest wybitna w swojej dziedzinie. Nurkowie są wyjątkowymi nurkami. Żołnierze są wyjątkowymi żołnierzami. Ludzie ze służb są znakomici w swojej profesji, a detektywi są naprawdę znakomitymi detektywami. I w obu przypadkach, kiedy ich spotykasz, zupełnie się tego po nich nie spodziewasz. Patrzysz na nich i nie zdajesz sobie sprawy, do czego są zdolni. A przecież to, czego dokonali, ma charakter historyczny. Nikt wcześniej nie próbował przeprowadzić takiej operacji. I nikt wcześniej nie prowadził śledztwa dotyczącego operacji tego rodzaju. Fascynowały mnie więc przede wszystkim postacie. Nie chciałem wydawać ocen moralnych, prawnych ani etycznych. Nie jest moim zadaniem ocenianie, kto był moralnie dobry albo zły. Interesowało mnie wyłącznie opisanie faktów.

Na początku, szczerze mówiąc, nie sądziłem, że Niemcy cokolwiek znajdą. Porównywałem Nord Stream do „Morderstwa w Orient Expressie" Agathy Christie.

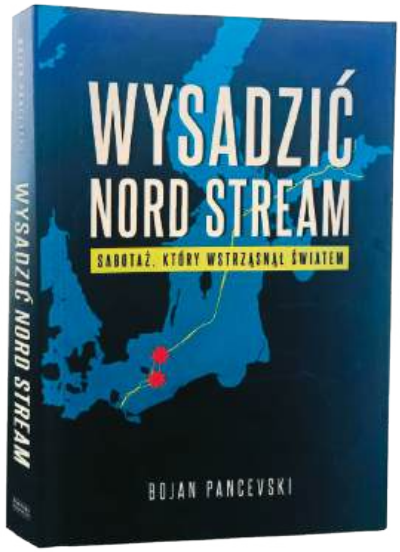

„Rozmawiałem zarówno ze śledczymi, jak i z ludźmi, którzy przeprowadzili operację. Rozmawiałem więc z obiema stronami tego dramatu. To naprawdę niezwykli ludzie. Właściwie właśnie wtedy, kiedy zrozumiałem, kto przeprowadził tę operację i kim są ludzie, którzy ich ścigają – detektywi – zdecydowałem, że chcę napisać o tym książkę" – mówi Bojan Pancevski.

Jest ofiara, wszyscy nienawidzili ofiary i wszyscy są podejrzani. Podejrzana jest Polska, podejrzani są Amerykanie, Brytyjczycy – wszyscy nie znosili tego gazociągu. Niemcy zostali z tym śledztwem właściwie sami. Warto chyba wspomnieć, że śledztwa prowadziły również Dania i Szwecja. W pewnym momencie oba te państwa zakończyły jednak swoje śledztwa, utajniły materiały i powiedziały zasadniczo: „Nie leży to w naszym interesie narodowym, więc nie będziemy dalej prowadzić tej sprawy". I dlatego praktycznie niczego więcej o ich śledztwach nie słyszymy.

Właśnie dlatego wspomniałem o politycznym aspekcie sprawy. Tak długotrwałe śledztwo musiało mieć poparcie państwa. Czy podczas wizyty kanclerza Scholza w Polsce i jego spotkania z polskim premierem kwestia Nord Streamu znajdowała się w agendzie rozmów obu stron?

Z całą pewnością bardzo bezpośrednio rozmawiali o tym szefowie ich kancelarii. Myślę, że polska strona jasno dała do zrozumienia, że jej zdaniem tej sprawy nie powinno się badać. Co ciekawe, na poziomie policji sytuacja wyglądała trochę inaczej. Policjantów nie interesowała polityka. Znam ich osobiście. Wiem, jak zaczynali. Kiedy startowali ze śledztwem, nie wiedzieli, dokąd ich ono zaprowadzi. Najpierw badali Stany Zjednoczone. To była jedna z ich pierwszych hipotez. Później analizowali Rosję, ponieważ Rosja była oczywistym podejrzanym. Była to jedna z najpopularniejszych teorii. Sprawdzali ją krok po kroku. Fakt po fakcie, trop po tropie. I ostatecznie odrzucili te hipotezy, ponieważ nie znajdowali dowodów. Co więcej, część dowodów wręcz im przeczyła. Kiedy natomiast zaczęli znajdować dowody wskazujące na Ukrainę, skierowali śledztwo właśnie w tę stronę. Nie interesowało ich, czy zaszkodzi to relacjom z Kijowem albo czy będzie problemem dla NATO. To profesjonaliści, którzy chcieli wykonać swoją pracę. Ambitnie dążyli do ustalenia sprawców.

W pewnym momencie – i piszesz o tym w książce – zrozumieli, że aby rozwiązać sprawę, potrzebują wsparcia na poziomie politycznym. Wiedzieli też, że Polska może być dla nich bardzo pomocna. I tutaj pojawia się bardzo interesująca sprzeczność. Z jednej strony polityczny przekaz był jasny, tak jak powiedziałeś. Z drugiej jednak strony w książce ujawniasz fakty pokazujące, że polskie państwo co najmniej dwukrotnie pomogło niemieckim śledczym. Jak to rozumiesz?

Polska Straż Graniczna i ABW z całą pewnością nie były szczególnie pomocne wobec Niemców. Przez większość śledztwa współpraca była bardzo ograniczona. W pewnym momencie ABW przekazała nawet pewne informacje, które – według Niemców – nie były prawdziwe. Niemcy uznali to za próbę stworzenia fałszywego tropu i skierowania śledztwa w stronę Rosji. Przekazano im profile pewnych osób rosyjskiego pochodzenia, Rosjan mieszkających w Unii Europejskiej, i twierdzono, że znajdowały się na łodzi. Niemcy zaczęli to sprawdzać, znaleźli te osoby, przeanalizowali dostępne informacje i okazało się, że te dane się nie zgadzają. Ogólnie powiedziałbym więc, że Polska robiła bardzo dużo, żeby Niemcom nie pomagać, a momentami nawet aktywnie utrudniała im osiągnięcie celu. Ale w pewnym momencie ktoś w prokuraturze w Gdańsku, która również prowadziła własne postępowanie – chyba z powodów związanych z ochroną środowiska, nie pamiętam dokładnej podstawy prawnej – otrzymał oficjalny niemiecki wniosek o przesłanie dokumentów. I jakiś urzędnik, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z politycznego kontekstu całej sprawy, po prostu wziął akta, skopiował je i wysłał Niemcom. W większości nie było tam nic szczególnie przydatnego. Ale znajdował się tam jeden dokument o ogromnym znaczeniu. Były to kopie paszportów osób, które przekroczyły granicę. Tak jak mówiłem wcześniej, te paszporty były prawdziwymi dokumentami wystawionymi na fałszywe nazwiska. Ale fotografie były prawdziwe. Niemcy otrzymali więc od Polaków skany paszportów i zdjęcia ludzi zaangażowanych w operację. To było niezwykle ważne dla śledztwa. Niemcy byli przekonani, że przekazanie tych dokumentów było pomyłką. Nie była to świadoma pomoc ze strony polskiej. Po prostu ktoś pełnił dyżur, otrzymał oficjalny wniosek i odpowiedział na niego w normalnym trybie urzędowym.

W 2024 roku Niemcy namierzyli podejrzanego mieszkającego z rodziną na obrzeżach Warszawy.

Dzisiaj wiemy, że był to pan Żurawlow.

Mieszkał w Polsce z żoną, trójką dzieci i psem. Niemcy wystawili europejski nakaz aresztowania i przesłali go do prokuratury rejonowej właściwej dla miejsca jego zamieszkania. W normalnych okolicznościach europejski nakaz aresztowania działa niemal automatycznie. Prokurator odpowiedział więc początkowo: oczywiście, nie ma problemu, wykonamy go. A potem nic się nie wydarzyło. Po pewnym czasie Niemcy zorientowali się, że do ekstradycji nie dojdzie i że sprawa stała się politycznie zbyt skomplikowana. W pewnym momencie attaché wojskowy ambasady Ukrainy podjechał pod dom waszego gościa czarnym BMW na tablicach dyplomatycznych, zabrał go i zawiózł do Kijowa. I na tym sprawa się skończyła. Udało mu się uniknąć zatrzymania. Kilka tygodni później polskie władze odpowiedziały na niemiecki wniosek dotyczący przeszukania domu mniej więcej w stylu: „Oczywiście, możecie teraz przeszukać dom". Minęły już tygodnie. Było mnóstwo czasu, żeby wszystko uprzątnąć. Ale oczywiście Polska również jest państwem prawa, członkiem Unii Europejskiej i tak dalej. Musieli więc pokazać przynajmniej pewien poziom współpracy. Niemiecka policja federalna wysłała więc ekipę pod Warszawę. Przeszukała ona dom, zabezpieczyła materiały i zabrała je do Niemiec.

Wspominasz w książce, że strona niemiecka była wręcz zaskoczona, iż polska ABW pozwoliła im zabrać wszystkie te dowody. Dzisiaj wiemy, że później okazały się one niezwykle ważne.

Nie chcę komentować motywacji, ale myślę, że ABW być może – z własnej perspektywy – popełniła błąd. Być może zakładała, że w domu nie ma żadnych dowodów. Nie wiem, czego się spodziewała. Ale zaoferowała Niemcom pomoc i w tym konkretnym przypadku była to rzeczywista pomoc. Niemcy przyjechali, przeprowadzili czynności, przesłuchali żonę, pobrali próbki i zabrali różne materiały do Niemiec. Odkryli, że znaleźli w garażu podejrzanego ślady tej samej mieszaniny materiałów wybuchowych, którą znaleziono na dnie Bałtyku w miejscu eksplozji. Moim zdaniem będzie to jeden z kluczowych dowodów w procesie. Jestem przekonany, że polskie władze nie wiedziały wcześniej, co tam się znajduje. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby dopuściły Niemców do tego miejsca, gdyby wiedziały, że można tam znaleźć coś takiego. W każdym razie właśnie wtedy Niemcy zdobyli ten dowód.

Pan Żurawlow później wrócił z Ukrainy do Polski. Opisujesz to również w książce.

Oczywiście. Jego żona i trójka dzieci mieszkały tutaj. To człowiek bardzo związany z rodziną. Nie chciał być z nimi rozdzielony. Wrócił więc do Polski, ponieważ z oczywistych powodów czuł się tutaj bezpiecznie. I później wydarzyło się coś dość dziwnego. Lokalny komisariat zobaczył, że wobec tej osoby istnieje nakaz aresztowania. Ci policjanci nie znali politycznego kontekstu całej historii i najwyraźniej nie wiedzieli, co wydarzyło się wcześniej. Po prostu zobaczyli w systemie: „Ta osoba jest poszukiwana", więc pojechali i ją zatrzymali. Oczywiście wywołało to ogromne problemy polityczne i prawne w Polsce. Trafił przed sąd. Sędzia go zwolnił, wydając bardzo spektakularne orzeczenie, w którym cytował Tomasza z Akwinu, Świętego Augustyna i innych myślicieli. Argumentował, że wojna Ukrainy z Rosją jest wojną sprawiedliwą. A skoro tak, to niezależnie od tego, czy ten człowiek faktycznie zrobił to, o co jest oskarżany, czy nie, jego działanie – jeżeli rzeczywiście miało miejsce – było częścią wojny sprawiedliwej. W związku z tym nie powinien zostać wydany Niemcom. **GP**

BND NA SPRZEDAŻ, *czyli die Katastrophe*

„SKANDAL SZPIEGOWSKI STULECIA"

Aresztowanie Augusta Hanninga pod zarzutem szpiegostwa to potężny wstrząs dla Niemiec. Śledczy nie ujawnili, dla kogo pracował wieloletni szef BND, który zarzucał Polsce spisek z Ukrainą w celu wysadzenia Nord Streamu. W doniesieniach mediów pojawia się Azerbejdżan, ale długoletnie bliskie kontakty Hanninga z Rosją mówią swoje. Jeśli to nie „największy skandal szpiegowski stulecia" w RFN, jak pisze prasa, to na pewno największa katastrofa niemieckich służb specjalnych od zakończenia zimnej wojny.

Antoni **Rybczyński**

80-letni August Hanning, przez długie lata najpotężniejsza postać w niemieckim aparacie bezpieczeństwa, w latach 1998–2005 szef Federalnej Służby Wywiadowczej Niemiec (BND), a potem szara eminencja w MSW, został zatrzymany 6 października w swoim domu w powiecie Steinfurt w Nadrenii Północnej-Westfalii. Równocześnie w bawarskim powiecie Bad Toelz-Wolfratshausen zatrzymano Manfreda D., który kierował biurem Hanninga, a w latach 2012–2026 pełnił tę samą funkcję pod kierownictwem kolejnych szefów BND.

Prokurator generalny zarzuca Hanningowi działalność agenturalną na rzecz obcego wywiadu, szpiegostwo o charakterze zdrady kraju, pozyskiwanie tajemnic państwowych oraz usiłowanie zdrady kraju. Manfredowi D. zarzuca się pomocnictwo w usiłowaniu zdrady stanu oraz w szpiegostwie na szkodę państwa. Sędzia śledczy Federalnego Trybunału Sprawiedliwości zdecydował o tym-

FOT. ARD MEDIATHEK

czasowym aresztowaniu obu mężczyzn. Aresztowanie Hanninga oraz byłego szefa biura BND wywołało szok w niemieckich kręgach politycznych i wywiadowczych. Dotychczas w historii RFN nie było podejrzenia zdrady stanu przez byłego urzędnika państwowego tak wysokiej rangi, a największy skandal szpiegowski od zakończenia zimnej wojny podważa na arenie międzynarodowej wiarygodność niemieckiego wywiadu.

Hanning, zdrada i rosyjski ślad

Wiosną 2010 roku Hanning poprosił Manfreda D., aby ten przekazywał mu dane wywiadowcze, do których miał dostęp jako pracownik BND. Były szef wywiadu zamierzał wykorzystać je w swojej prywatnej działalności doradczej. Łącznie D. miał przekazać swemu byłemu szefowi około 2 tys. dokumentów – do czerwca 2022 roku. Wiele było objętych klauzulą tajności i przeznaczonych wyłącznie do użytku wewnętrznego BND. W wielu przypadkach były to notatki przygotowywane na potrzeby cotygodniowych narad w Urzędzie Kanclerskim, podczas których szefowie służb wymieniają się informacjami. Niewiele wiadomo na temat treści tych dokumentów, ale „Süddeutsche Zeitung" twierdzi, że część z nich dotyczyła irańskiego programu jądrowego oraz rosyjskich sił zbrojnych.

Przynajmniej raz Hanning przygotował na podstawie tych materiałów analizę dla pracownika zagranicznej służby specjalnej. Oficjalnie nie mówi się, o jakie państwo chodzi, ale z ustaleń magazynu „Der Spiegel" wynika, że domniemanym zleceniodawcą był funkcjonariusz wywiadu Azerbejdżanu. To, czy sporządzona przez Hanninga analiza rzeczywiście dotarła do adresata, jest przedmiotem śledztwa. Nie ulega jednak wątpliwości, że Hanning utrzymywał kontakty z przedstawicielami Azerbejdżanu: należał do zarządu Forum Niemiecko-Azerbejdżańskiego. Ponadto, jak twierdzi prokuratura, Hanning utrzymywał kontakt z pracownikiem innej państwowej służby specjalnej. Przez kilka lat dostarczał mu informacje polityczne, częściowo oparte na materiałach otrzymanych od Manfreda D. Nie ma dowodów na powiązania podejrzanych z Rosją – poinformowali „Financial Times" urzędnicy zaznajomieni z przebiegiem śledztwa. Wiadomo jednak, że w zakresie bezpieczeństwa i wywiadu Azerbejdżan współpracuje m.in. z Turcją, USA, Izraelem i właśnie Rosją.

Przed zjednoczeniem Niemiec Hanning pracował jako dyplomata w Berlinie Wschodnim – i już od tamtego czasu krążyły plotki o jego bliskich powiązaniach z Moskwą, choć nie było na to żadnych dowodów. W marcu 2000 roku szef BND wraz z trzema współpracownikami udał się do ogarniętej wojną Czeczenii – co wywołało krytykę wielu środowisk w Niemczech. Wizyta zbiegła się też w czasie z wyborami prezydenckimi w Rosji, w których zwyciężył Władimir Putin (podobno osobiście wyraził zgodę na przyjazd szefa niemieckiego wywiadu). Później, w lutym 2005 roku, szef BND został zauważony wśród gości pokazu mody, który odbywał się w ambasadzie Federacji Rosyjskiej.

Jeszcze więcej kontaktów z Rosją Hanning miał po odejściu ze służby państwowej. W 2013 roku był świadkiem w toczącym się w Londynie sporze sądowym między rosyjskimi biznesmenami: Olegiem Deripaską i Michaiłem Czernym. Sprawa dotyczyła aluminiowego giganta Rusal. Hanning złożył pisemne zeznania na korzyść Deripaski, jednego z największych putinowskich oligarchów. Jak pisał „Der Spiegel", były szef BND opowiadał o trudnościach związanych z prowadzeniem dochodzeń w Niemczech, o rosyjskiej przestępczości zorganizowanej oraz o problemach związanych z ochroną świadków. Hanning pracował również jako konsultant w londyńskiej firmie G3, gdzie zajmował się interesami związanymi z Rosją. Ponadto zasiadał w radzie nadzorczej łotewskiego banku PNB. Pełniąc tę funkcję, wystąpił jako mediator między dwoma współwłaścicielami pochodzenia rosyjskiego. W 2016 roku Hanninga widziano w Berlinie na konferencji zorganizowanej przez fundację Dialog Cywilizacji byłego szefa Rosyjskich Kolei Państwowych Władimira Jakunina, weterana KGB bliskiego Putinowi. Według rosyjskiego niezależnego portalu The Insider Hanning złożył w latach 2015–2019 co najmniej siedem wizyt w Rosji. Zazwyczaj były to jednodniowe podróże do Moskwy.

Od reformy BND do bankowej wpadki

August Hanning urodził się w 1946 roku w zachodniej części Niemiec, jego ojciec był właścicielem cegielni. Po studiach prawniczych rozpoczął karierę w służbie cywilnej, w drugiej połowie lat 80. XX wieku pracował w Berlinie Wschodnim w stałym przedstawicielstwie RFN. Po zjednoczeniu Niemiec Hanning zajmował różne stanowiska w rządzie. Zapalony miłośnik szachów był określany jako typowy, nierzucający się w oczy urzędnik. W urzędzie kanclerskim zaczął nadzorować służby specjalne, aż w 1998 roku rząd SPD i Zielonych kanclerza Gerharda Schrödera mianował go – ku zaskoczeniu wielu – szefem BND. Okres rządów Han-

ninga w wywiadzie zbiegł się w czasie ze szczytem walki z terroryzmem islamskim po 11 września (nadzorował śledztwo w sprawie niektórych terrorystów, którzy studiowali w Hamburgu) oraz reformą BND. Hanning domagał się większych uprawnień dla wywiadu. Jego zdaniem w porównaniu do zagranicznych służb BND to „wegetarianin wśród wywiadów". Za rządów Hanninga główną siedzibę służby przeniesiono z bawarskiego Pullach do Berlina, a BND stała się zdecydowanie bliższa środowisku politycznemu i otwarta medialnie. Ale były też skandale, w tym ten dotyczący podsłuchiwania dziennikarzy. Za rządów Hanninga praktycznie zaprzestano też werbowania podwójnych agentów, co później uznano za błąd. Gdy Schrödera zastąpiła Angela Merkel, Hanning został mianowany sekretarzem stanu w federalnym ministerstwie spraw wewnętrznych (grudzień 2005 – listopad 2009) – uchodził za bardzo bliskiego współpracownika ministra Wolfganga Schäublego.

Po odejściu ze służby państwowej Hanning przeszedł do sektora prywatnego i pracował jako konsultant oraz lobbysta. Utrzymał jednak świetne kontakty w środowisku służb specjalnych. Miał uczestniczyć nawet w uroczystości objęcia urzędu przez obecnego szefa BND Martina Jägera we wrześniu 2025 roku. Regularnie bywał na branżowych przyjęciach i na corocznej prestiżowej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Hanning założył z żoną Ruth agencję o nazwie Hanning Consult i współpracował z różnymi innymi międzynarodowymi agencjami konsultingowymi. Miał świetne kontakty m.in. w Rosji, Chinach i Izraelu. W ostatnich latach zaczęły się jednak problemy finansowe. W 2019 roku Hanning znalazł się w centrum skandalu związanego z upadłością banku, jednego z najstarszych na Łotwie, należącego do rosyjsko-brytyjskiego biznesmena Grigorija Guselnikowa, który doprowadził bank do bankructwa. Hanning zasiadał w radzie nadzorczej PNB Banka m.in. wraz z byłym sekretarzem generalnym NATO Andersem Foghem Rasmussenem. W 2019 roku Europejski Bank Centralny wydał negatywną ocenę banku, co doprowadziło do jego upadłości. W 2021 roku wniesiono pozew przeciwko Hanningowi, Rasmussenowi i kilku innym osobom o kwotę ponad 30 mln euro na rzecz wierzycieli banku. Były szef BND stracił nieruchomości i udziały w spółkach. Część jego emerytury została zamrożona. Mimo to Hanning był zapraszany jako ekspert do niemieckich stacji telewizyjnych. W jednym z wywiadów zasugerował, że za wysadzeniem gazociągu Nord Stream mogą stać Ukraina i Polska oraz że rzekomo zatwierdzili to prezydenci obu krajów.

Niemiecka katastrofa zagraża sojusznikom

Hanning wpadł w sidła kontrwywiadu właśnie przez swoją działalność komercyjną. Śledczy wpadli na trop jego szpiegowskiej działalności przy sprawie porwania, w którą zamieszana była niemiecka bizneswoman i spadkobierczyni popularnej sieci restauracji serwujących steki, Christina Block. Prokuratura oskarżyła kobietę o zorganizowanie w 2023 roku porwania jej dwojga najmłodszych dzieci (spór z byłym mężem o prawo do opieki). Zamieszani w to byli właśnie Hanning i emerytowany funkcjonariusz Państwowego Urzędu Kryminalnego w Hamburgu. Mieli dostać od Block ponad 100 tys. euro w zamian za pomoc w uprowadzeniu. Były szef BND skontaktował kobietę z prywatną izraelską firmą, która miała porwać dzieci. 16 września 2025 roku policja przeszukała dom Hanninga i zabezpieczyła pudła z dokumentami i nośnikami elektronicznymi. Ich analiza zajęła kilka miesięcy, ale znaleziono tajne materiały, do których Hanning nie powinien mieć dostępu. Policja podzieliła się tym odkryciem z BND, a ta utworzyła grupę roboczą w celu dalszego prowadzenia śledztwa. Zakończyło się to aresztowaniem Hanninga.

Dla wywiadu aresztowanie jego byłego szefa pod zarzutem szpiegostwa i usiłowania zdrady stanu to bezprecedensowy skandal i potężny cios wizerunkowy, kolejny zresztą w ostatnich latach. Wszak w styczniu 2023 roku szef jednego z działów BND Carsten L. został oskarżony o szpiegostwo na rzecz Rosji. Prokuratura zarzuca mu, że uzyskał tajne informacje wywiadowcze dotyczące wojny na Ukrainie oraz Grupy Wagnera i przekazał je FSB. Proces toczy się obecnie przed wyższym sądem okręgowym w Berlinie. Wiadomość o aresztowaniu jednej z najpotężniejszych przez wiele lat osób w niemieckich służbach wstrząsnęła zachodnią społecznością wywiadowczą.

Część tajnych informacji, którymi dysponowali Hanning i Manfred D., pochodziła od partnerskich agencji, co zwiększa ryzyko, że mogły wyciec informacje dotyczące innych wywiadów. Wzbudziło to obawy, że na ich podstawie można będzie zidentyfikować agentów i informatorów działających w terenie. Agencje wywiadowcze USA i Wielkiej Brytanii prowadzą obecnie przegląd wszystkich wrażliwych informacji udostępnianych europejskim sojusznikom w danym okresie. Podobne przeglądy zostaną prawdopodobnie przeprowadzone przez wszystkich partnerów i sojuszników Niemiec wymieniających dane wywiadowcze. **GP**

OGŁOSZENIE REDAKCYJNE

Pomoc dla Domu Chleba

Redakcja „Gazety Polskiej" wraz z zakonem oo. barnabitów zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli z prośbą **o wsparcie działalności Domu Chleba, funkcjonującego w parafii rzymskokatolickiej oo. Barnabitów pw. św. Antoniego Marii Zaccarii przy ul. Sobieskiego 15, który niesie pomoc osobom ubogim i bezdomnym.**

Wiemy, że jesteś dobry i hojny, dla nas i naszych podopiecznych każda złotówka jest bezcenna, dzięki Twojej ofierze kolejny głodny się nasyci.

Wpłat można dokonywać na konto: 78 1240 6175 1111 0000 4579 7336
DOM CHLEBA PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA
PW. ŚW. ANTONIEGO M. ZACCARII.
Więcej informacji pod adresem:
www.parafiabarnabici.pl

ROSJA **absurdem stoi**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu po chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.

Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Najpierw trzeba zasłużyć Kanadyjski farmer Arend Feenstra, który wraz z żoną i ośmiorgiem dzieci przeprowadził się dwa lata temu do Rosji jako zwolennik „tradycyjnych wartości", nie może dostać zezwolenia na stały pobyt, bo władze żądają, aby najpierw poszedł na „specjalną operację wojskową". Logiczne – najpierw niech trochę pomorduje, pogwałci i porabuje. A tym samym udowodni, jak te tradycyjne wartości szanuje.

Kości zostały porzucone? Relacjonujący przebieg działań zbrojnych blogerzy donieśli, że wycofujący się z jednego z odcinków frontu rosyjscy żołnierze porzucili relikwie Świętego Dymitra Dońskiego, dostarczone im tam w celu podniesienia morale. Rosyjska Cerkiew Prawosławna nazwała te doniesienia plotkami, ale uspokoiła, że szczątki świętego podzielono na więcej części, więc zabraknąć ich nie powinno. Ogólna sytuacja na froncie jest więc pod kontrolą?

Wzór cnót Tymczasem Cerkiew odznaczyła przywódcę Czeczenii Ramzana Kadyrowa Orderem Chwały i Cnoty, a patriarcha Cyryl złożył mu z tej okazji życzenia „dobrego zdrowia i pomocy Wszechmogącego". Ponieważ jednak wiadomo, że akurat zdrowie czeczeńskiego lidera od pewnego czasu poważnie szwankuje, to Cerkiew chyba powinna pomału zaczynać przygotowania do jego kanonizacji.

W swoim żywiole Pisarz Aleksandr Prochanow oraz motocykliści z klubu „Nocne Wilki" zebrali się w Izborsku w obwodzie pskowskim, aby wziąć tam udział w uroczystej procesji i poświęcić próbkę księżycowego gruntu. W ten sposób postanowili „ochrzcić księżyc" i jako prawosławne terytorium symbolicznie przyłączyć go do Rosji. Powszechnie wiadomo, że wilki wyją do księżyca… Ale żeby aż tak?

Cierpliwości… W Jarosławiu żałobnicy, którzy przyszli na pogrzeb babci, odkryli w trumnie inną osobę – donosi portal 76.ru. Jak się okazało, właściwa wciąż leżała na reanimacji w szpitalu, z którego dostarczono pomylone zwłoki. Te zwrócono więc do kostnicy, a na właściwą bohaterkę uroczystości trzeba będzie poczekać. Tym bardziej że zakład pogrzebowy zapowiedział, że za wykopany grób pieniędzy nie zwróci. **GP**

CENNIK URZĘDOWY?

„Sąd w Kostromie ustalił wartość strzału w głowę mieszkańca miasta – 100 tys. rubli". W ten sposób portal Kostroma Today podsumował wyrok, który zapadł w jednym z sądów. Czekamy na cenniki z innych regionów.

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Ciche polowanie?

Petersburski portal miejski Fontanka publikuje zalecenia biologa Pawła Głazkowa, który radzi miejscowym grzybiarzom, aby donośnym krzykiem odstraszali… zamierzające z nimi kopulować łosie napotkane w lesie.

Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**

PROBLEM Z TUCKEREM CARLSONEM

Maciej **Kożuszek**
SZEF DZIAŁU ŚWIAT

PRAWICA I ANTYHISTORIA

„Twierdzenie, że Hitler po prostu, ot tak, wkroczył do Polski, jest kłamstwem, a wszyscy w nie wierzą, ponieważ nie znają rzeczywistych faktów" – stwierdził Tucker Carlson w niedawnej głośnej rozmowie z brytyjskim konserwatystą Jacobem Reesem-Moggiem. Od usprawiedliwiania tyranów, przez alternatywne wizje historii, po obwinianie za wszystko zachodnich „podżegaczy wojennych" – Carlson jest symbolem niepokojącego kierunku, w którym zmierza nie tylko amerykańska prawica.

Kogo to właściwie obchodzi?" – stwierdził Tucker, gdy Rees-Mogg zauważył, że gdyby Wielka Brytania nie podjęła walki z nazistami, dzisiejsi Brytyjczycy mówiliby po niemiecku. Wywiad nie był wyjątkowy, w tym sensie, że takie szalone twierdzenia pojawiały się już w jego programie wcześniej i często. Różnica polegała na tym, że tym razem rozmówca Carlsona stawił opór. Dlatego mieszanka selektywnego podejścia do faktów i ogromnych generalizacji sprawia wrażenie karykatury debaty. Gdy Carlson powtarza wielokrotnie, że Hitler mówił, że nie chce wojny z Wielką Brytanią, Rees-Mogg odpowiada: „Wygląda na to, że pokładasz w Hitlerze większe zaufanie niż ja. Mówił najróżniejsze rzeczy", i podkreśla w innym momencie, że Hitler podpisał też z Polską pakt o nieagresji. Ale takie subtelności utrudniają tworzenie prostej wizji świata, którą Tucker oferuje swoim odbiorcom.

Antyhistoria

„Jedną z zalet prowadzenia talk-show jest to, że zmusza cię do zajmowania stanowiska w niemal każdej sprawie, która pojawia się w wiadomościach" – powiedział kiedyś Carlson. „To zarazem wada. Od »skomplikowane« do »niuansowane« jest krótka droga. A niuanse, rzecz jasna, są wrogiem

FOT. CHENEY ORR/REUTERS/FORUM

jasnej debaty". Takie podejście stało za jego telewizyjnym sukcesem, kiedy szybko i na długie lata stał się najpopularniejszym prowadzącym w Fox News. Gdy opuścił stację i przeniósł swój show do internetu, Tucker jeszcze udoskonalił tę metodę, wyciągając z zakamarków sieci autorów teorii spiskowych i zwolenników najbardziej radykalnych wersji rewizjonistycznej historii.

„Churchill był największym złoczyńcą II wojny światowej" – stwierdził w 2024 roku historyk amator Daryl Cooper zaproszony przez Tuckera. „To on ponosił główną odpowiedzialność za to, że ta wojna przybrała taki, a nie inny przebieg – że stała się czymś więcej niż tylko inwazją na Polskę" – dodał. Wiele wątków z myślenia Coopera odnajdujemy w rozmowie Carlsona z Reesem-Moggiem. Hitler „nie chce walczyć z Francją. Nie chce walczyć z Wielką Brytanią. Uważa, że to osłabi Europę, podczas gdy na wschodzie mamy ogromne zagrożenie – zagrożenie komunistyczne. Zaczyna więc wysyłać kolejne propozycje pokojowe, mówiąc: »Nie róbmy tego, nie możemy do tego dopuścić«" – mówił Cooper. Tucker dodaje do tego jeszcze jeden element, dotyczący Polski. Hitler miał swoje powody. Mówił, że „15 procent terytorium Polski należało kiedyś do Niemiec i zostało przekazane Polsce na mocy traktatu wersalskiego. Były to ziemie niemieckie, zamieszkane przez Niemców. Na tym opierał się jego argument. A tak przy okazji – to prawda". Oczywiście, „swoje powody" miał też Władimir Putin. „Uważa, że Rosja ma historyczne roszczenia do części Ukrainy" – mówił po swoim wywiadzie z rosyjskim prezydentem w 2024 roku Tucker.

Historyk Niall Ferguson nazywa to podejście „antyhistorią". Antyhistoria przedstawia rewolucyjne i prowokacyjne twierdzenia na podstawie skrawków prawdziwych faktów. Niewygodne pomija albo otacza uzupełniającymi hipotezami, tak jak Cooper, który masowe zbrodnie nazistów na Wschodzie sprowadza w istocie do problemów logistycznych, niezdolności do wyżywienia ogromnej liczby jeńców wojennych. Pomija też zupełnie zbrodnię skrupulatnie zaplanowaną – Holocaust. Druga cecha antyhistorii to przedstawianie swoich teorii jako „wiedzy zakazanej", odważnej próby kwestionowania „oficjalnej wersji", którą ktoś przed odbiorcami skrzętnie ukrywa. Dobrze znamy ten mechanizm także z polskiej debaty.

Oczywiście oficjalna, uproszczona wersja bywa nieco cukierkowa. Ale żaden fakt, który Cooper czy Tucker przedstawiają jako sensację zmieniającą wszystko, nie był nigdy przed nikim ukrywany. Każdy, kto przeczytał choć jedną z dużych brytyjskich biografii Churchilla, doskonale wie, że nie jest on w nich przedstawiany jako nieskazitelny święty. Debaty o moralnie dwuznacznych wyborach, jakie podejmowali alianci podczas wojny, jak użycie broni nuklearnej w Japonii, bombardowanie Drezna czy decyzja Churchilla z 1940 roku o zniszczeniu floty francuskiej, są szeroko dyskutowane. Tak jak każdy zainteresowany może przeczytać o błędach popełnionych przy konstruowaniu europejskiego porządku podczas traktatu wersalskiego czy dowiedzieć się o słownej obietnicy Jamesa Bakera z 1990 roku o tym, że NATO „nie przesunie się o cal na wschód". Ale Carlson czy Cooper wyłuskują te pojedyncze fakty ze złożonego obrazu, by jasno powiedzieć, kto ponosi winę za wszystkie nieszczęścia. A wyrok zwykle brzmi bardzo podobnie: winny jest Zachód.

Anty-Zachód

To jest trzeci, najbardziej być może niebezpieczny element antyhistorii, który możemy dostrzec też w naszej debacie, pod płaszczykiem realistycznych i historycznych teorii. Nie chodzi o zniuansowanie czy dodanie cieni do pomnikowych obrazów zachodnich przywódców. Celem jest stworzenie „teorii wszystkiego", w której aktualne nieszczęścia jasno wynikają ze zbrodni przeszłości. To dlatego Tucker w rozmowie z Reesem-Moggiem przyjmuje scenariusz, w którym Brytyjczycy mówią po niemiecku, bo przecież teraz „jest wielu ludzi w Wielkiej Brytanii, którzy nie mówią po angielsku. Miło byłoby więc, gdyby w waszym kraju mówiono chociaż w jakimś europejskim języku". W wywiadzie z Cooperem jeszcze jaśniej daje do zrozumienia, że to Churchill w jakiś sposób odpowiada za skutki fatalnych rządów lewicy – od katastrofalnej polityki migracyjnej do szaleństw ideologicznych. „Jeśli Churchill jest bohaterem, to dlaczego na ulicach Londynu brytyjskie dziewczyny żebrzą o narkotyki? A poza tym… Londyn nie jest już miastem, w którym większość stanowią Anglicy. Jak to w ogóle możliwe?" – pytał.

„Tucker może dosłownie przynieść światu pokój dzięki temu wywiadowi" – pisał po wywiadzie z Putinem popularny prawicowy youtuber Benny Johnson, mający ponad 2 mln obserwujących na X. „Kłamstwa prowadzą do wojen i niewoli. Prawda was wyzwoli" – dodał. Sam Tucker w materiale towarzyszącym wywiadowi nie krył też zachwytów nad urokami centrum Moskwy. „Jest pod każdym względem znacznie czyst-

sza, bezpieczniejsza i ładniejsza – pod względem estetyki, architektury, jedzenia i obsługi – niż jakiekolwiek miasto w Stanach Zjednoczonych" – stwierdził. „Jak do tego doszło?". To jest kolejna strona metody antyhistorii i antysystemowości: tylko „zadający pytania", kwestionujący „oficjalną wersję" są w stanie uwierzyć we wszystko, co płynie z ust Putina czy nawet Hitlera, i dają się oprowadzać z zachwytem po potiomkinowskich wioskach. To wizja rzeczywistości, w której wrogowie Zachodu otrzymują pełen pakiet dobrej woli i interpretacyjnej życzliwości. Putin czy Hitler są zawsze w pełni racjonalnymi aktorami, którzy przymuszeni, w zrozumiały sposób reagują na szalone prowokacje zachodnich „podżegaczy wojennych". Z kolei przywódcy Zachodu nie tyle popełniają błędy albo wykazują się krótkowzrocznością, ale kierują nimi złowieszcze i krwiożercze intencje, być może wiążące się z globalnym spiskiem. Według Coopera Churchill po prostu „chciał wojny, chciał walczyć z Niemcami". Później gość Tuckera dodaje: „Nie sądzę, żeby koniecznie trzeba było go przekupić, żeby miał takie odczucia. Ale, wiesz, myślę, że do pewnego stopnia został umieszczony na tym stanowisku przez pewnych ludzi – finansistów i medialny układ". Morderczy finansiści kierujący politycznymi pacynkami to oczywiście jeden z ulubionych tropów wojennej propagandy Goebbelsa.

Podejście Tuckera nie jest niczym nowym i coraz częściej zaczyna przypominać znane od dekad opowieści radykalnej lewicy, która choćby podczas zimnej wojny też przekonywała, często przy pośrednim lub bezpośrednim wsparciu sowieckim, że za wszystko odpowiadają zachodni „podżegacze" i partia wojny, ukryta gdzieś głęboko w państwowych instytucjach.

To wina Ameryki

Podejście Tuckera, na pewno przynoszące oszałamiające zyski finansowe, nie jest niczym nowym i coraz częściej zaczyna przypominać znane od dekad opowieści radykalnej lewicy, która choćby podczas zimnej wojny też przekonywała, często przy pośrednim lub bezpośrednim wsparciu sowieckim, że za wszystko odpowiadają zachodni „podżegacze" i partia wojny, ukryta gdzieś głęboko w państwowych instytucjach. „Blame America First" (po pierwsze to wina Ameryki) albo „to wszystko wina Zachodu" coraz częściej stają się podejściem łączącym współczesną, radykalną lewicę z prawicowymi influencerami. To wizja, która wymaga klapek na oczach, zbrodnie Zachodu uwypukla, a zagłady jego wrogów przemilcza. Rozpacza nad losem niewolników na Atlantyku, pomija jeszcze większy proceder niewolniczy na Bliskim Wschodzie. Rozdziera szaty nad rozszerzeniem NATO, pomija zbrodnie Putina dokonywane na własnych obywatelach. A Zachód, który wstydzi się sam siebie, jak mówił ostatnio sekretarz stanu Marco Rubio, to Zachód, który staje się bezbronny. A na tym na pewno zależy jego wrogom. **GP**

REKLAMA

KLUBY GAZETY POLSKIEJ
BUDUJEMY
SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

ZESKANUJ KOD

WESPRZYJ JEDNYM KLIKNIĘCIEM

TWOJE WSPARCIE MA OGROMNE ZNACZENIE | Dziękujemy za Wasze wsparcie!

DAROWIZNA - Polska
74 2490 0005 0000 4500 8274 0046

DAROWIZNA - zagranica
PL 41 2490 0005 0000 4600 2469 2784
SWIFT CODE – ALBPPLPW

WESPRZYJ TERAZ
WWW WSPARCIE.KLUBYGP.PL

Fundacja Klubów „Gazety Polskiej", ul. Bracka 15, 31-005 Kraków

Wieści z UE

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej

Tomasz **Mysłek**

Europa w skrócie

W UE rośnie niepokój przed zimą
Od końca września hurtowe ceny gazu w Europie znów rosną – też w reakcji na niewystarczające zapasy tego paliwa przed zimą. Tylko 5 października kontrakty na gaz w Amsterdamie wzrosły o 1,7 proc. – do 74,80 euro za MWh. Łączne zapasy gazu ziemnego w magazynach krajów UE wynosiły tylko 72,4 proc. ich pojemności – wobec średniej 87,7 proc. z poprzednich pięciu lat. Z danych firmy Gas Infrastructure Europe wynika, że w Niemczech magazyny gazu były zapełnione w zaledwie 58,7 proc., we Francji w 84,7 proc., w Austrii 68,5 proc., w Holandii 60 proc., a w Hiszpanii 75,4 proc.

11 rządów UE chce „zwiększenia dostępu do aborcji” Przedstawiciele 11 państw wezwali UE do przyjmowania prawa i polityk „zwiększających dostęp do aborcji”. Wspólny apel ogłosili przedstawiciele lewicowych rządów Danii, Estonii, Finlandii, Francji, Hiszpanii, Islandii, Litwy, Luksemburga, Niderlandów, Norwegii i Szwecji. Apel opublikował rząd Niderlandów 28 września – z okazji ich „Międzynarodowego Dnia Bezpiecznej Aborcji” (International Safe Abortion Day). Wyżej wymienione rządy uznają szeroki dostęp do aborcji za ważny „dla autonomii cielesnej”, „równości płci” i powszechnej „ochrony zdrowia” (!).

Usuwanie zapisów z metryk chrztów
5 października Komisja Episkopatów krajów UE (COMECE) wyraziła „głębokie zaniepokojenie” w związku z wnioskami rzecznika Trybunału Sprawiedliwości UE dotyczącymi wprowadzenia możliwości usuwania danych z rejestrów chrztów. Chodzi głównie o spełnienie żądań osób z Belgii i innych krajów, które po odejściu z Kościoła domagają się całkowitego wymazania wszelkich zapisów o ich chrzcie, nazwisku, dacie urodzin i innych danych. Biskupi uważają m.in., że chrzest musi pozostać udokumentowany. Wyrok Trybunału UE w tej sprawie ma zapaść w najbliższych miesiącach.

Największa inwestycja w Europie
Koncern Google zapowiedział, że w ciągu dwóch najbliższych lat zainwestuje co najmniej 13 mld euro w projekty infrastruktury cyfrowej w Finlandii. Ta inwestycja ma sfinansować budowę centrów danych służących modelom sztucznej inteligencji i projekty towarzyszące w czterech fińskich miastach. Realizacja tych inwestycji jest planowana na lata 2027–2028. Według szacunków Google zwiększą one fiński PKB o 3,6 mld euro i „wesprą powstanie ponad 37 tys. miejsc pracy”. **GP**

NIEMIECKIE BROWARY PADAJĄ
Polityka UE pogrąża niemieckie fabryki i browary z powodu dużych kosztów energii, transportu i pracy. Upadł m.in. Hofbrauhaus Wolters – największy prywatny browar w Dolnej Saksonii, działający od 1627 roku.

FOT. ADOBE STOCK

Komisarze UE i program CPN

Komisja Europejska skrytykowała polskie tymczasowe przepisy obniżające podatek VAT od paliw z 23 do 8 proc. Komisja twierdzi, że państwom UE „nie wolno zmniejszać stawki podatku od paliw kopalnych”. Na razie nie wiadomo, czy przeciwko Polsce zostanie wszczęte postępowanie karne. Już w marcu tego roku Komisji nie spodobało się, że rząd w Warszawie wprowadził program CPN „Ceny Paliw Niżej”. Nie wszczęto formalnej „procedury naruszeniowej”, ale Komisja wysłała Polsce oficjalne ostrzeżenie. Podobne ostrzeżenie otrzymała wówczas Hiszpania.

POLONIA OPANOWAŁA PIĄTĄ ALEJĘ!

ULICAMI NOWEGO JORKU PRZESZŁA PARADA PUŁASKIEGO

W niedzielę 4 października serce Manhattanu zabiło w rytm „Mazurka Dąbrowskiego". Piątą Aleją przeszła 89. Parada Pułaskiego, to największe święto amerykańskiej Polonii. Reprezentacyjna arteria Manhattanu zabarwiła się na biało-czerwono. Wypełniły ją dźwięki polskich pieśni i piosenek. Na miejscu nie zabrakło sektora Telewizji Republika.

Tysiące uczestników i widzów z całych Stanów Zjednoczonych oddały hołd generałowi Kazimierzowi Pułaskiemu, bohaterowi amerykańskiej wojny o niepodległość. Od 1937 roku Polonia maszeruje na jego cześć Piątą Aleją w każdą pierwszą niedzielę października. Według organizatorów to druga najdłużej odbywająca się aktywna parada w historii Nowego Jorku.

W wielogodzinnym radosnym widowisku, zorganizowanym w tym roku pod hasłem „Za wolność naszą i waszą" („For Our Freedom and Yours"), uczestniczyła reprezentacja społeczności naszej diaspory z wielu amerykańskich miast i stanów. Przybyli goście znad Wisły. Towarzyszył im duch polskości. Widowisko wzbogaciły piękne Polki wybrane jako Miss Polonia, tancerki w ludowych strojach i zespoły muzyczne. Piątą Aleją przejechały udekorowane barwami narodowymi, białymi orłami, biało-czerwonymi parasolkami rydwany, samochody, motocykle i dorożki.

Już po raz drugi z własną platformą udział w paradzie wzięła Telewizja Republika, która prowadziła transmisję prosto z Piątej Alei. Dzięki temu święto Polonii mogli śledzić także widzowie w Polsce.

źródło: Niezależna.pl

FOT. MATEUSZ NIEGOWSKI/PN, JAKUB SZYMCZYK/KPRP, FACEBOOK

REPUBLIKA
NAJCHĘTNIEJ
OGLĄDANA TELEWIZJA
DOM
WOLNEGO
SŁOWA
New York Public Library

GAZETA POLSKA

MILITARNA HIPOKRYZJA TUSKA

Konrad **Wysocki**

WIELKIE SŁOWA O ZAGROŻENIU, WIELKIE CIĘCIA W BUDŻECIE

Rosyjskie rakiety i drony notorycznie naruszają przestrzeń państw wschodniej flanki NATO. Na biurkach kluczowych zachodnich polityków i generałów mnożą się raporty o rosnącym zagrożeniu ze strony Rosji. Co robią kraje bałtyckie? Sukcesywnie wzmacniają swoje zdolności obronne i budżet zbrojeniowy. Co robi Donald Tusk? Z jednej strony ostrzega przed neoimperializmem Kremla, a z drugiej jego gabinet chce obcięcia przyszłorocznych wydatków na obronność o 2 mld złotych.

Nie trzeba być ekspertem od wojskowości, by widzieć, że poziom bezpieczeństwa w Europie z każdym tygodniem drastycznie spada. Rosja wespół z satelicką Białorusią bezczelnie testuje granice odporności Zachodu. Wojna hybrydowa rozwija się niczym wachlarz – od działań hakerskich, przez akty sabotażu, po prowokacje lotnicze i militarne z użyciem rakiet i bezzałogowców. Na tym jednak nie koniec. Do gry ponownie wchodzą tzw. zielone ludziki. Tak było kilka dni temu, gdy uzbrojone grupy wtargnęły na Łotwę od strony Białorusi. Władze w Rydze jednoznacznie stwierdziły, że tak agresywnej prowokacji wobec ich kraju jeszcze nie było.

Sąsiedzi wrzucają wyższy bieg

A to właśnie kraje bałtyckie znajdują się na pierwszej linii neoimperialnej polityki Kremla. Mimo że ich potencjał bojowy jest zdecydowanie skromniejszy niż siły, którymi dysponuje chociażby Polska, starają się go sukcesywnie wzmacniać nie tylko zacieśnianiem sojuszy międzynarodowych, lecz także przeznaczaniem coraz większych środków z PKB na obronność. Do ubiegłego roku liderem pod tym względem była Polska ze wskaźnikiem na poziomie 4,3 proc. PKB. Litwa, Łotwa i Estonia znacznie jednak przyspieszyły. Ich planowane wydatki na ten cel na bieżący rok to odpowiednio 5,33, 4,9 oraz 5 proc. PKB. Polska w tym roku zamierza przeznaczyć około 200 mld złotych, czyli w przeliczeniu 4,81 proc. swojego PKB na obronność. Widać więc, że w stosunku do 2025 roku wydatki te wzrosły, jednak nasza dynamika ustępuje bałtyckim sąsiadom. Co więcej, Litwa, Łotwa i Estonia zamierzają w 2027 roku utrzymać wydatki na ten sektor co najmniej na poziomie

FOT. ADOBESTOCK

Z LIDERA POZA PODIUM

Jeszcze w 2025 roku liderem wydatków na obronność względem PKB była Polska. Dziś zaczynają nas wyprzedzać kraje bałtyckie – Litwa, Łotwa i Estonia.

5 proc. PKB. „Musimy być gotowi i działać, jeśli coś się wydarzy" – słusznie zauważył w jednym z wywiadów premier Litwy Mindaugas Sinkevičius.

Służby alarmują, NATO reaguje

Szef litewskiego rządu zwraca również uwagę na fakt, że odległość przestała być wyznacznikiem prowokacyjnych działań rosyjskiego reżimu. Wydarzenia na lotnisku w Lipsku w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii latem tego roku jasno dowodzą, że operacja Kremla nie odnosi się już wyłącznie do wschodniej flanki NATO. Potwierdzają to również jednoznaczne raporty państw Zachodu, jak i samego dowództwa Sojuszu. „Będziemy bronić każdego kilometra kwadratowego swojego terytorium. Jesteśmy gotowi zareagować" – zapewnia szef NATO Mark Rutte. Dowodem ma być nowa strategia Sojuszu, której szczegóły zostaną przedstawione w tym tygodniu. Reagują też poszczególne kraje. Amerykańskie CIA ostrzegło pod koniec września, że nowym celem rosyjskich ataków mogą stać się Hiszpania, Francja i Włochy. Wzrostu działań sabotażowych spodziewają się także brytyjskie i niemieckie służby. Stopień zagrożenia cyberatakiem ze strony Rosji podniosła w ostatnim czasie Dania. Bezpośrednie groźby wobec Litwy skierował sam Kreml. Chodzi o decyzję litewskiego parlamentu, który na początku października przyjął w pierwszym czytaniu projekt zmiany konstytucji, znoszący zakaz rozmieszczania broni masowego rażenia na terytorium kraju. I choć ostateczne głosowanie w tej sprawie zaplanowane jest dopiero na 12 stycznia 2027 roku, rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow już zapowiedział, że „zmiana ta doprowadzi do eskalacji napięć, a Rosja podejmie kroki w celu zapewnienia własnego bezpieczeństwa".

2 miliardy cięć!

„W rosyjskich planach są także hybrydowe uderzenia dronami i rakietami na państwa wspierające Ukrainę, w tym Polskę" – ostrzegał z mównicy sejmowej w połowie września tego roku premier Donald Tusk. Jak dodał, „istnieje realne ryzyko, że na teren któregoś z państw lub kilku państw NATO na wschodniej flance mogą wlatywać drony lub innego typu pociski i nawet dokonywać zniszczeń". „Te »przypadkowe« uderzenia mogą się powtarzać" – wskazał. Oczywiście to niejedyna ostrzegająca wypowiedź szefa polskiego rządu wpisująca się w ogólną ocenę sytuacji geopolitycznej Europy. Po raz kolejny okazuje się jednak, że polski rząd co innego mówi, a co innego robi. Podczas gdy większość krajów w regionie wzmacnia swoje zdolności i przeznacza więcej pieniędzy na obronność, Polska skręca w drugą stronę. Zaakceptowana przez rząd pod koniec września ostateczna wersja przyszłorocznego budżetu zakłada przeznaczenie na obronność w 2027 roku 198 mld złotych. Nominalnie to kwota o 2 mld złotych niższa od planowanych wydatków na ten rok. Przeliczając to na procenty, budżet obronny Polski w 2027 roku wyniesie 4,5 proc. PKB. Sprawa budzi oczywisty społeczny niepokój. By ją wyjaśnić, rząd Tuska – nie pierwszy zresztą raz – sięgnął po tzw. kreatywną księgowość, która w narracji rządzących sprowadza się do stwierdzenia, że „mniej to tak naprawdę więcej". Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz stwierdził, że opisaną różnicę zrekompensuje mechanizm SAFE. Wydatki z niego mają korzystać ze zwolnienia z VAT, co – w ocenie ministra – sprawia, że realna wartość zakupów dla wojska będzie większa, niż wynikałoby to z samej kwoty zapisanej w budżecie.

Nieodpowiedzialność rządu

– To bezprecedensowa sytuacja w najnowszej historii Polski, że w momencie gdy drastycznie rośnie zagrożenie zewnętrzne, wydatki na obronność są zmniejszane. Taką postawą wręcz zachęcamy Rosję do kolejnych prowokacji. Nie jesteśmy w stanie się na tyle zmobilizować i zorganizować jako rząd, nawet w sferze budżetowej, żeby się bronić – komentuje w rozmowie z „GP" Bartosz Kownacki, były wiceszef MON, dziś wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Obrony Narodowej (SKON). Jak dodaje, „w liczbach bezwzględnych budżet zostanie obcięty o 2 mld złotych, ale w procentach do PKB będzie to jeszcze większy spadek". – Jeżeli premier mówi, że mamy do czynienia z wielkim zagrożeniem wojennym, a równocześnie obniża się budżet obronny, to jest to skrajna nieodpowiedzialność i taka osoba nigdy nie powinna zajmować tej funkcji. Ten rząd rozmontował budżet do tego stopnia, że dziś nie jest w stanie znaleźć pieniędzy na tak podstawową potrzebę, jaką jest bezpieczeństwo – ostrzega poseł PiS. – Minister finansów nie potrafi znaleźć pieniędzy i mamy dramatyczną sytuację budżetową. Wielkość deficytu grozi gigantycznym spowolnieniem gospodarczym. Przy dużym zagrożeniu zewnętrznym mamy też wicepremiera, szefa MON i koalicyjnej partii, który jeżeli dbałby o swój resort i miał odpowiednią pozycję polityczną, to może nie zwiększyłby radykalnie wydatków obronnych, ale przynajmniej byłby w stanie je utrzymać. To dużo mówi o Władysławie Kosiniaku-Kamyszu, który dziś jest po prostu petentem u Tuska – kończy. **GP**

ROZMAWIA
Grzegorz
Wszołek

POLSKA GOSPODARKA IDZIE NA ŚCIANĘ. CZAS TO ZATRZYMAĆ

SPOSÓB NA POPRAWĘ POLSKICH FINANSÓW

Jeżeli sumaryczny deficyt budżetowy za cztery lata obecnego rządu przekroczy bilion złotych, zadłużenie państwa zbliża się do przekroczenia ustawowego poziomu 55 proc. PKB, to po przekroczeniu go nie będą możliwe jakiekolwiek podwyżki płac w sferze budżetowej i waloryzacje rent i emerytur oraz spowoduje to ograniczenie inwestycji – mówi „Gazecie Polskiej" ekonomista dr hab. Mariusz Andrzejewski, prof. Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, współautor nowych koncepcji gospodarczych PiS.

Podczas kongresu gospodarczego Prawa i Sprawiedliwości na początku października zaprezentowali Państwo najważniejsze postulaty. Między innymi koniec z Polskim Ładem w zakresie składki zdrowotnej, dobrowolny KSeF dla najmniejszych firm w okresie 2–3 lat, podniesienie drugiego progu podatkowego do 180 tys. zł. Które uważa Pan za najistotniejsze?

Propozycje gospodarcze składamy w kontekście założenia, że dzisiaj polscy przedsiębiorcy mają na kontach bankowych ponad 550 mld zł, podczas gdy inwestycje są nadal na zbyt niskim poziomie. Głównie dlatego, że inwestuje przede wszystkim państwo, rząd – ze środków unijnych i budżetowych. Od wielu lat w zasadzie wszyscy ekonomiści wyciągają słuszny wniosek, iż sektor prywatny ma zbyt mały udział. I to jest polski problem. Z jednej strony przedsiębiorcy posiadają pieniądze, ale nie inwestują tak chętnie, jak by mogli. Dlaczego? Próbowaliśmy odpowiedzieć na to pytanie. Otóż szara strefa w naszej gospodarce jest szacowana już na 18 proc. PKB,

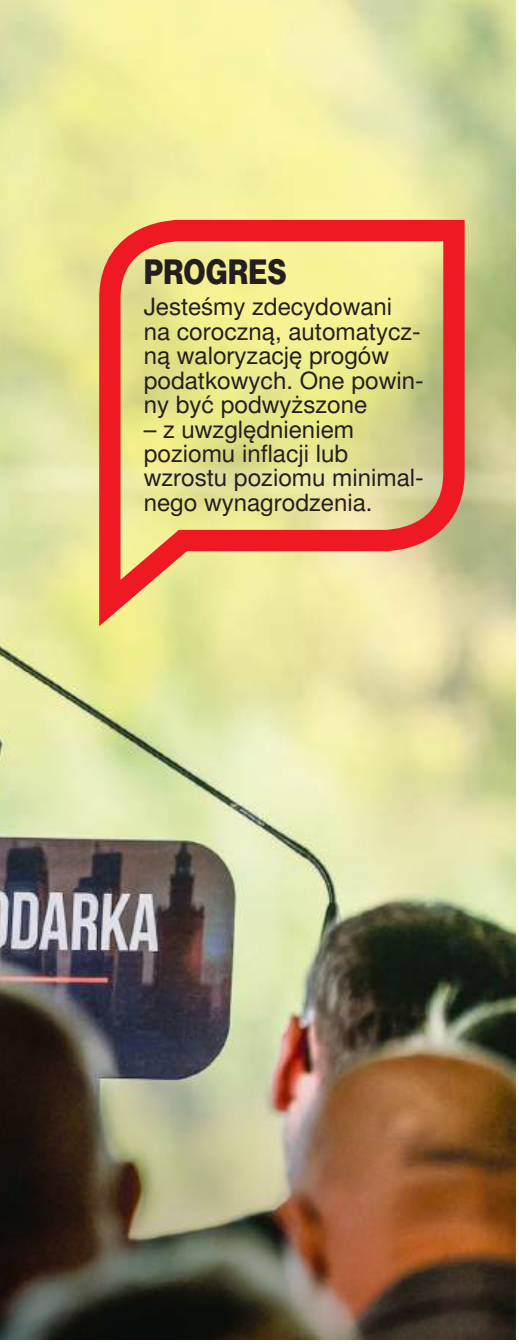

PROGRES

Jesteśmy zdecydowani na coroczną, automatyczną waloryzację progów podatkowych. One powinny być podwyższone – z uwzględnieniem poziomu inflacji lub wzrostu poziomu minimalnego wynagrodzenia.

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

czyli 660 mld zł. Warto zatem zastanowić się, jak pozytywnie wciągnąć w pas transmisyjny gospodarki to, co nam wycieka, będąc poza sferą jakiegokolwiek opodatkowania. Podam przykład: jeżeli konsument wydaje pieniądze, a wcześniej dostaje 800 plus, to kupuje w polskim sklepie z towarami, które gdzieś – najlepiej w naszym kraju – zostały wyprodukowane. Dokładnie o to chodzi z inwestycjami: żeby pieniądz krążył w gospodarce, dając możliwości zarobku zarówno przedsiębiorcom, jak i siłę nabywczą gospodarstwom domowym. Jedna z dwóch głównych naszych propozycji programowych dla PiS opiera się na tym, by zlikwidować składkę zdrowotną w formie z Polskiego Ładu. Obniżenia podatku dochodowego z 17 do 12 proc. dla osób na etatach nie zmieniamy. Niestety niektórzy przedsiębiorcy z dnia na dzień po wprowadzeniu nowych zasad składkowych płacili kilka tysięcy złotych zamiast kilkuset, co często stawiało ich przed podjęciem decyzji: prowadzić czy zakończyć swoją działalność gospodarczą? Jeśli na ryczałcie pierwszy próg podatkowy wynosi dziś 60 tys. zł, to po jego przekroczeniu następuje przymus zapłaty wyższej składki. Co robi przedsiębiorca? Zamyka zakład i wybiera szarą strefę, nie wracając później na rynek.

Nic się nie zmieni dla pozostających na skali podatkowej?

Dla rozliczających się stawką podatkową 12 proc. i 32 proc. nie proponujemy omawianej reformy, bo kto wybiera skalę? Tylko przedsiębiorca, który ma obroty do 120 tys. zł rocznie. Po przekroczeniu tej kwoty wpada w drugi próg. Wybierający skalę podatkową właściciele tychże firm będą płacić składkę zdrowotną według obowiązujących zasad. Jeżeli natomiast mowa o podatnikach liniowych, to jeżeli dzisiaj taki przedsiębiorca płaci ponad 14 tys. zł podatku rocznie, to dzięki reformie podatkowej zyskałby około 8 tys. zł w ciągu 12 miesięcy. Ryczałtowcom proponujemy zamienić dwa progi, które dzisiaj istnieją – 60 i 120 tys. zł – na jeden: 120 tys. zł. To przełoży się na niższą składkę o około 498 zł miesięcznie dla tych mających obrót do 120 tys. zł, a dopiero po przekroczeniu tego progu trzeba będzie płacić wyższą składkę, w wysokości około 830 zł miesięcznie. Znajdujący się pomiędzy obrotami 60 a 120 tys. zł na ryczałcie zapłacą mniej o około 330 zł miesięcznie, a mający obrót na poziomie powyżej 120 tys. zł zapłacą miesięcznie mniej o około 665 zł. W Polsce przedsiębiorców jest około 1,2 mln na ryczałcie, a ponad 550 tys. rozlicza się liniowo (PIT-36L). Na ryczałcie obniżka składek zdrowotnych będzie kosztować polski budżet około 1,9 mld zł mniej wpływów, a w obrębie odprowadzających podatek liniowy – o 3,2 mld zł. Słyszę od razu zarzut, że zamierzam zabrać z ochrony zdrowia 5,2 mld zł, a przecież tam brakuje pieniędzy. Tyle że na zdrowie polskie państwo przeznacza 275 mld zł! Ten ubytek to naprawdę kropla w morzu, którą można wypełnić, sprawdzając, gdzie i jak krążą te pieniądze w systemie ochrony zdrowia, wprowadzając podstawowe zasady restrukturyzacji w szpitalach, w wydatkach na zabiegi i leczenie w prywatnych klinikach.

Co jeszcze zmieni się dla przedsiębiorców, gdy PiS wróci do władzy?

Chcemy wprowadzić jednorazową amortyzację wydatków inwestycyjnych, uznawaną za koszt uzyskania przychodów (KUP) w momencie zapłaty. Czyli przedsiębiorca kupuje maszynę lub samochód – dziś musi je dla celów podatkowych amortyzować, na przykład przez pięć lat. W odniesieniu do leasingu, w którym wydane pieniądze i odsetki są odliczane od podatku w firmach, najszybciej tak pozyskany samochód można wrzucić w koszty podatkowe w ciągu 2 lat. My proponujemy, żeby wszystkie wydatki inwestycyjne poczynione w danym momencie stanowiły od razu koszt uzyskania przychodu, czyli żeby przedsiębiorca mógł obniżyć swój dochód do opodatkowania od razu o całą kwotę na przykład zakupionej maszyny lub zakupionego samochodu. Żeby takie rozwiązanie nie mogło być kwestionowane przez Unię Europejską, należy je wprowadzić bez żadnych ograniczeń – czyli będzie to rozwiązanie do dobrowolnego zastosowania, bez jakichkolwiek limitów dla wszystkich przedsiębiorców rozliczających się według PIT i CIT.

Czy oprócz tych dwóch głównych propozycji programowych dla Prawa i Sprawiedliwości zgłosili Państwo także inne propozycje?

Tak, oprócz powrotu do zasad naliczania składki zdrowotnej sprzed 2022 roku dla przedsiębiorców oraz możliwości zaliczania wydatków inwestycyjnych od razu w ciężar kosztów podatkowych, zaproponowaliśmy kilka zmian szczegółowych, a mianowicie: przywrócenie karty podatkowej na starych zasadach, co przyczyni się do zmniejszenia szarej strefy. Dzięki temu rozwiązaniu przedsiębiorcy będą mogli wybrać osta-

teczną formę opodatkowania (a więc czy PIT-36L, czy ryczałt, czy zasady ogólne, a więc skala: 12 i 32 proc. podatku) po zakończeniu danego roku podatkowego, a nie w pierwszych tygodniach danego roku, kiedy trudno jest im stwierdzić, która z tych dostępnych form pozwoli im na zapłacenie możliwie najniższego podatku. Chcemy, żeby dla rodzinnych spółek z ograniczoną odpowiedzialnością – których wspólnikami są osoby fizyczne, dla ustalonego limitu do 120 tys. zł – podatek od wypłacanej dywidendy obniżono z 19 do 10 proc. Dzięki temu przedsiębiorcy nie musieliby dążyć do wykazywania w swoich spółkach minimalnego zysku.

Kolejny postulat polega na tym, żeby opłaty na PFRON – za brak zatrudnionych osób z niepełnosprawnością – mogły być uznawane za koszt uzyskania przychodów, a rozliczanie opłat na rzecz PFRON odbywało się jak dawniej, poprzez możliwą kompensatę wpłat składek ZUS-owskich – w jednej deklaracji. Przy płatnościach split payment dziś środki finansowe należące prawnie do danego przedsiębiorcy są niejako blokowane na specjalnych kontach bankowych VAT i z tych własnych środków firmy mogą tylko dokonywać płatności podatkowych. Przedsiębiorcy wnoszą o łatwą zmianę, po której wprowadzeniu mogliby tych zablokowanych pieniędzy używać także do wypłaty wynagrodzeń swoim pracownikom, co w znaczny sposób wielu firmom poprawi płynność finansową. Chcemy także wprowadzić możliwość szybszego rozliczenia straty podatkowej. Dziś wykazana strata z danego roku może być rozliczona w ciągu pięciu najbliższych lat.

Wróciłbym do Polskiego Ładu, ponieważ w założeniach miał załatać potężną lukę między obciążeniami, które ponoszą pracodawcy i zatrudnieni na umowach o pracę, a prowadzącymi jednoosobową działalność gospodarczą, którzy optymalizują swoje podatki. PiS, wprowadzając zmiany w 2021 roku, tłumaczyło, że skorzysta – a przynajmniej nie straci – 90 proc. Polaków. Najwięcej w portfelach dzięki Polskiemu Ładowi zostawało najmniej zarabiającym. Dla nich tamta reforma pozostanie bez zmian w nowym programie PiS?

Po wielogodzinnych dyskusjach z politykami PiS i moim zespołem największa partia opozycyjna uznała wyższą składkę zdrowotną dla przedsiębiorców za błąd rządów Zjednoczonej Prawicy. I mnie cieszy taka deklaracja.

Tak. Składka zdrowotna pójdzie do kosza, ale te zmiany proponujemy tylko dla małych i średnich przedsiębiorstw. Mogę zapewnić, że nie tylko dla najmniej zarabiających, ale w ogóle dla osób pracujących na umowie o pracę, także na umowach cywilnoprawnych, nic się nie zmieni. Po wielogodzinnych dyskusjach z politykami PiS i moim zespołem największa partia opozycyjna, za pośrednictwem kandydata na premiera prof. Przemysława Czarnka, uznała wyższą składkę zdrowotną dla przedsiębiorców za błąd rządów Zjednoczonej Prawicy. I mnie cieszy taka deklaracja.

Tyle że PiS nieco zmodyfikowało propozycję – składka zdrowotna się zmieni, ale nie dla dużych firm.

Faktycznie nie jest naszym zamiarem, żeby na planowanych zmianach skorzystali tzw. milionerzy, dlatego uszczegółowienie tych rozwiązań będzie poczynione w oparciu o stosowne symulacje skutków ich wdrożenia w życie dla różnych form prowadzonej działalności, ale co do zasady przywracamy składkę zdrowotną opłacaną ryczałtowo dla małych i średnich przedsiębiorców. Prawdą jest, że dzięki Polskiemu Ładowi najmniej zarabiający, tzw. etatowcy, zyskali miesięcznie od 100 do kilkuset złotych. Dlatego nasze propozycje zmian nie dotyczą osób pracujących na etatach, których w kraju jest o wiele więcej niż przedsiębiorców.

Krytykuje Państwa Mateusz Morawiecki, sugerując, że PiS zmierza w stronę Polski liberalnej, a podział na ten styl myślenia o gospodarce i Polskę solidarną wciąż jest żywy. Część komentatorów zwraca również uwagę, że formacja Jarosława Kaczyńskiego staje się „partią przedsiębiorców", a nie zwykłych Polaków. Jak Pan Profesor odpowie na te zarzuty?

Ku mojemu zaskoczeniu różnica w naszym podejściu do przedsiębiorców w stosunku do stanowiska pana Morawieckiego polega na tym, że my, mówiąc „polski przedsiębiorca", widzimy polską rodzinę, na której utrzymanie ów przedsiębiorca musi sam – bez pomocy rządu czy samorządu – zarobić. Dla nas „polski przedsiębiorca" ma ludzką twarz – to osoba, która musi wypracować zyski także w czasie COVID-u, hiperinflacji czy nagłego wzrostu rat kredytowych. Dlatego nasze propozycje są z obszaru polityki określanej mianem Polski „solidarnej", a patrzenie na przedsiębiorcę jak na „wielki bezduszny biznes" jest charakterystyczne dla polityki określanej mianem Polski „liberalnej". PiS, przyjmując nasze propozycje do programu gospodarczego, jak najbardziej pozostaje wierne zasadom polityki Polski solidarnej, której zawsze byłem zwolennikiem.

Jak na to wszystko, co proponuje PiS, znaleźć środki w tak trudnej sytuacji gospodarczej Polski?

Już wyjaśniam. Jeżeli zredukujemy szarą strefę w gospodarce z 18 proc. do poziomu poniżej 10 proc., to zyskamy może nawet 20 mld zł dodatkowych wpływów podatkowych. Część środków można uzyskać, uszczelniając podatki, z czym dziś jest problem w zakresie efektywności. Kolejna sprawa: jeżeli impuls inwestycyjny zostanie

podjęty przez przedsiębiorców i inwestycje wzrosłyby z 17 proc. do chociaż powyżej 20 proc., to szacujemy PKB na poziomie większym niż 4 proc. A to przełoży się na większe wpływy podatkowe o około 20 mld zł, właśnie z tytułu większego wzrostu gospodarczego. Czyli z tych dwóch źródeł mamy już 40 mld zł do wykorzystania. Dodajmy jeszcze wyższe wpływy z dywidendy ze spółek Skarbu Państwa. Te zyski wypracowywane przez spółki Skarbu Państwa były znacznie wyższe za rządów Zjednoczonej Prawicy niż za czasów obecnie rządzących – wystarczy porównać sobie zyski netto konkretnych firm państwowych i firm z udziałem SP z lat 2022–2023 z okresem 2024–2025. Dodatkowy wpływ do budżetu mógłby wynieść nawet 8 mld zł rocznie. Razem mamy 48 mld zł na pokrycie kosztów, które po części wrócą do gospodarki w ramach inwestycji i konsumpcji.

Pana zdaniem powinno się podnieść kwotę wolną od podatku, wynoszącą dziś 30 tys. zł? Była to jedna z obietnic obecnej koalicji – Donald Tusk i Andrzej Domański zapowiadali ją na poziomie 60 tys. zł.

My jesteśmy zdecydowani na coroczną, automatyczną waloryzację progów podatkowych. One powinny być podwyższone – z uwzględnieniem poziomu inflacji lub wzrostu poziomu minimalnego wynagrodzenia. Także progi dla otrzymania różnych świadczeń społecznych (na przykład dla becikowego) powinny być automatycznie waloryzowane. Mówimy wprost: Polacy dostrzegają, że ceny idą w górę, inflacja nadal jest wysoka, a progi pozostają bez zmian, na czym korzysta głównie rząd. To nie jest fair wobec obywateli, czyli dla płacących podatki.

W przyszłorocznym budżecie resort finansów szacuje deficyt na 281,2 mld zł. Relacja długu publicznego do PKB ma pozostać poniżej konstytucyjnego limitu 60 proc., przynajmniej tak zapewnia minister Andrzej Domański. Inflacja z kolei wzrosła we wrześniu do 4 proc. w skali rocznej, tracimy wiarygodność w oczach agencji ratingowej Moody's, ale za to wzrost gospodarczy w 2027 roku wyniesie 3 proc. Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

Ponieważ z gospodarką było dobrze, ale od 2024 roku z grubsza tak już nie jest. Jeżeli sumaryczny deficyt budżetowy za cztery lata obecnego rządu przekroczy bilion złotych, zadłużenie państwa zbliża się do przekroczenia ustawowego poziomu 55 proc. PKB, to po przekroczeniu go nie będą możliwe jakiekolwiek podwyżki płac w sferze budżetowej i waloryzacje rent i emerytur, jak również spowoduje to ograniczenie inwestycji. Niestety nawet przy bardzo przychylnej i wspomagającej rząd polityce pieniężnej NBP i braku podwyżki stóp procentowych, w sytuacji wyraźnego wzrostu inflacji niską ocenę stanu naszej gospodarki przez tzw. rynek finansowy widzimy w różnicy pomiędzy poziomem naszych stóp procentowych – 3,75 proc. – a poziomem oprocentowania rządowych 10-letnich obligacji skarbowych – 6,3 proc.

Należy wspomnieć o 180 mld zł zagranicznego długu z tytułu SAFE z oprocentowaniem, które dziś nie wynosi już zapowiadanych 3,17 proc. Jest to poziom wyższy, gdyż w strefie euro Europejski Bank Centralny podniósł w ostatnich kilku miesiącach stopy procentowe. Kolejny przykład to KPO. Te środki powinny być inwestowane w Polsce już od kilku lat. Tymczasem zostały przekazane z ogromnym, właściwie nieuzasadnionym opóźnieniem. Nowy rząd nie zdołał nadrobić tych zaległości, co odbiło się na polskich przedsiębiorcach. Realizację projektów inwestycyjnych rozłożono na wiele lat, a finansowanie podzielono na mniejsze kwoty. W efekcie w ostatnim czasie doszło do spiętrzenia wydatków i przetargów. Warunki wielu z nich określono w taki sposób, że większe możliwości udziału miały duże firmy zagraniczne, posiadające spółki matki poza Polską. Mniejsze krajowe przedsiębiorstwa mogły natomiast w znacznie mniejszym stopniu skorzystać ze środków KPO.

Jeżeli sumaryczny deficyt budżetowy za cztery lata obecnego rządu przekroczy bilion złotych, zadłużenie państwa zbliża się do przekroczenia ustawowego poziomu 55 proc. PKB, to po przekroczeniu go nie będą możliwe jakiekolwiek podwyżki płac w sferze budżetowej i waloryzacje rent i emerytur.

Obserwuje Pan awanturę wokół cen paliw, która zaczęła się od obietnicy wyborczej Donalda Tuska o 5,19 zł za litr, do czego premier wrócił przed końcem 2025 roku, kiedy na jednej ze stacji w Polsce widniała kwota poniżej 6 zł. Na przełomie września i października martwiliśmy się, czy nie wystrzeli ona do 10 zł. Ustawa o opodatkowaniu nadmiarowych zysków koncernów wywołała faktycznie zapowiadany efekt?

Tak, ale jest to mocno ograniczony efekt. Należy bowiem zwrócić uwagę, iż po wejściu w życie ustawy miliony przedsiębiorców nie dostaną de facto żadnej ulgi na paliwo, a bardzo często firmy transportowe mają podpisane kontrakty i tak drastyczne wzrosty cen paliw zaburzają ich biznes. Również żadnych rekompensat nie przewidziano dla rolników. Ci ludzie nie otrzymują żadnej pomocy. Ale wielu Polakom ta ustawa przyniosła sporą ulgę finansową, czyli więcej pieniędzy pozostaje w budżetach rodzinnych, i to jest pozytywny efekt działania tej ustawy. Pozytywnym efektem wejścia w życie przepisów dla mnie jest fakt, że Rada Polityki Pieniężnej nie podniosła na swoim październikowym posiedzeniu stóp procentowych. **GP**

POLSCY ROLNICY POZOSTAWIENI SAMI SOBIE

Maciej **Pawlak**
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA

ZADZIWIAJĄCO BIERNA POSTAWA MINISTERSTWA ROLNICTWA

Czarna seria katastrofalnych danych dobitnie pokazuje, że sytuacja w polskim sektorze rolnym stale się pogarsza. To nie tylko niższe w stosunku do ubiegłego roku zbiory. To także niskie ceny w skupie oferowane za podstawowe towary roślinne i zwierzęce oraz niekorzystne dla polskiego rolnika ceny importowanych artykułów rolno–spożywczych z krajów Mercosuru i Ukrainy.

Jak wiadomo, w wyniku umowy UE z krajami Mercosuru rynek rolny w naszym kraju zostanie zarzucony tańszymi artykułami spożywczymi z krajów Ameryki Południowej, nie licząc towarów z Ukrainy.

To nie koniec złych wiadomości dla polskiego rolnictwa. W odpowiedzi na zgłaszane zastrzeżenia dotyczące opublikowanych cen nawozów przyjętych na potrzeby programu dopłat resort dopiero w październiku poinformował, że „ponownie je zweryfikuje". A rolnicy mogą składać wnioski o pomoc do… 23 października 2026 roku. Zaś „wsparcie jest przeznaczone dla rolników dotkniętych znacznym wzrostem cen nawozów i oleju napędowego w związku z kryzysem na Bliskim Wscho-

REALNA GROŹBA

Nieuczciwa konkurencja ze strony krajów Mercosuru i Ukrainy musi oznaczać albo nasilające się bankructwa gospodarstw rolnych w naszym kraju, albo wręcz porzucanie tego typu działalności przez rolników, albo totalne zadłużanie się tego sektora.

FOT. PIXABAY

Według szacunków GUS z końca września br. zbiory zbóż ogółem ocenia się na o około 5,0 proc., a warzyw gruntowych o około 4,0 proc. mniejsze od zbiorów ubiegłorocznych.

dzie w 2026 r. Zasady pomocy określa rozporządzenie Rady Ministrów z 29 września 2026 r.". Przy czym „dopłaty do zakupu nawozów mineralnych nie obejmują wapna nawozowego ani wapna nawozowego zawierającego magnez".

Można by wprowadzić dopłaty do wywozu zbóż

– W obecnej dramatycznej sytuacji polskiego rolnictwa władze powinny wpływać na stymulowanie tego rynku, tj. na obniżenie kosztów ponoszonych przez rolników, poprzez wprowadzanie dopłat do paliw przez nich wykorzystywanych i do nawozów, bo na to jest zgoda Komisji Europejskiej – podkreśla w wypowiedzi dla „GP" poseł Henryk Kowalczyk (PiS), były minister rolnictwa. – I to już od maja br., by pokrywać 75 proc. wzrostu kosztów z tego tytułu. I dziwię się, że do tej pory nic nie zostało zrobione w tym zakresie. A z drugiej strony, w odniesieniu do zbóż, można – wzorem naszych rządów – wprowadzić dopłaty do ich wywozu. A to łącznie dawałoby im cenę sprzedaży 1400 zł za tonę. Jest to kwota, która zabezpiecza w pełni ponoszone koszty wraz z zyskiem. Tymczasem obecnie, na jesieni, cena za zboża sięga zaledwie 700–800 zł/tonę.

– Niestety w międzyczasie padł rynek wieprzowiny – nieco ponad 4 tys./tonę to obecna cena za sprzedaż żywca wieprzowego – kontynuuje poseł Kowalczyk. – Za rządów PiS dorzucaliśmy rolnikom 100 zł/tonę sprzedaży, co choćby w małym zakresie poprawiało opłacalność sprzedaży wieprzowiny. Obecnie ponadto doszło do ogromnego kryzysu w zakresie sprzedaży mleka. W tym miejscu chciałbym przypomnieć, że Polska realizuje tzw. pomoc rozwojową dla krajów dotkniętych ubóstwem i głodem – przekazujemy na ten cel dorocznie kwoty rzędu kilkuset milionów złotych. Tymczasem zamiast tego nasze państwo mogłoby choćby skupić od naszych rolników mleko w proszku. I w ten sposób zdjąć z naszego rynku jego nadwyżkę – dając je tym krajom. Byłaby to pomoc w naturze, a jednocześnie zdjęcie mleka z naszego rynku. To wszystko można by realizować „na już" – mówi polityk.

– W wielu więc obszarach państwo może działać tak, by poprawić sytuację finansową naszych rolników. Ale niestety obecne Ministerstwo Rolnictwa nie robi kompletnie nic – nie wiem dlaczego – bo nie potrafi, nie rozumie? I żadnych pieniędzy nie chce przeznaczyć na tego typu działania. Bo wymaga to jednak wydatkowania jakichś pieniędzy przez rząd – myślę, że w obecnych warunkach łącznie około 2–3 mld zł, tj. 1 proc. naszego rocznego zadłużenia. Ale jest to niewiele, mając na uwadze fakt, że jeśli się nie podejmie żadnych działań, to nasze rolnictwo zostanie zniszczone. A ponadto zostanie zagrożone nasze bezpieczeństwo żywnościowe. Tymczasem wydatkowanie takiej kwoty na pomoc rolnictwu pobudziłoby naszą gospodarkę i pozwoliłoby przetrwać rolnikom – kończy Henryk Kowalczyk.

Czarna seria danych GUS i Instytutu Ekonomiki Rolnictwa

Choć według szacunków GUS z końca września br. zbiory zbóż ogółem ocenia się na o około 5,0 proc., a warzyw gruntowych o około 4,0 proc. mniejsze od zbiorów ubiegłorocznych, to już znacznie niższe zbiory mają dotyczyć owoców z krzewów owocowych i plantacji jagodowych (o około 7,8 proc.). Także niższe niż przed rokiem mają być zbiory rzepaku i rzepiku (o 17,3 proc.), ziemniaków (o około 15,4 proc.), buraków cukrowych (o około 15,5 proc.), owoców z drzew (o około 16,9 proc.).

Ponadto, jak poinformował GUS, rolnicy negatywnie ocenili zmiany ogólnej sytuacji swoich gospodarstw, jakie miały miejsce w I półroczu 2026 roku. Tak zwany wskaźnik zmiany ogólnej sytuacji w gospodarstwach rolnych (WZOS) wyniósł -41,1. Niekorzystne były również prognozy dotyczące sytuacji gospodarstw rolnych na II półrocze 2026 roku. Dodajmy, że wcześniej, w kolejnych tegorocznych miesiącach, GUS informował o wciąż utrzymujących się niższych niż przed rokiem cenach uzyskiwanych przez rolników w skupie za produkcję podstawowych towarów roślinnych i zwierzęcych. Między innymi w sierpniu br. za ziemniaki w sku-

pie płacono o 5,8 proc. mniej niż w sierpniu ub.r. Ponadto cena żywca wołowego w skupie była o 6,1 proc. niższa w skali roku. W sierpniu za żywiec wieprzowy w skupie płacono o 14,6 proc. mniej niż przed rokiem; cena skupu drobiu rzeźnego spadła w porównaniu z sierpniem ub.r. o 8,5 proc. Zaś za mleko płacono w skupie o 21,5 proc. mniej niż rok wcześniej.

Negatywny wpływ na opłacalność produkcji rolno-spożywczej

W tej sytuacji nie dziwi fakt, że w comiesięcznej – za wrzesień – „syntezie informacji i prognoz rynkowych" publikowanej przez Instytut Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej – Państwowy Instytut Badawczy napisano m.in., że sierpień przyniósł u nas „ujemną dynamikę zmian cen żywności i wzrost inflacji ogółem. Spadek cen żywności przy wzroście cen innych towarów i usług może negatywnie wpływać na opłacalność produkcji rolno-spożywczej".

A ponadto „utrzymanie wyższego tempa inflacji ogółem niż żywności może być niekorzystne dla producentów produktów rolno-spożywczych, ponieważ podnosi koszty produkcji przy jednocześnie ograniczonej możliwości wzrostu cen skupu surowców rolnych. Rosnąca presja inflacyjna może też skutkować spadkiem popytu. Wydaje się, że presja kosztowa może skutkować już w IV kwartale 2026 r. podwyżkami cen żywności".

Zatem już obecnie wiele wskazuje na to, że praktycznie cała produkcja rolna w tym roku okaże się gorsza niż przed rokiem.

– Sytuacja polskich rolników jest niezwykle dramatyczna – mówił w wywiadzie dla naszego portalu FilaryBiznesu.pl Janusz Szewczak, analityk gospodarczy, były główny ekonomista Kasy Krajowej SKOK. – Moim zdaniem najgorsza od 30 lat. To oznacza bardzo znaczące podwyższenie kosztów produkcji przez rolników wskutek (…) przypuszczalnego wzrostu cen paliw, zwłaszcza diesla, w kolejnych miesiącach. Ponadto nieuczciwa konkurencja ze strony krajów Mercosuru i Ukrainy – to musi oznaczać albo nasilające się bankructwa gospodarstw rolnych w naszym kraju, albo wręcz porzucanie tego typu działalności przez rolników, albo totalne zadłużanie się tego sektora. To się musi w konsekwencji przełożyć na rosnące ceny żywności i produktów spożywczych, co pociągnie za sobą wzrost inflacji. (…) Najgorsze jest przy tym to, że w obecnym rządzie nikt zdaje się tym nie przejmować. Nie ma w nim poczucia polskiej racji stanu, tego, że państwo musi się zająć problemami rolników.

W rolnictwie jak w większej części polskiej gospodarki

– W rolnictwie panuje bardzo podobna sytuacja do tej w większej części polskiej gospodarki – mówi w wypowiedzi dla „GP" Piotr Soroczyński, główny ekonomista Krajowej Izby Gospodarczej. – Bowiem producenci z krajów UE, w tym z Polski, podlegają rozlicznym obostrzeniom, normom, regulacjom, wyśrubowanym wskaźnikom. Rolnicy mają bardzo podobnie. I – podobnie jak konsumenci – stykają się na co dzień z zalewem towarów spoza Unii, które napływają od producentów, którzy nie potrzebują wymagań obowiązujących w UE spełniać. Część tego importu pochodzi z południowoamerykańskich krajów Mercosuru czy z Ukrainy. Oznacza to presję na naszych rolników. Jeśli dane towary wytwarzane są po niższych kosztach, konkurują z naszym wytwórcami i ich wypierają. Polska strona stara się sobie z tym poradzić. Ale jest to trudne. Do kosztów produkcji dochodzą przecież wciąż wysokie koszty paliwa czy nawozów sztucznych.

Czym to może skutkować? W Polsce w ostatnich 30 latach powierzchnia upraw rolnych zmniejszyła się o 4 mln ha. Ponieważ te obszary okazały się mniej konkurencyjne, by utrzymać się na rynku. A obecnie ten proces może ponownie wrócić. Może się okazać, że części pól nie będzie sensu obsadzać, bo z góry wiadomo, że będą one za mało urodzajne i wydajne, by udało się konkurować z napływem żywności z innych krajów. Rolnicy spoza UE nie ponoszą przecież takich kosztów jak u nas i nie podlegają wymaganiom obowiązującym w Unii. **GP**

STOPY WCIĄŻ BEZ ZMIAN

Rada Polityki Pieniężnej NBP podjęła decyzję o utrzymaniu stóp procentowych NBP na niezmienionym poziomie, w tym stopy referencyjnej 3,75 proc. Według szybkiego szacunku GUS inflacja CPI we wrześniu br. wzrosła do 4,0 proc. r/r (z 3,4 proc. r/r w sierpniu br.). Przyczynił się do tego przede wszystkim wzrost rocznej dynamiki cen paliw do prywatnych środków transportu. Jednocześnie można szacować, że we wrześniu inflacja po wyłączeniu cen żywności i energii nieco się obniżyła. W tych warunkach Rada postanowiła utrzymać stopy procentowe na niezmienionym poziomie.

WŁOSZKA UPAMIĘTNIONA ZA POMOC POLAKOM PODCZAS WOJNY

Luciana Frassati-Gawrońska podczas II wojny siedem razy przyjeżdżała do okupowanej Polski jako emisariuszka emigracyjnego rządu RP. Przewoziła korespondencję i pieniądze dla polskiego podziemia, pomagała Polakom i interweniowała w sprawie profesorów aresztowanych podczas Sonderaktion Krakau. Po wojnie jej warszawskie nieruchomości zostały znacjonalizowane. Według informacji Fundacji im. XBW Ignacego Krasickiego 7 października przy ul. Nowy Świat 25 w Warszawie odsłonięto poświęconą jej tablicę. Uroczystość odbyła się w rocznicę jej śmierci.

FOT. ADOBE STOCK, YOUTUBE

www.prenumerata.swsmedia.pl

Iwona
Balcerak
TEKST I ZDJĘCIA

Mała kapusta, wielki charakter

Przez lata niesłusznie skazana na złą sławę. Brukselka wraca dziś w zupełnie nowej odsłonie: chrupiąca, lekko karmelizowana, zaskakująco delikatna. Jesienią smakuje najlepiej, a odpowiednio potraktowana, potrafi stać się bohaterką stołu, a nie tylko tłem dla dania.

PIECZONA BRUKSELKA W MARYNACIE Z SOSU SOJOWEGO I MIODU

- 800 g brukselki
- 2 łyżki oliwy
- 2 łyżki sosu sojowego
- 1 łyżka miodu
- sok z połowy cytryny
- 4 plastry szynki
- 1/2 czerwonej papryki
- 4 jajka
- 1 łyżka sezamu
- świeżo mielony pieprz
- sól do posolenia jajka

Oczyść brukselkę, usuń zwiędnięte zewnętrzne listki i przekrój każdą główkę na pół. Wymieszaj oliwę, sos sojowy, miód oraz sok z cytryny. Dodaj odrobinę pieprzu i dokładnie połącz składniki. Zamarynuj brukselkę, obtaczając ją w przygotowanej mieszance.

Przełóż brukselkę do naczynia żaroodpornego. Pokrój szynkę i paprykę w niewielką kostkę, a następnie rozłóż je między brukselkami. Wstaw naczynie do piekarnika rozgrzanego do 160°C i piecz przez 10–15 minut. W trakcie pieczenia raz lub dwa razy delikatnie przemieszaj brukselkę, aby równomiernie pokryła się marynatą i lekko się zrumieniła.

W międzyczasie przygotuj jajka na miękko, gotuj je około 4,5 minuty, a następnie przelej zimną wodą. Upraż sezam na suchej patelni na średnim ogniu, przez 1–2 minuty, aż lekko się zezłoci i zacznie pachnieć.

Wyjmij brukselkę z piekarnika, przełóż na talerze, posyp uprażonym sezamem, dodaj jajko na miękko. Podawaj ze świeżym pieczywem. **GP**

CZAS	**30 MINUT**
KOSZT	**20 ZŁ**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**ŁATWY**
PORCJI	**4**

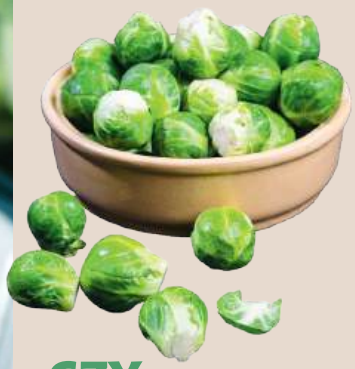

CZY WIESZ, ŻE...

Współczesna kuchnia chętnie piecze ją, smaży czy grilluje. Przekrojone na pół główki, skropione oliwą i posypane solą, po kilkunastu minutach w mocno rozgrzanym piekarniku zaczynają się karmelizować. Zewnętrzne listki stają się chrupiące, a środek pozostaje miękki.

Klasycznym partnerem dla brukselki pozostaje masło. Wystarczy upiec warzywo, a na koniec dodać odrobinę masła i świeżo mielonego pieprzu. Bardziej wyrazistą wersję stworzy połączenie z boczkiem, pancettą lub wędzonym tofu.

Kilka kropli soku z cytryny albo odrobina octu jabłkowego potrafią odmienić jej smak. Świetnie sprawdzają się miód, syrop klonowy czy pieczone jabłko. W bardziej świątecznym wydaniu można dodać prażone orzechy włoskie, laskowe albo migdały, a całość wykończyć odrobiną sera pleśniowego lub parmezanu.

Ciekawym rozwiązaniem jest także bardzo cienkie poszatkowanie surowej brukselki. W tej formie przypomina kapuścianą surówkę. Wystarczy dodać oliwę, sok z cytryny, jabłko, orzechy i odrobinę sera.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

KLUBY GAZETY POLSKIEJ

Z Klubami „Gazety Polskiej” przez Europę. Od włoskich jezior po Lourdes i modlitwę za ojczyznę

Najpierw były Alpy i włoskie Tarvisio, później błękitna tafla jeziora Garda, monumentalna katedra w Mediolanie i długa droga przez Francję w stronę Pirenejów. W Lourdes przyszedł czas na zupełnie inne doświadczenie: mszę świętą w Grocie Massabielle, modlitwę za klubowiczów „GP” oraz ojczyznę w sanktuarium i wieczorną procesję ze świecami. W drodze powrotnej czekały jeszcze Lazurowe Wybrzeże, Nicea i Werona.

Dziesięciodniowy wyjazd z Klubami „Gazety Polskiej” połączył zwiedzanie z pielgrzymowaniem, ale miał jeszcze jeden szczególny wymiar. W Lourdes uczestnicy podróży dołączyli do rozpoczynającego się X Zjazdu Klubów „Gazety Polskiej” Europy Zachodniej. Dzięki temu spotkali klubowiczów „GP” działających poza granicami Polski, mogli się poznać, porozmawiać i wymienić doświadczeniami.

Podróż rozpoczęła się 28 września. Z każdym kilometrem krajobraz coraz wyraźniej się zmieniał, aż pojawiły się alpejskie panoramy. Pierwszym włoskim przystankiem było położone wśród gór Tarvisio, a nocleg zaplanowano w Gemonie. Był to dopiero początek wyprawy, ale również początek tego, co podczas klubowych podróży jest równie ważne, jak kolejne punkty programu – poznawania się uczestników. Długie godziny spędzone wspólnie w autokarze, posiłki i kolejne postoje szybko zamieniają grupę osób wyruszających z różnych miast w zgraną ekipę.

Kolejny dzień należał do największego jeziora Włoch. Jezioro Garda, otoczone górami, z niewielkimi portami, śródziemnomorską roślinnością i kolorową zabudową, pokazało uczestnikom zupełnie inne oblicze północnych Włoch. Był spacer promenadą i uliczkami starego miasta, był czas na włoskie kawiarnie i punkty widokowe, ale największą atrakcją okazał się rejs. Z pokładu łodzi można było spojrzeć na Gardę i otaczające ją Alpy z innej perspektywy. Następnego dnia grupa ruszyła do Mediolanu. Zwiedzanie rozpoczęło się na Piazza del Duomo, przed jednym z najbardziej rozpoznawalnych zabytków miasta – mediolańską katedrą. Tym razem nie skończyło się na oglądaniu jej z placu. Uczestnicy weszli również do wnętrza Duomo. Trasa prowadziła dalej przez Galerię Vittorio Emanuele II na Piazza della Scala, przed słynny teatr La Scala, a następnie w okolice Castello Sforzesco.

Klubowe wyjazdy pozostawiają po sobie nie tylko zdjęcia odwiedzonych miejsc, lecz także znajomości, wspólne przeżycia i rozmowy.

FOT. ARCH.

Po kilku dniach spędzonych we Włoszech przyszedł czas na zmianę kierunku. Grupa ruszyła przez Francję do miejsca, które od początku było głównym celem podróży – Lourdes. Droga przez Francję zajęła niemal cały dzień. Im bliżej było Pirenejów, tym bardziej zmieniał się charakter wyprawy. Po dniach zwiedzania włoskich miast uczestnicy znaleźli się w jednym z najważniejszych miejsc pielgrzymkowych świata. Pierwszy pełny dzień w Lourdes rozpoczął się wcześnie. Grupa uczestniczyła we mszy św. w Grocie Massabielle – miejscu objawień Matki Bożej św. Bernadetcie Soubirous. Eucharystię zorganizował Andrzej Woda, organizator X Zjazdu Klubów „Gazety Polskiej” Europy Zachodniej, a wspólnie modlili się podczas niej zarówno uczestnicy wyjazdu, jak i klubowicze przybyli do Lourdes na zjazd. Msza św. sprawowana była m.in. w intencji Klubów „Gazety Polskiej” i w intencji ojczyzny. Był to jeden z najważniejszych i najbardziej symbolicznych momentów pobytu w Lourdes. Wspólna modlitwa w Grocie Massabielle połączyła klubowiczów, którzy przyjechali z Polski, z przedstawicielami Klubów „GP” działających w Europie Zachodniej. W miejscu, do którego od pokoleń przybywają pielgrzymi z całego świata, mogli razem modlić się za klubową wspólnotę, a jednocześnie rozpocząć czas spotkań i rozmów związanych ze zjazdem. Później uczestnicy poznawali sanktuarium – Bazylikę Różańcową, Bazylikę Niepokalanego Poczęcia i najważniejsze miejsca związane z historią objawień. Był też czas na poznanie zupełnie innego oblicza Pirenejów. Grupa wybrała się do Grottes de Bétharram, rozległego kompleksu jaskiń pełnych skalnych formacji i podziemnych komnat. Kolejnego dnia Lourdes można było poznać dokładniej podczas spaceru z lokalnym przewodnikiem. Później nie było już napiętego programu. Każdy mógł wrócić do miejsc, które zrobiły na nim największe wrażenie, znaleźć czas na indywidualną modlitwę, spacer czy zwyczajną chwilę ciszy. Wieczorem

uczestnicy wyjazdu wzięli udział w charakterystycznej dla Lourdes procesji maryjnej ze świecami.

Pobyt w Lourdes miał jednak dla tej grupy jeszcze jeden bardzo ważny wymiar. Właśnie tutaj 2 października rozpoczynał się X Zjazd Klubów „Gazety Polskiej" Europy Zachodniej, a uczestnicy wyjazdu dołączyli do jego rozpoczęcia. I ten punkt trudno traktować jedynie jako kolejną pozycję w programie. Na co dzień Kluby „Gazety Polskiej" działają w różnych miastach i różnych krajach, często bardzo daleko od siebie. Lourdes stworzyło możliwość, by ludzie znający się dotąd z działalności klubowej, korespondencji czy wspólnych inicjatyw wreszcie spotkali się osobiście. Był więc czas na rozmowy i poznanie się, ale przede wszystkim na wymianę doświadczeń między klubowiczami z Polski i środowiskiem Klubów „Gazety Polskiej" działających w Europie Zachodniej.

Po duchowych przeżyciach i spotkaniach w Lourdes droga znów prowadziła na wschód. Tym razem przez południową Francję aż na Lazurowe Wybrzeże. Pirenejskie krajobrazy stopniowo ustępowały śródziemnomorskim widokom, a wieczorem grupa dotarła do Antibes Juan-les-Pins. Następnego ranka przyszedł czas na Niceę. Z przewodnikiem uczestnicy przeszli słynną Promenade des Anglais, zobaczyli Place Masséna, uliczki Starego Miasta i okolice Cours Saleya. Trasa prowadziła również w stronę portu i na Wzgórze Zamkowe, skąd można było spojrzeć na panoramę miasta, zatokę i wybrzeże. Po Nicei grupa pożegnała Francję i ponownie przekroczyła granicę z Włochami.

Ostatnim miastem na trasie była Werona. Spacer rozpoczął się na Piazza Bra przy rzymskiej Arenie, a następnie prowadził Via Mazzini, przez Piazza delle Erbe i Piazza dei Signori oraz zaułki starego miasta. Nie mogło zabraknąć również jednego z najbardziej znanych adresów Werony – Domu Julii i jego słynnego dziedzińca. Potem pozostał czas na ostatnie zdjęcia, zakupy i włoskie espresso. Wieczorem autokar ruszył już w stronę Polski. Po nocnym przejeździe przez Austrię i Czechy zakończyła się dziesięciodniowa podróż.

Można tę wyprawę opowiedzieć nazwami miejsc: Garda, Mediolan, Lourdes, Bétharram, Nicea, Werona. Można policzyć przejechane kilometry, odwiedzone miasta i kolejne granice. Ale podobnie jak podczas wcześniejszych wyjazdów Klubów „Gazety Polskiej" najważniejszej części tej podróży nie da się znaleźć w turystycznym programie. To rozmowy prowadzone w autokarze i przy wspólnych posiłkach, poznawanie osób z innych miast, wspólne zwiedzanie, żarty po wielu godzinach drogi, ale również modlitwa w Lourdes i chwile, które każdy przeżywał już bardzo osobiście. Tym razem doszedł do tego jeszcze jeden wymiar: spotkanie z klubowiczami „Gazety Polskiej" z Europy Zachodniej podczas rozpoczęcia ich X Zjazdu. Grupa, która przez kilka dni poznawała się podczas wspólnej drogi, w Lourdes stała się częścią znacznie większego spotkania ludzi tworzących Kluby „Gazety Polskiej" poza granicami kraju. Bo takie wyjazdy pozostawiają po sobie nie tylko zdjęcia odwiedzonych miejsc. Pozostają znajomości, wspólne przeżycia i rozmowy, które często trwają długo po powrocie do Polski.

Już teraz wszyscy uczestnicy zapowiedzieli przyjazd do miasteczka w obronie Trybunału Konstytucyjnego do Warszawy, a 14 listopada na Pielgrzymkę Klubów „GP" na Jasną Górę do Częstochowy. **GP**

NOWE KLUBY „GP", ZMIANY, REAKTYWACJE

GOLUB-DOBRZYŃ – powstał 571. klub „GP", przewodniczącym został Jerzy Nadolski, tel.: 509 292 512, e-mail: klubgp.golubdobrzyn@gmail.com.

CHOJNICE – reaktywacja klubu „GP", przewodniczącą została Gabriela Kloske, tel.: 602 101 745, e-mail: klubgp.chojnice@gmail.com.

ZAPROSZENIA klubowe

ZAWIERZENIE MATCE BOŻEJ KLUBÓW „GAZETY POLSKIEJ" – Pielgrzymka Klubów „Gazety Polskiej", 14 listopada, godz. 11, Kaplica Cudownego Obrazu na Jasnej Górze, Częstochowa.

Kielce-Centrum – spotkanie z sędziami P. Schabem, J. Teklińskim, M. Czapskim oraz prokuratorem M. Moszowskim. 16 października, godz. 16, aula przy Kościele pw. św. Franciszka, ul. Warszawska 33, Kielce.

Perth – Australia – msza św. w intencji bł. ks. Jerzego Popiełuszki oraz pokaz filmu „Popiełuszko. Testament wolności". 18 października, godz. 9.30 – msza św. w kościele w Maylands, 35 Eighth Ave, Perth, godz. 10.30 – pokaz filmu „Popiełuszko. Testament wolności".

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP"

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP"

Ewa Wójcik
PREZES KLUBÓW „GP"

Biuro Klubów „GP": ul. Bracka 15, I piętro, 31-005 Kraków,
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl, tel. (12) 422 03 08, 505 038 217, 609 447 449

WIĘCEJ INFORMACJI NA WWW.KLUBYGP.PL

Lourdes gościnne dla Klubów „Gazety Polskiej”

Tegoroczny jubileuszowy X Zjazd Klubów „Gazety Polskiej” Europy Zachodniej, który odbył się w Lourdes we Francji, przejdzie do historii jako połączenie duchowej wyprawy do miejsca objawień, kulturoznawczej podróży przez pozornie niedotknięty kryzysami region Francji, wreszcie jako integracyjne spotkanie najaktywniejszych przedstawicieli naszej organizacji w trudnym dla Polski i świata okresie. Pomimo nienajlepszych refleksji co do sytuacji politycznej zarówno nad Wisłą, jak i nad Sekwaną oraz w całej Europie, było to spotkanie ze wszech miar potrzebne, udane i wyjątkowe.

Wojciech **Mucha**

Na początek trochę statystyki – w zjeździe (odbywającym się w dniach 30 września – 5 października) uczestniczyli klubowicze „Gazety Polskiej” z wielu części Europy, m.in. z Francji, Norwegii i Polski, a także ze Stanów Zjednoczonych, z Kanady i odległej Australii. Wyznaczenie na cel spotkania Lourdes – miejsca szczególnego dla katolików i pielgrzymów z całego świata – nie było przypadkowe, a za taką decyzją stoi paryski klub „GP” na czele z przewodniczącym Andrzejem Wodą, który przez długie tygodnie przygotowywał cały program w tym oddalonym o ponad 700 km od Paryża miasteczku.

Jaskinie, protesty i święte źródło

Trzeba powiedzieć, że było to wyzwanie logistyczne o poważnej skali. By sobie to uświadomić, warto powiedzieć, że poza noclegiem w gościnnych progach Domu Polskiego „Bellevue” pod wezwaniem Maksymiliana Kolbego, położonym na malowniczym uboczu Lourdes, uczestnicy mieli okazję wybrać się m.in. na wycieczkę do jednej z najbardziej widowiskowych w Europie Jaskini Bétharram. To odkryty w 1819 roku przez oficera gwardii Napoleona i zaadaptowany na potężną atrakcję turystyczną kompleks korytarzy i grot, rozciągający się na długości 5 km tras umiejscowionych na kilku poziomach, po których oprócz

spaceru z przewodnikiem zwiedzający poruszają się kolejką oraz przypominającym łódkę pojazdem na podwodnych szynach. Była również okazja do spaceru w malowniczym miasteczku Pau, stolicy departamentu Pireneje Atlantyckie, nad którym góruje zamek będący miejscem narodzin Henryka IV, króla Francji rządzącego w latach 1589–1610.

Senna atmosfera tego wyraźnie bogatego i oddalonego od problemów miejsca kontrastowała z dochodzącymi i tutaj echami z pogrążonego w chaosie Paryża, i innych ośrodków miejskich, w którym w tym czasie trwały protesty nauczycieli i uczniów przekształcające się w masowe zamieszki. Wszystko okazało się jednak przypadkiem – nasza wizyta przypadała na sobotę 3 października, a w poniedziałek protesty w Pau ruszyły z pełną mocą, by osiągnąć kulminację we wtorek 6 października. W momencie oddawania do druku niniejszego wydania „Gazety Polskiej” w mieście trwały m.in. blokady szkół.

Wróćmy jednak do Lourdes, gdzie uczestnicy zjazdu Klubów „GP” wzięli udział m.in. w tłumnej procesji za świętą figurą Matki Boskiej oraz we mszy świętej w Grocie Massabielle, a także odwiedzili bazyliki sanktuarium. Za kulminację pątniczych wydarzeń można jednak uznać poranną mszę świętą w intencji klubowiczów „Gazety Polskiej” i całego naszego środowiska, która miała miejsce w Grocie Objawienia z udziałem aż siedmiu księży, a naszym przyjaciołom towarzyszyli pielgrzymi z całego świata, szukający w miejscu objawień, podobnie jak my, ukojenia, pomocy lub duchowego natchnienia. Na wszystkich wrażenie zrobiła oczywiście historia św. Bernadetty, ubogiej dziewczyny, która w 1858 roku ujrzała Maryję aż osiemnaście razy i pouczona przez „Piękną Panią” odkryła święte źródło bijące w Lourdes do dziś i dające nadzieję wszystkim wierzącym w jego moc.

FOT. WALDEMAR DRÓŻDŻ

Strawa duchowa i klubowa

W tym miejscu warto po raz kolejny wspomnieć o doskonałej organizacji zjazdu, dzięki której osoby z ograniczoną sprawnością ruchową, a także wszyscy chętni mogli sprawnie przedostać się z Domu Pielgrzyma nie tylko do świętych miejsc w Lourdes, lecz także na przykład na wycieczkę w wysokie góry, gdzie kapryśna pogoda, krzyżując plany niskimi chmurami, ograniczała co prawda tego dnia widoczność, nie przeszkodziła jednak w ciągłej integracji i rozmowach, które przenosiły się z sali konferencyjnej w każdą możliwą przestrzeń, może poza koncertami – tradycyjnym występem Pawła Piekarczyka czy wspólnym śpiewaniem pieśni patriotycznych, których echo do późnej nocy niosło się wysoko w Pireneje.

O owych panelach i rozmowach warto wspomnieć więcej, bo były one integralną częścią zjazdu. Poświęcone sprawom Polski, Polonii oraz działalności Klubów „Gazety Polskiej" godziny mijały równie szybko jak wspominane atrakcje i aktywności pielgrzymkowe.

I tak w jednym z paneli uczestniczyli będący w podróży do USA redaktor naczelny „Gazety Polskiej" Tomasz Sakiewicz, a także prezes Klubów „Gazety Polskiej" Ewa Wójcik oraz koordynator zagranicznych Klubów „GP" Paweł Piekarczyk. Warto przy tym dodać, że dosłownie chwilę przed zjazdem zainaugurowano działalność 570. Klubu „Gazety Polskiej" – w Tuluzie (Francja), którego członkowie oczywiście byli obecni w Lourdes.

Gorące momentami rozmowy o działalności i znaczeniu Klubów „Gazety Polskiej" oraz ich roli w integrowaniu Polaków mieszkających poza granicami kraju pozwoliły przedstawić perspektywę klubowiczów nie tylko na „sprawy wielkiej polityki", lecz także na działalność Telewizji Republika, jej rolę w kształtowaniu opinii publicznej i to, czym Republika stała się dla Polaków po przejęciu TVP przez rząd Tuska.

Także z tego powodu niemniejsze emocje wzbudził panel dziennikarski, który odbył się w niedzielę na zakończenie zjazdu. Wzięli w nim udział dziennikarze: reprezentujący Republikę ulubieniec klubowiczów Janusz Życzkowski, red. Wojciech Mucha z „Gazety Polskiej" oraz Maciej Rusiński, szef nowojorskiego klubu „Gazety Polskiej", do niedawna prowadzący w Republice program „Ameryka, polityka i dolary".

Co ciekawe, po wielu godzinach rozmowy o polskich realiach klubowicze mieli najwięcej pytań właśnie do Rusińskiego, który nie patrząc na zegarek, długo tłumaczył zawiłości amerykańskiej polityki oraz przewidywał, co stanie się po tzw. wyborach połówkowych (midterms), które w USA odbędą się już 3 listopada. Rozmowy z Rusińskim pokazały wyraźnie, że głód pogłębionej analizy jest niezaspokojony, co zgodnie uznano za rekomendację dla odpowiedzialnych za ramówkę Republiki.

Podczas innego z paneli łączono się z dobrym duchem środowiska klubowego – Adamem Borowskim, legendą opozycji antykomunistycznej i koordynatorem Klubów „Gazety Polskiej" województwa mazowieckiego.

Polityczne pytania i odpowiedzi

Sporą niespodzianką była wizyta na zjeździe uczestników równolegle odbywającej się pielgrzymki autokarowej środowiska Klubów „GP", którzy dotarli tu z Warszawy, by po wspólnym spotkaniu z uczestnikami zjazdu i redaktorem Tomaszem Sakiewiczem oraz pobycie w hotelu w Lourdes wyruszyć w dalszą podróż na Lazurowe Wybrzeże, a następnie przez Weronę wrócić do Polski.

Na koniec warto wspomnieć, że nie byłoby zjazdu bez gości politycznych, choć biorąc pod uwagę atmosferę oraz bogaty program, można pokusić się o stwierdzenie, że nie stanowili oni głównej atrakcji. I tak w spotkaniu wziął udział m.in. europoseł Tobiasz Bocheński (PiS), który zatrzymując się w pobliskim hotelu, był przez dwa dni częstym gościem Domu Pielgrzyma, żywo dyskutując z uczestnikami zjazdu przejmującymi się m.in. sytuacją w PiS oraz odejściem z partii ludzi premiera Mateusza Morawieckiego.

I choć problemy techniczne zakłócały łączenie z będącym w podróży posłem Przemysławem Czarnkiem, rozmowy osiągały momentami wysoką temperaturę, a klubowicze po raz kolejny udowodnili, że ich „przegląd pola" pozwala skutecznie krytykować nawet tych polityków, z którymi sympatyzują.

Na zakończenie zjazdu doszło do uroczystego posadzenia Dębu rtm. Witolda Pileckiego, który od tej pory będzie rósł w pięknych ogrodach Domu Polskiego „Bellevue". Całość zwieńczyły długie pożegnania i podziękowania dla administrujących ośrodkiem księży oraz personelu z wybitnymi kucharzami na czele, a także gratulacje dla paryskiego klubu „Gazety Polskiej". Jego szef Andrzej Woda usłyszał od uczestników oprócz „Sto lat" także to, że organizacją zjazdu zawiesił sobie poprzeczkę tak wysoko, że nie mogą doczekać się już kolejnego spotkania. I choć istotnie trudno będzie przebić tych kilka pięknych francuskich dni, warto czekać.

I warto być z Klubami „GP" w Polsce, Europie i na świecie. **GP**

PROCES, który osądził zbrodnię, choć nie uratował sprawiedliwości

80 LAT OD WYROKU W NORYMBERDZE

„Cywilizacja nie może tolerować takiej siły zła – bo może nie przetrwać, gdy ono powróci, gdy zawahamy się wobec niejednoznaczności, gdy przez nasze niezdecydowanie damy się wywieść w pole ludziom, w których ta siła wciąż się czai". To słowa aktu oskarżenia wygłoszonego 21 listopada 1945 roku przez Roberta H. Jacksona, amerykańskiego prokuratora generalnego Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze. Mówiąc o wcielonym złu, Jackson wskazywał 21 byłych przywódców III Rzeszy, „te żałosne postaci, stojące przed nami jako więźniowie... Jakakolwiek pobłażliwość wobec nich byłaby równoznaczna z całkowitym poparciem wszystkich okrucieństw kojarzonych z ich nazwiskami".

Decyzje o wytoczeniu procesu zbrodniarzom wojennym zapadły, gdy jeszcze ważyły się losy wojny, a 8 sierpnia 1945 roku w Londynie postanowiono utworzyć Międzynarodowy Trybunał Wojskowy. Po niemal sześciu latach zbrodni, cierpień i nieszczęść, które na Europę sprowadzili Niemcy, przyszła pora wystawienia rachunku. Cztery mocarstwa podjęły próbę wymierzenia sprawiedliwości tym z czołowych funkcjonariuszy partii i państwa hitlerowskiego, którzy nie zdołali uciec przed nią w śmierć. Na ławie oskarżonych brakowało nie tylko Hitlera, lecz także ponurego szefa gestapo Heinricha Himmlera, który wprawdzie dostał się w ręce Amerykanów, lecz zdążył połknąć cyjanek. Brakowało również ministra

Tomasz **Panfil**

propagandy Josepha Goebbelsa, który kazał strzelić sobie w głowę. Wraz z nim umarła jego żona, zabiwszy uprzednio sześcioro ich dzieci.

Sąd zwycięzców

„Zwycięzca zawsze będzie sędzią, pokonany oskarżonym" – napisał Hermann Göring po otrzymaniu aktu oskarżenia. Wiedząc, że proces przywódców III Rzeszy przez wielu może być oceniany jako sądowa zemsta zwycięzców nad zwyciężonymi, zespół sędziów i prokuratorów MTW przez cztery miesiące zbierał dowody, przesłuchiwał tysiące świadków. „Było rzeczywiście coś dziwnego i odrażającego w tym, by Trybunał w charakterze świadków przesłuchiwał osoby, które same przyznały się do masowych morderstw" – pisał Toby Thacker w książce „Koniec Trzeciej Rzeszy". 19 października 1945 roku 21 byłych przywódców Trzeciej Rzeszy z Göringiem na czele – zajmujących cele w więzieniu w Norymberdze – otrzymało opasłe teczki zawierające indywidualne akty oskarżenia. Formalnie oskarżonych było 22 hitlerowców. Ale Martin Bormann, „brunatna eminencja", sądzony był zaocznie, bowiem nie udało się ustalić miejsca jego pobytu. Jego szczątki znaleziono w Berlinie dopiero w grudniu 1972 roku – między zębami czaszki wciąż tkwiły odłamki szkła z rozgryzionej kapsułki z cyjankiem.

Podstawą procesu były nie tylko przepisy prawa międzynarodowego, lecz także „sumienie narodów", „pamięć milionów ofiar", prawo cywilizacji do obrony i odpowiedzialność wobec historii. Cztery zarzuty – udział w spisku zmierzającym do wywołania wojny, zbrodnie przeciwko pokojowi, zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko ludzkości – postawiono funkcjonariuszom partyjnym i dowódcom wojskowym Trzeciej Rzeszy; oskarżono także osiem niemieckich organizacji uznanych za zbrodnicze: SS, SD, SA, Gestapo, kierownictwo NSDAP, rząd Rzeszy, Najwyższe Dowództwo oraz Sztab Generalny.

„Takie rzeczy w niemieckim narodzie się nie zdarzają"

Powyższe słowa wypowiedział Albrecht Speer zwany „architektem Hitlera" (od 1942 roku minister odpowiedzialny za produkcję zbrojeniową), zapytany o pracę przymusową i niewolniczą. Na tym polegał problem MTK: nie było łatwo powiązać przywódców III Rzeszy z konkretnymi zbrodniami.

Nieco w cieniu procesu norymberskiego wiele państw rozliczało się z przeszłością wojenną. Niemieckim funkcjonariuszom średniego i niższego szczebla bez większych problemów udowadniano popełnione przez nich zbrodnie. Niewystygłe ciała pomordowanych, dymiące stosy spalonych, konający z głodu jeszcze żywi więźniowie obozów koncentracyjnych zajętych przez aliantów w kwietniu 1945 roku – wszystko to utrwalono na taśmie filmowej i włączono do materiałów dowodowych jako „Dokument 2430-PS". Film do dziś wywiera straszliwe wrażenie, czym innym jest bowiem czytać o zbrodni, a czymś innym zobaczyć ją chwilę po popełnieniu. Było wielu świadków, którym udało się ujść z życiem, mimo że niemiecki przemysł śmierci pracował do samego końca (https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Nazi_Concentration_Camps.webm). W czterech strefach okupacyjnych niemieckich zbrodniarzy sądzono setkami: zwłaszcza personel niemieckich obozów koncentracyjnych. Brytyjczycy sprowadzili nawet królewskiego kata Alberta Pierrepointa, który wieszał skazanych. W sumie Brytyjczycy wykonali 398 wyroków. Wielu schwytanych funkcjonariuszy III Rzeszy przekazywano krajom, w których dopuścili się zbrodni. W Polsce wykonano wyroki m.in. na Hansie Franku i Rudolfie Hössie, komendancie KL Auschwitz, który był w Norymberdze… świadkiem.

Rodzimi zbrodniarze

Najszybciej sprawiedliwość dosięgła tego, który jako pierwszy stworzył rząd współpracujący z Niemcami: Norwega Vindkuna Quislinga. Został stracony we wrześniu 1945 roku. Miesiąc później zapadły wyroki w sprawie kolaboracyjnych władz marionetkowego państewka Vichy: wyrok śmierci otrzymał premier Pierre Laval. Sędziwy Petain, który współpracą z hitlerowcami zniszczył swoją legendę bohatera spod Verdun, resztę życia spędził w obozie. Francuzi w gwałtownej chęci oczyszczenia się z niechlubnej – do facto kolaboracyjnej – przeszłości rozstrzelali blisko 10 tys. osób i zamknęli rozliczenia jakby w obawie ujawnienia rzeczywistych rozmiarów kolaboracji francuskiego aparatu władzy i całego społeczeństwa. Procesy toczyły się również w Wielkiej Brytanii, Belgii, we Włoszech i na Słowacji, gdzie na karę śmierci skazano księdza Tiso. Na porządku dziennym były samosądy dokonywane przez członków ruchu oporu i zwykłych ludzi na szczególnie znienawidzonych sprawcach wojennych cierpień i zwyczajnych kolaborantach: schwytanego pod koniec kwietnia 1945 roku Benita Mussoliniego włoscy partyzanci powiesili za

FOT. WIKIMEDIA

nogi na rynku w Mediolanie. W całej okupowanej niegdyś Europie golono głowy kobietom utrzymującym zbyt bliskie kontakty z Niemcami. Polskich aktorów grających w niemieckich filmach i występujących w niemieckich lokalach spotykało potępienie kolegów i zakaz – często tylko czasowy – pracy w zawodzie. Taki los spotkał m.in. jednego z najpopularniejszych polskich przedwojennych artystów – Adolfa Dymszę.

Szubienica norymberska

Schwytanych przywódców III Rzeszy umieszczono początkowo w hotelu w Bad Mondorf w Luksemburgu, a następnie przetransportowano do więzienia w Norymberdze. Komendantem więzienia był amerykański pułkownik Burton C. Andrus, do szpiku kości gardzący niedawnymi panami życia i śmierci milionów ludzi. Reżim więzienny był surowy, a po samobójstwie Roberta Ley'a, führera Niemieckiego Frontu Pracy, Andrus jeszcze go zaostrzył. Egotyk Hermann Göring napisał list do Eisenhowera, skarżąc się na odebranie mu medali i wykonanej z kości słoniowej buławy marszałkowskiej.

Właśnie Göring, do niedawna człowiek numer dwa w III Rzeszy, był więziennym przywódcą grupy byłych nazistowskich bonzów. Wyleczony przez władze więzienne od uzależnienia od morfiny, odzyskał dawny wigor i sprawiał mnóstwo kłopotów oskarżycielowi. Jeszcze przed rozpoczęciem procesu na pytanie amerykańskiego korespondenta, czy zdaje sobie sprawę, że znajduje się na liście zbrodniarzy wojennych, Göring odpowiedział: „Nie. To mnie bardzo zaskakuje, bo nie wiem dlaczego". W trakcie procesu zorientował się, że nie może liczyć na inny wyrok jak tylko kara śmierci, ale – jak mówił chełpliwie Douglasowi Kelleyowi, pracownikowi wywiadu USA i naczelnemu psychiatrze więzienia: „Jestem zdecydowany zapisać się w historii Niemiec jako wielki człowiek. (…) Za 50 lub 60 lat pomniki Hermanna Göringa znajdą się w całych Niemczech, może małe, ale w każdym domu znajdzie się jeden z nich".

Inni oskarżeni nie byli tak butni jak feldmarszałek Rzeszy: SS-Obergruppenführer Ernst Kaletnbrunner, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, płakał, gdy otrzymał akt oskarżenia. Hans Frank, który usłużnie dostarczył Trybunałowi swoje liczące ponad 11 tys. stron dzienniki, oświadczył, że „tysiąc lat przeminie, a tej winy z Niemiec nic nie zetrze". Jednocześnie twierdził, że za jego rządów w Generalnym Gubernatorstwie poprawił się dostęp Polaków do opieki zdrowotnej, a on sam troszczył się o polskie szkoły i kulturę.

W Norymberdze największy triumf odniosła nie sprawiedliwość, lecz Józef Stalin, który spokojnie rozprawiał się ze swoimi wrogami.

Prokurator sowiecki wśród zbrodni niemieckich wymienił masakrę w Katyniu, ale obrońcy bez trudu wykazali fałszywość tego zarzutu. Niestety, przez lata ten absurdalny zarzut zgłoszony przez reprezentanta prawdziwych morderców był argumentem dla tych, którzy twierdzili, że w Norymberdze nie zwyciężyła sprawiedliwość, lecz interesy zwycięzców.

Żaden z oskarżonych nie przyznał się do winy. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy wyroki ogłosił 1 października. 12 oskarżonych – w tym sądzonego zaocznie Martina Bormanna – skazano na śmierć, siedmiu otrzymało kary więzienia od lat 10 do dożywocia; trzech uniewinniono. Skazani na śmierć zostali powieszeni 16 października. Wyjątkiem był Hermann Göring, który połknął cyjanek ukryty pod koronką zęba. Na szafocie urządzonym w sali gimnastycznej więzienia Albert Pierrepoint powiesił Alfreda Jodla, Wilhelma Keitela, Alfreda Rosenberga, Artura Seyss-Inquarta, Ernsta Kaltenbrunnera, Fritza Sauckela, Joachima Ribbentropa, Juliusa Streichera, Wilhelma Fricka. Ostatni skazany w Norymberdze Rudolf Hess zmarł w berlińskim więzieniu w 1987 roku.

A sprawiedliwość?

Wymierzając sprawiedliwe wyroki Niemcom, Trybunał Międzynarodowy przypieczętował jednocześnie porażkę sprawiedliwości. Obarczając nazistów winą za zbrodnie wojenne, wybielono zbrodniarza wcale niemniejszego, tego, który zachęcił Hitlera do rozpętania apokalipsy, który również spowodował śmierć milionów ofiar, który rozgrzeszony z przeszłych zbrodni, szykował kolejne. W Norymberdze największy triumf odniosła nie sprawiedliwość, lecz Józef Stalin, który spokojnie rozprawiał się ze swoimi wrogami: tysiącami rozstrzeliwano walczących po stronie Niemiec Kozaków, którym Brytyjczycy dali azyl, by potem aresztować ich i dostarczyć niemal wprost pod lufy plutonów egzekucyjnych. Miliony uwolnionych sowieckich jeńców wojennych maszerowały do syberyjskich i arktycznych obozów pracy. Tam spotykali się przedstawiciele wszystkich narodów zniewolonych przez Związek Sowiecki za przyzwoleniem zachodnich demokracji. Byli tam także najwierniejsi sojusznicy triumfujących aliantów: polscy patrioci, żołnierze Armii Krajowej oskarżeni teraz przez dawnych wspólników Hitlera o „współpracę z faszystami" i „działalność na szkodę Związku Sowieckiego". Prawdziwi hitlerowcy niejednokrotnie otrzymywali niezłe posady, przekazując swoje doświadczenia nowo organizowanym niemieckim służbom bezpieczeństwa – tak było w Niemczech Zachodnich i Wschodnich. Po powstaniu RFN masowo ułaskawiano skazanych zbrodniarzy, którzy zamieniali więzienne prycze na fotele prezesów i dyrektorów. 80 lat po wyroku w sprawie zbrodniarzy ich ofiary wciąż czekają na sprawiedliwość. **GP**

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

PREMIER NIE DAŁ SIĘ ZŁAMAĆ

Tadeusz **Płużański**

14 października 1941 roku w szpitalu sowieckiego więzienia na Butyrkach w Moskwie zmarł Aleksander Prystor. „Zatrzymanie Prystora (…) NKWD uznało za swój duży sukces. Znany szeroko na Wileńszczyźnie ze swych antysowieckich poglądów Prystor był dla nich niemal synonimem kontrrewolucyjnego wroga. Nie licząc się z jego zaawansowanym wiekiem (przekroczył wówczas 66. rok życia) i ogólnie złym stanem zdrowia, poddano go w więzieniu na Łubiance surowemu śledztwu (…). Prystor pozostał nieugięty (…) i metodami śledztwa nie dał się złamać. Kosztowało go to jednak zupełną niemal utratę zdrowia" – napisał biograf Prystora Jacek Piotrowski. Aleksander Prystor, urodzony 2 stycznia 1874 roku w Wilnie, to jeden z czołowych polityków obozu piłsudczykowskiego, premier w latach 1931–1933, poseł, senator, w latach 1935–1938 marszałek Senatu. Bolszewiccy oprawcy nie darowali mu szczególnie udziału w zwycięskiej bitwie 1920 roku. Losu Aleksandra szczęśliwie nie podzieliła jego żona. Janina Prystorowa, o siedem lat młodsza, ps. Bogdanowa, brała udział u boku męża w słynnej akcji pod Bezdanami: 26 września 1908 roku w ataku na rosyjski pociąg pocztowy grupa Organizacji Bojowej PPS, dowodzona przez Józefa Piłsudskiego, zdobyła ponad 200 tys. rubli. Więziona przez rok na Pawiaku i w Cytadeli. Później, razem ze skazanym na siedem lat katorgi mężem, zesłana w głąb Rosji do Orła nad Oką. W latach 1935–1938 posłanka na Sejm, współtwórczyni ustawy o ochronie praw zwierząt: „Ubój rytualny jest przeciwny mojej religii, godności narodu, etyce, kulturze i kieszeni". Przedwojenna pisarka Janina Dunin-Wąsowicz podkreślała, że wprawdzie Prystor „nie był pięknym mężczyzną", ale pani Prystorowa była stale zazdrosna o męża: „Ledwie któraś z młodych i ładniejszych kobiet zbliżała się do Prystora, czy to w towarzystwie, czy w związku z jakąś akcją społeczną, spotykały ją ze strony Prystorowej duże niegrzeczności i małe zemsty". Janina Prystorowa zmarła 3 stycznia 1975 roku w Warszawie, spoczęła na Starych Powązkach. Jej mąż Aleksander jest tam pochowany jedynie symbolicznie. **GP**

FELIETON

{ PLAGI AKADEMICKIE }

REZYGNACJA Z TYTUŁU PROFESORA!

Józef **Wieczorek**

Profesor Radosław Zenderowski zrezygnował z tytułu profesora (belwederskiego, prezydenckiego). Deklarację złożył na ręce prezydenta RP, wyjaśniając, że tytuł profesora „jest zobowiązaniem wobec prawdy, studentów, młodszych badaczy, naszych nauczycieli, społeczeństwa finansującego znaczną część polskiej nauki i wreszcie wobec Rzeczypospolitej, której Prezydent ten tytuł nadaje". Można rzec – zachował się jak trzeba, gdy inni milczą, wobec tego, co się dzieje w domenie akademickiej, wobec jej degradacji. Tytuł profesora w Polsce w praktyce jest dożywotni i traktowany jako cel działalności naukowej, jako fetysz zapewniający prestiż, przywileje i autonomię traktowaną jako parasol ochronny. Krytyka, szczególnie merytoryczna, tak prac naukowych, jak i postępowania profesorów oznacza na ogół koniec kariery akademickiej. Stąd konformistyczne milczenie wobec zła, choć środowisko wykazywało się nonkonformistyczną postawą wobec lustracji i w obronie akademickiego nepotyzmu. Także walka o większe pieniądze, ale bez kontroli tego, na co są wydawane, jednoczy środowisko. Profesor pyta: „Jak mam mówić im o rzetelności, odpowiedzialności i uczciwości intelektualnej, jeśli sam miałbym milczeć wobec problemów, które widzę wokół siebie". Chyba tych dylematów moralnych inni nie mają. Pouczają o etyce z profesorskiej wysokości i „doskonałości", sami na co dzień legitymizując nierzetelność. A jak pisze zasadnie profesor, „młodzi ludzie bardzo szybko zauważą rozdźwięk pomiędzy zasadami, które im głosimy, a praktyką środowiska". I tak jest od lat. Tylko że taki stan rzeczy jest interpretowany jako skutek negatywnego oddziaływania na młodzież przez tych, którzy uczą studentów myślenia krytycznego, nonkonformizmu naukowego. Poważnie należy potraktować słowa profesora: „Może nadszedł czas, by wreszcie przyjrzeć się nie tylko temu kołu, ale i jakości całego mechanizmu, który ma polską naukę napędzać". Niewątpliwie taki czas już nadszedł, bo trzeba poznać mechanizm staczania się nauki w Polsce ku otchłani. **GP**

Uwaga: Polecamy książkę autora pt. „Z akademickiej otchłani". Dostępna w sklepie „Gazety Polskiej".

Kilku tylko ufałem bezgranicznie...

RZECZ O ALEKSANDRZE PRYSTORZE

Skromny, pracowity i całkowicie oddany Polsce i Komendantowi. Aleksander Prystor, bo o nim mowa, zmarł 85 lat temu w sowieckim więzieniu. Najprawdopodobniej w październiku 1941 roku. Mieczysław Lepecki pisał: „Piłsudski bardzo cenił zdanie swego starego przyjaciela, gdyż tak się składało, że gdy nad Polską zbierała się jakaś chmura, gdy coś w machinie państwowej zazgrzytało, my adiutanci dostawaliśmy rozkaz zaproszenia go (...)".

Piotr **Dmitrowicz**

Urodził się w Wilnie 2 stycznia 1874 roku w niezbyt zamożnej rodzinie. Jego ojciec Feliks pracował jako maszynista kolejowy. Aleksander, po ukończeniu wileńskiego gimnazjum, rozpoczął studia na Wydziale Fizyczno-Matematycznym w Moskwie. Studia co prawda ukończył, ale nienajlepsze wyniki zamknęły przed nim szansę na zdobywanie kolejnych stopni naukowych. Wkrótce zaczął studia medyczne, najpierw w Moskwie, a później w Dorpacie, których jednak nie ukończył.

WĘZEŁ

Gdy Prystor (trzeci od lewej) rozpoczynał swój długi marsz walki o niepodległą Polskę, nie przypuszczał, że los złączy go nierozerwalnym węzłem z Józefem Piłsudskim i że ta relacja zdeterminuje jego całe życie.

FOT. ARCH.

W 1903 roku wrócił do Wilna, gdzie odbył roczną służbę wojskową.

W orbicie Piłsudskiego

Jesienią 1904 roku 30-letni Prystor rozpoczynał swój długi marsz walki o niepodległą Polskę. Zapewne nie przypuszczał wtedy, że los złączy go nierozerwalnym węzłem ze starszym o siedem lat Józefem Piłsudskim i że ta relacja zdeterminuje jego całe życie. Nie wiemy dokładnie, kiedy panowie spotkali się po raz pierwszy. Być może było to już w Moskwie, jeszcze w czasie studiów. Bez wątpienia jednak cezurą, od której wszystko się zaczęło, był właśnie rok 1904. Wtedy to Prystor znalazł się w Szwajcarii, gdzie przeszedł specjalne szkolenie, a właściwie kurs wojskowy zorganizowany przez japońskich oficerów, co oczywiście było pokłosiem odbytej kilka miesięcy wcześniej podróży Piłsudskiego do Tokio. W kolejnych latach razem z Walerym Sławkiem rozpoczął rozbudowę na rozkaz Piłsudskiego Organizacji Bojowej PPS. Jednym z największych problemów młodych bojowców był brak pieniędzy. Ścigani przez Ochranę, zmuszani do ciągłego zmieniania lokali, potrzebowali bojowcy gotówki na broń, łapówki czy wydawanie „bibuły". Sposobem na to były „eksy", czyli akcje ekspropriacyjne lub, jak kto woli, napady. W 1908 roku Prystor w dużej części opracował i wziął udział w słynnej akcji pod Bezdanami, gdzie na małej stacyjce pod Wilnem udało się zdobyć w napadzie na pociąg pocztowy niebagatelną sumę około 200 tys. rubli. Akcją kierował Piłsudski, który przed napadem w liście do Feliksa Perla pisał: „Tylem ludzi na to posyłał, tylem przez to posłał na szubienicę, że w razie, jeśli zginę, to będzie naturalną dla nich, cichych bohaterów satysfakcją moralną, że ich wódz nie gardził ich robotą". Cała akcja przeszła do historii pod nazwą „napadu czterech premierów", bo wśród kilkunastu zaangażowanych bojowców znaleźli się późniejsi szefowie rządów: Piłsudski, Sławek, Arciszewski i właśnie Prystor. W napadzie brała udział też Janina, żona Prystora, którą poślubił dwa lata wcześniej.

W carskim więzieniu

Z początkiem roku 1912 Prystor zajął się organizowaniem okręgów bojowych w Kongresówce. Niestety w marcu został aresztowany. Załamany takim obrotem sprawy Piłsudski pisał do Aleksandry Szczerbińskiej nader wylewnie jak na niego: „O nieszczęściu z Bohdanem już wiesz naturalnie. To teraz jest moją zmorą i męczarnią, która dręczy mnie dzień i noc, jestem tak zgnębiony i rozbity, że sam sobie rady dać nie mogę. (...) Był on najdroższym przyjacielem i w myślach czy marzeniach wspólnotę życiową z nim miałem za zasadę. Teraz czuję pustkę i niechęć, czy niemożność do zapełnienia tej pustki. (...) Osobiście taka strata jest nadzwyczaj ciężka. Za stary już jestem, by sobie przyjaciół serdecznych wyrabiać i zbliżać się z ludźmi, tak jak to było z Olkiem". Prystor trafił do osławionego X Pawilonu warszawskiej cytadeli. Po dwuletnim śledztwie zapadł wyrok. Siedem lat katorgi i odsiadka w więzieniu w Orle. Jakie to były dla niego lata, wspominała Aleksandra Piłsudska: „Było to na owe czasy jedno z najstraszniejszych więzień rosyjskich, znane z tzw. krwawej łaźni, przez którą musiał przejść każdy skazany: delikwenta rozbierano do naga i bito pałkami do nieprzytomności. (…) Na rękach Prystora pozostały przez całe życie ślady kajdan. Lubił patrzeć na te straszliwe zgrubienia ze spokojnym jakby drwiącym uśmiechem".

Zaufany Komendanta

W 1917 roku w Rosji wybucha rewolucja lutowa, a dla Prystora to moment uwolnienia. Wraca do ojczyzny. Włącza się w budowanie struktur zakonspirowanej Polskiej Organizacji Wojskowej. Opiekuje się też rodziną Marszałka. Wreszcie 10 listopada 1918 roku jest jedną z nielicznych osób, które witają Piłsudskiego na warszawskim dworcu. I choć, jak wynika ze wspomnień, Piłsudski zignorował jego próby zajęcia uwagi i skupił się na rozmowach z księciem Lubomirskim, to wkrótce Prystor stanie się jednym z najbardziej zaufanych, obok Walerego Sławka, ludzi Marszałka i nie chodzi tu bynajmniej o pełnione funkcje. Obaj panowie byli przez najbliższe lata, można by tak powiedzieć, ludźmi do zadań specjalnych, często supertajnych. To w jego warszawskim mieszkaniu odbywają się od początku 1919 roku rozmowy dotyczące przyszłości Wileńszczyzny i relacji z Litwą. Po zajęciu w kwietniu 1919 roku przez Polaków Wilna Prystor staje na czele Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich. W zasadzie tworzy tę instytucję od podstaw. Po odwrocie wojsk polskich i ofensywie bolszewickiej zgłasza się jako ochotnik do armii. Jego epizod wojenny kończy się po kilku miesiącach. Z relacji kapitana Rudnickiego wynika między innymi, że on i jego ludzie ocalili tabory Dywizji Ochotniczej na linii Ostrów–Wyszków w czasie sowieckiego ataku. W 1921 roku za ten czyn otrzymał Krzyż Walecznych. Tuż przed „buntem" generała Żeligowskiego, czyli

zajęciem przez niego na „rozkaz" Marszałka Wilna i Litwy Środkowej, w październiku 1920 roku Prystor został delegowany do sztabu generała Żeligowskiego, który o jego roli tak pisał: „(…) najbliżej mnie był kpt. Prystor. On reprezentował przy mnie samego marszałka, zamiary którego dokładnie wiedział (...). On miał za zadanie pilnować mnie. Musiało to głupio, jak teraz myślę, wyglądać. Był nieodstępny ode mnie. Pracował i pomagał bardzo dużo".

W 1923 roku trafia do Biura Ścisłej Rady Wojennej, gdzie zajmuje się w całości polityką personalną w armii, oczywiście zgodną z linią Marszałka. W związku z wycofaniem się Piłsudskiego z bieżącej polityki Prystor zostaje w 1925 roku odsunięty na boczny tor. Powierzono mu stanowisko szefa wileńskiej Powiatowej Komendy Uzupełnień.

W służbie sanacji

W trakcie zamachu majowego przebywał w Wilnie i nic nie wiadomo na temat jego udziału w tym wydarzeniu. Faktem jest, że tuż po przejęciu rządów przez Piłsudskiego włączył się w nurt sanacyjny, zostając, a jakże, człowiekiem Piłsudskiego do najtrudniejszych zadań. Trafił do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, gdzie podlegał bezpośrednio Marszałkowi. Pierwszym ważnym zadaniem była weryfikacja, a przeciwnicy polityczni Marszałka powiedzieliby „czystka", jaką zajął się Prystor w wojsku. Obok tego uczestniczył w najważniejszych spotkaniach politycznych oraz był emisariuszem Piłsudskiego w relacjach z wyższymi oficerami. O roli, jaką wtedy odgrywał, świadczą choćby wspomnienia Kazimiery Iłłakowiczówny, sekretarki Piłsudskiego w Ministerstwie Spraw Wojskowych, która tak pisała o tym, co usłyszała od Marszałka na temat Prystora: „(…) to moje alter ego, jak to mówią drugie ja. (…) Czego nie wiesz, jego pytaj. Z moich bliskich Prystor do mnie najpodobniejszy. Jego rozstrzygnięcie będzie najbardziej podobne do mojego. Jak on powie tak i zrób". W 1929 roku trafił ponownie do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, obejmując kierownictwo tej instytucji. W 1931 roku zastąpił Walerego Sławka w fotelu premiera. W tym czasie pokazał się jako typowy propaństwowiec walczący z wynaturzeniami. Był to niezwykle trudny dla Polski czas walki z wielkim kryzysem gospodarczym. Jego misja, dodajmy jedna z najdłuższych na tym stanowisku w II Rzeczpospolitej, zakończyła się nie tylko dymisją wymuszoną przez… Piłsudskiego. Marszałek stwierdził, jak relacjonował Kazimierz Świtalski: „Prystor posługuje się »swoimi ludźmi« (...). Te małe pieski, będący szujami, drażnią, a równocześnie każdej chwili mogą Prystora skompromitować pod względem moralnym". Czy faktycznie niekonsultowanie z Piłsudskim decyzji kadrowych stało za dymisją? Wśród badaczy trwa dyskusja o przyczynach także odsunięcia się Komendanta od Prystora. Pojawiają się głosy, że coraz bardziej schorowany Marszałek nie do końca już w tym czasie kontrolował swoje decyzje. Być może rzeczywistość była całkiem inna. Warto przytoczyć tu argumenty prof. Krzysztofa Kloca, który w swojej znakomitej książce pod tytułem „Piłsudski. Studium fenomenu Komendanta i inne teksty" pisze, że… Prystor nie został odstawiony na boczny tor i nadal pozostawał w grupie najbardziej zaufanych, wciąż spotykał się z Piłsudskim, który wykorzystywał go do prywatnych zadań, i wreszcie to właśnie Prystor już po swojej dymisji miał poinformować Sławka, że Komendant widzi w nim następcę prezydenta Mościckiego.

Prystor stał się jednym z najbardziej zaufanych, obok Walerego Sławka, ludzi Marszałka i nie chodzi tu bynajmniej o pełnione funkcje. Obaj panowie byli ludźmi do zadań specjalnych, często supertajnych.

Bez Marszałka

Po śmierci Piłsudskiego razem ze Sławkiem byli w opozycji do prezydenta Mościckiego. W 1935 roku Prystor został senatorem i marszałkiem Senatu. W 1938 roku znalazł się ponownie w Senacie, ale wybory na marszałka przegrał. Zapewne wielkim dramatem było dla niego samobójstwo Sławka w kwietniu 1939 roku. Odchodził w dramatycznych okolicznościach przyjaciel i ten, który jak on zawsze wspierał Marszałka. Miesiąc przed śmiercią przyjaciela w sejmowym przemówieniu krytykującym obóz rządowy powiedział między innymi: „(…) idziemy drogą nie przekonywania, nie zjednywania, a drogą nakazu i przymusu". We wrześniu 1939 roku udał się na Litwę. Został aresztowany przez NKWD i skazany na karę śmierci, którą zamieniono mu na 10 lat więzienia. Nie wiemy, kiedy zmarł. Mówi się o ostatnich dniach lipca lub pierwszych dniach sierpnia 1941 roku. Niektórzy podają datę 14 października 1941 roku. Nie wiemy, gdzie został pochowany. Jego symboliczny grób znajduje się na Cmentarzu Powązkowskim.

Epilog

W 1924 roku ukazała się książka autorstwa Marszałka Józefa Piłsudskiego „Rok 1920". Prystor jako jeden z nielicznych otrzymał egzemplarz z dedykacją: „Kochany Olku! Nie dla starej przyjaźni, lecz dla honoru służby ze mną, Kolego, ofiarowuję Ci tę książkę (…). Kilku tylko ufałem bezgranicznie, że ani mnie, ani moich tajemnic nie sprzedadzą dla zysku i władzy, ani nie przyczynią się do osłabienia woli czy nerwów (…). Broniłeś mej woli, Kochany Kolego, wszędzie i zawsze, z zupełnym zapomnieniem o sobie, dla dzieła zwycięstwa, stawałeś wszędzie gdzie Cię posłałem, znosząc ciężary moralne, które na Cię spadały, bez skargi i szemrania, tak, jak znosisz, niestety i teraz często następstwa Twej honorowej służby". **GP**

GAZETA POLSKA

SENSACYJNY ŚLAD PO SŁYNNEJ LATARNI Z FAROS

Jan **Przemyłski**

HISTORYCZNE ODKRYCIE U WYBRZEŻY ALEKSANDRII

Słynna Latarnia z Faros, czyli jeden z siedmiu cudów świata starożytnego, ponownie rozpala wyobraźnię badaczy historii. Niedawno u wybrzeży Aleksandrii podjęto z wody 22 ogromne elementy będące pozostałościami tej monumentalnej budowli. Teraz nieco dalej archeolodzy odnaleźli pierwszy znany sygnet pieczętny z wyrytym wizerunkiem latarni, który najprawdopodobniej należał do wysokiego rangą urzędnika państwowego.

Wielki Mur Chiński, Petra w Jordanii, Machu Picchu w Peru, Chichén Itzá w Meksyku, Tadż Mahal w Indiach, rzymskie Koloseum oraz Pomnik Chrystusa Odkupiciela w Brazylii – to spektakularne miejsca, które znalazły się na ogłoszonej w 2007 roku liście nowych siedmiu cudów świata. Istnieje jednak także druga, znacznie starsza lista – siedmiu cudów świata starożytnego, obejmująca najwspanialsze budowle stworzone ręką człowieka w czasach antycznych. Do dziś przetrwała z nich tylko jedna, czyli Wielka Piramida w Gizie, znana też jako Piramida Cheopsa. Pozostałe cuda, choć z różnych przyczyn zostały zniszczone, to na stałe zapisały się w historii: świątynia Artemidy w Efezie, wiszące ogrody Semiramidy w Babilonie, posąg Zeusa w Olimpii, mauzoleum w Halikarnasie, Kolos Rodyjski, a także słynna Latarnia Morska na Faros. Ostatnie z wymienionych miejsc regularnie wraca na czołówki mediów popularnonaukowych, a to za sprawą wykopalisk prowadzonych u wybrzeży Aleksandrii. W ubiegłym roku na naszych łamach informowaliśmy, że eksperci po blisko trzech dekadach od odkrycia na dnie Morza Śródziemnego ogromnych elementów latarni zdecydowali się je wreszcie wyciągnąć na powierzchnię. Operacja została przeprowadzona na przełomie czerwca i lipca br., a jej efektem było wydobycie na brzeg 22 masywnych bloków, z których część ważyła nawet 70–80 ton. Trafiły one do specjalnej strefy konserwatorskiej w obrębie Fortu Qaitbay w Aleksandrii, gdzie kiedyś stał jeden z cudów świata. Teraz dotarły do nas nowe sensacyjne doniesienia z tego rejonu. Egipskie władze na początku października poinformowały, że w miejscu zatopionej królewskiej wyspy Antirhodos (około 1–1,5 km od Fortu Qaitbay), gdzie znajdował się m.in. pałac Kleopatry, archeolodzy wydobyli z morza pierwszy w historii brązowy pierścień pieczętny z wyrytą kilkupiętrową strukturą Latarni z Faros. Był on wykorzystywany jako starożytny podpis poprzez wciśnięcie go w wosk lub glinę, by pieczętować dokumenty czy amfory z towarami. Naukowcy wskazują też, że sygnet najprawdopodobniej należał do wysokiego urzędnika nadzorującego administrację portu lub samej latarni. Ponadto znaleziono także fragmenty ceramiki datowane na od IV w. p.n.e. do IV w. n.e., narzędzia codziennego użytku, naczynia stołowe, liczne amfory, garnki, flakony i lampki oliwne, a także fragmenty naczyń szklanych. Podwodne wykopaliska w obu wymienionych lokalizacjach u wybrzeża Aleksandrii będą kontynuowane w przyszłym sezonie. **GP**

Latarnia z Faros miała około 120–140 metrów wysokości, a jej podstawę stanowił kwadrat o szerokości około 30 metrów.

FOT. WIKIPEDIA

Sylwia
Krasnodębska
SZEF DZIAŁU KULTURA

TOUR DE APOLONIA, CZYLI KAŻDY NOSI BRZEMIĘ SWOICH PRZODKÓW

PREMIERA WAŻNEGO SPOŁECZNIE I POLITYCZNIE FILMU „APOLONIA"

Fabularna premiera reżysera Arkadiusza Gołębiewskiego „Apolonia" udowadnia, że hasło „historia wciąż żywa" w kontekście losów Żołnierzy Niezłomnych nie jest tylko sloganem. Do tego reżyser niezwykle błyskotliwie i naturalnie wplótł w fabułę wątek poszukiwań szczątków przez Instytut Pamięci Narodowej pod okiem prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Przywracanie bohaterów podziemia zbiorowej pamięci to wciąż nasze zadanie. A „Apolonia" dobrym filmowym językiem uświadamia nam, dlaczego to jest dziś dla nas tak ważne.

Obrazy pochylonego z kamerą nad pracami młodych archeologów Arkadiusza Gołębiewskiego czy prof. Krzysztofa Szwagrzyka mówiącego przy dołach śmierci o pracach ekshumacyjnych przywołują sceny z filmów dokumentalnych z „Łączki". Reżyser, operator oraz pomysłodawca i dyrektor Festiwalu NNW postanowił podjąć ogromne ryzyko. Sceny te ubrał w formę fabularnej opowieści. A nawet wręczył jednemu z filmowych bohaterów kubek z logotypem NNW. I co najważniejsze, korzystając z języka filmu fabularnego, zrobił to naturalnie i zwinnie. Sztuka taka nie udaje się często. Autorami scenariusza są: Arkadiusz Gołębiewski, Sebastian Reńca, Wojciech Gajewicz i Paweł Naroźnik.

Pozorna harmonia

Apolonia (Halina Łabonarska) i Czesław (Henryk Talar) to ponad 90-letni małżonkowie. Spokojna starość w uroczym domu wydaje się niczym niezmącona. Ich córka Marta (Maja Barełkowska) i wnuczka Justyna (Alicja Stasiewicz) mają zapewnione mieszkania. Syn Marek (Ireneusz Czop) przejął od ojca intratny biznes. We wspomnieniach przy stole zakrytym wykroch-

TO NIE JEST ZWYKŁY FILM

„Apolonia" to poruszające studium rodziny uwikłanej w meandry ukrywanej przeszłości i nwierozliczonych krzywd.

FOT. JACEK PIOTROWSKI.COM @#HECTIO STUDIO

Akcja filmu dzieje się tu i teraz i dotyka najdelikatniejszej tkanki społecznej. Rodziny zbudowanej na fundamentach krwawej wojny, która toczyła się po 1945 roku w polskich lasach i ubeckich katowniach. Wojny, która bezwzględnie rozdzielała społeczeństwo na dwie kategorie: bohaterów i zdrajców.

malonym białym obrusem pojawiają się wakacje w Bułgarii w 1974 roku. Staruszek żartuje, że ruszy w „Tour de Apolonia", gdy na 91. urodziny dostaje rowerek treningowy. Dotychczasowe status quo zostaje naruszone, gdy będąca archeologiem wnuczka Justyna trafia na plac budowy w Pułtusku, gdzie operator koparki podczas prac natrafił na ludzkie szczątki. Lokalizacja przy dawnej siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa sugeruje, że zbiorowa mogiła może skrywać kości bohaterów podziemia niepodległościowego. Pułtusk i okoliczne tereny w latach 40. i 50. były obszarem walk partyzantki z komunistami. Po nitce do kłębka Justyna, a wraz z nią nieświadoma część rodziny docierają do głęboko skrywanej i nieprawdopodobnej historii, która bezpośrednio, mimo upływu lat, boleśnie dotyka ich samych i porusza najwrażliwsze struny ich dusz.

W kontrze do filmów o „polsko-polskich wojenkach"

„Apolonię" ogląda się momentami jak dramat psychologiczny, w którym punkt ciężkości zostaje przesunięty z akcji zewnętrznej na wewnętrzny świat bohaterów. Zamiast widowiskowych scen sednem stają się emocje, traumy oraz skomplikowane relacje. Arkadiuszowi Gołębiewskiemu należy się wielka wdzięczność. Na mapie rodzimej kinematografii o polsko-polskich wojenkach, na której produkcje służą do wyśmiewania skłóconych przy wigilijnym stole Polaków, sprowadzania ich konfliktów do banałów, obrzydzania historii i relatywizowania przeszłości, „Apolonia" to bezcenna odtrutka. I prezentacja mocy, jaką ma kultura (w tym filmy) w manifestowaniu prawdy historycznej i propagowaniu postaw patriotycznych. Bez nadęcia i patosu. Językiem, który trafić może do nieprzekonanych, ale myślę, że także do młodego widza. Na planszach przed napisami końcowymi przeczytać możemy: „Dla połowy Europy koniec wojny nie oznaczał wolności. W Polsce komunistyczny terror pochłonął ponad 50 tysięcy ofiar. Przez więzienia i obozy przeszło 1,5 miliona osób. Wiele rodzin nadal nie zna losów ani miejsc spoczynku swoich bliskich". Można uznać, że film jest pięknym zwieńczeniem dekad pracy Arkadiusza Gołębiewskiego. Filmowiec w latach 90. wierzył, że wystarczy iść za bohaterem i jego ciekawym życiem. Szybko okazało się, że najnowsza historia Polski, choć dotyczy wszystkich nas, nie ma szans przebić się w mainstreamie. Może dlatego, że filmowe festiwale wyrosły jeszcze w okresie PRL-u. Reżyser wszedł w pewną niszę. Stawiał kamerę przed ludźmi, którzy latami trzymali w tajemnicy intrygujące opowieści. Z tematów zepchniętych na margines zrobił serię filmów. Z potrzeby opowiadania o losach Niezłomnych zrodził się Festiwal „Niepokorni Niezłomni Wyklęci". „Apolonia" wydaje się sumą tych doświadczeń.

Ciągłość

Akcja filmu dzieje się tu i teraz i dotyka najdelikatniejszej tkanki społecznej. Rodziny zbudowanej na fundamentach krwawej wojny, która toczyła się po 1945 roku w polskich lasach i ubeckich katowniach. Wojny, która bezwzględnie rozdzielała społeczeństwo na dwie kategorie: bohaterów i zdrajców. Film jednak nie tylko pokazuje, że bohaterstwo Żołnierzy Niezłomnych krąży w naszym DNA i dziś lub kładzie się cieniem na jeszcze żyjących przecież wśród nas zdrajcach. Gołębiewski nie zapomniał, by pokazać, jak przez długie dekady Niezłomni, którzy ocaleli, musieli żyć na uboczu i w strachu. Jak często trzymali swoje traumatyczne doświadczenia w tajemnicy nawet przed najbliższymi… A mimo to dziś nie tylko w polskich domach, lecz także na politycznych salonach pokutuje erozja norm. Myślenie, że „młyny historii robią przecież bohaterów raz z jednych, a raz z drugich" i nic nie jest czarno-białe. **GP**

ZACISZE MELOMANA

★★★★★☆

PODWÓJNE ESPRESSO

Mrozu, WSZYSTKO CZEGO CHCIAŁEM
Mrozu

„Wszystko, czego chciałem, jest tu" – śpiewa Mrozu na najnowszym albumie. Muzycznie znów sięga do rytmów XX wieku, czerpiąc z soulu, rock'n'rolla i tanecznej energii dawnych dekad. W tekstach jest już jednak solidnie zakorzeniony we współczesności, dając wiele powodów do uśmiechu i energii do działania. W tytułowym utworze artyście towarzyszą bracia Kacperczyk, a na płycie znalazły się jeszcze dwa inne duety: „Odpowiedni moment" z Zalią oraz zamykające album „Anioły" z Julią Pietruchą. A jeśli ktoś chce sprawdzić, jak ta muzyka działa na żywo, warto zajrzeć na któryś z październikowych koncertów. Polecam, bo na scenie Mrozu daje więcej mocy niż podwójne espresso.

★★★☆☆☆

EUROPE WCIĄŻ ODLICZA

Europe, COME THIS MADNESS
Silver Lining Music

Płyta „Come This Madness" również zabiera nas w nostalgiczną podróż do ubiegłego wieku, choć tym razem do gitarowych brzmień lat 80. Kto z sentymentem wspomina przebój „The Final Countdown", ten z radością przyjmie tę niespodziewaną premierę. Dla wielu słuchaczy zaskoczeniem może być bowiem fakt, że rockmani z Europe nie tylko nieprzerwanie koncertują, lecz także nagrywają kolejne płyty wciąż w tym samym składzie. Okazuje się jednak, że ich muzyka również jakby zatrzymała się w miejscu. Dla dawnych fanów może to być sentymentalny powrót do przeszłości, dla młodszych słuchaczy raczej wizyta w muzycznym skansenie.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { LITERATURA FAKTU }

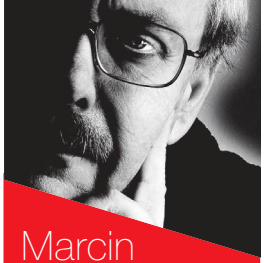

Marcin **Wolski** poleca

★★★★★☆

Apostoł wśród Latynosów

„Krzyż i kartele"
Mirosław Olszycki
Zona Zero, Warszawa 2026

Fascynujące, choć mało znane relacje papieża Polaka z Ameryką Łacińską doczekały się ciekawego opracowania w formie reportażowej w książce Mirosława Olszyckiego „Krzyż i kartele". Nieprzypadkowo pierwszym krajem odwiedzonym przez Jana Pawła II był rządzony od dekad przez Partię Rewolucyjno-Instytucjonalną Meksyk. Kraj masowych prześladowań chrześcijan niemniejszych niż w Związku Sowieckim. Nasz nieustraszony papież nie obawiał się głosić prawdy wobec księży komunistów w Nikaragui, mówić ją Fidelowi Castro na Kubie, stawać w poprzek „teologii wyzwolenia", którą najlepiej ilustruje tytuł książki Kapuścińskiego „Chrystus z karabinem". Do tego należy dodać uśmierzane wojny, jak ta o Falklandy, konflikt między Chile a Argentyną, czy upominanie się o los prostych ludzi. Czynił cuda, jak ten w Costa Rice, nie wahał się potępiać narkotykowych karteli w Kolumbii czy gangów niszczących Haiti. Fenomen Wojtyły polegał na tym, że nie był ani prawicowy, ani lewicowy. Głosił odwieczne prawdy wobec paragwajskiego dyktatora Stroessnera, podobnie jak komunistycznego przywódcy Nikaragui Ortegi. We wszystkich krajach Ameryki Południowej przynosił nadzieję i odkłamywał historię, dotąd jednoznacznie lewacką. W końcu podbój Meksyku czy Peru był nie tylko zniewoleniem, ale i wyzwoleniem uciemiężonych ludów od jednej nacji i krwawych kultów. Mogę potwierdzić tylko sława autora – sam na komunistycznej Kubie oglądałem wizerunki „papa polacco" w wielu domach, a w Rio wiózł mnie taksówkarz, dla którego udział we mszy papieskiej był najważniejszym dniem jego życia, dniem nawrócenia! **GP**

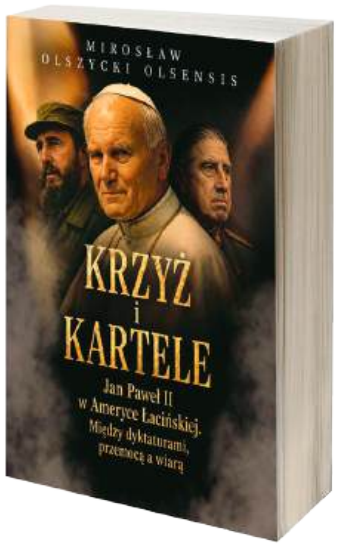

Zamów w naszym sklepie pod adresem sklep.gazetapolska.pl | infolinia: 22 232 37 70

MIX Kulturalny

posłuchaj

TEJ MUZYKI
Paul McCartney i Céline Dion połączyli siły przy tworzeniu ścieżki dźwiękowej do animacji „High in the Clouds". Dion użyczy również głosu matce głównego bohatera. Film w reż. T. Genkela w kinach w przyszłym roku.

zrelaksuj się

Z NIECODZIENNĄ
„Niecodzienna Gazeta Polska" to magazyn dołączany do weekendowej „Gazety Polskiej Codziennie". Poczytać w nim można porady zdrowotne, powieść w odcinkach, gawędy podróżnicze i historie rodem ze światów równoległych.

www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA

★★★★★★

Wołanie o wyobraźnię miłosierdzia

„Dzień dziecka księdza Jana Kaczkowskiego”

Film dokumentalny, reż. Artur Wierzbicki

POLSKA 2026

Krzysztof **Wołodźko**

„Dzień dziecka księdza Jana Kaczkowskiego” (reż. Artur Wierzbicki) przypomina kapłana, który bardziej mówił językami ludzi niźli językami aniołów. A równocześnie – w szczęściu i w cierpieniu – był świadkiem wiary katolickiej i tego, że w Kościele wciąż ukryte są nieprzebrane dary wiary, nadziei i miłości.

Często dzisiaj słychać, że pokolenie Świętego Jana Pawła II to mit. Wielu dodaje: mit, który szybko i brzydko się rozwiał. A przecież zmarły dekadę temu na glejaka ks. Jan Kaczkowski pokazał swoim życiem wszystko, co najlepsze w tym duchowym pokoleniu. Był nie tyle jego ikoną, co najszczerszym i najprawdziwszym świadkiem. Przede wszystkim był jednak świadkiem cierpiącego i zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa – to wyraźnie widać i słychać w „Dniu dziecka”.

Z jednej strony to bardzo nowoczesny film. Od kilkunastu lat śledzę Millennium Docs Against Gravity Film Festival, czyli topową ofertę światowego i polskiego kina dokumentalnego, stąd wiem, że „Dzień dziecka” w niczym nie ustępuje tego rodzaju produkcjom. Świetne wykorzystanie materiałów archiwalnych, również z czasów PRL i okresu transformacji, niezłe animacje, dobrze użyte nagrania z udziałem księdza Jana sprawiają, że zmarły dekadę temu na glejaka kapłan, który nie wstydził się sutanny, staje nam żywo przed oczami.

Dla jednych „Dzień dziecka” to intymny obraz cierpiącego, a jednak szczęśliwego i spełnionego człowieka. Dla drugich opowieść o fundamentalnych kwestiach wiary, która nie zagubiła się wśród świata. Niemniej ważne jest jego społeczne przesłanie: to film trochę jak wyrzut sumienia, jak wołanie o odnowę wyobraźni miłosierdzia dla nas wszystkich. **GP**

„Dzień dziecka księdza Jana Kaczkowskiego” to kino, o którym trzeba rozmawiać z młodzieżą. Naprawdę trudno dziś o lepsze świadectwo człowieczeństwa.

FOT. MAT. PRAS., YOUTUBE

policz

MILIARDY

Dzięki kinowej reedycji ze scenami zapowiadającymi „Avengers: Doomsday” film „Avengers: Koniec gry” zarobił 2,926 mld dolarów i został najbardziej dochodowym filmem w historii kina! Wyprzedził „Avatara” o 2 mln dolarów.

czekaj

NA STALLONE'A

Wielki gwiazdor kina Sylvester Stallone znowu w grze. Przed nami premiera czwartego sezonu serialu „Tulsa King”. Czy nowojorski kapo mafii zalegalizuje imperium i ochroni swoich ludzi przed niebezpieczeństwem?

poznaj

EFEKTY ŚLEDZTWA

„Wysadzić Nord Stream. Sabotaż, który wstrząsnął światem” to książka Bojana Pancevskiego będąca efektem dziennikarskiego śledztwa odsłaniającego kulisy wielkiego aktu sabotażu. Książka na sklep.gazetapolska.pl.

Jacek
Liziniewicz

CELEBRYTA PUNCH

CIEKAWOSTKI O MAKAKACH

Jeżeli kiedykolwiek miałby się ziścić scenariusz z „Planety Małp", to makaki byłyby z pewnością jednymi z naczelnych, które przyczyniłyby się do naszej zagłady. Choćby z tego powodu warto coś o nich wiedzieć.

NAJPOWSZECHNIEJSZY

Makaki to najbardziej rozpowszechnione naczelne na Ziemi. Ich zasięg obejmuje obszar od Gibraltaru (jest jedyną małpą występującą w Europie) po Japonię. Powszechne są w Azji. Na świecie żyją 23 gatunki makaków.

RADZĄ SOBIE NA FLORYDZIE

Makaki dobrze dostosowują się do środowiska. Dlatego jedna z populacji żyje… na Florydzie na terenie Parku Stanowego Silver Springs. Ich liczba była jednak ograniczana. Obecnie szacuje się ją na około 200 osobników.

W czasach internetowych nigdy nie wiadomo, jakie zwierzę stanie się nagle celebrytą. W tym roku kandydatów było dużo. Jest nowy gatunek słodkiego kota. Jest hipopotam karłowaty. Na półkach sklepowych królują kapibary. Najbardziej jednak chwyciła za serca historia pewnego makaka z ogrodu zoologicznego.

MAŁPKA która podbiła miliony serc

FOT. ADOBESTOCK, WIKIPEDIA, FACEBOOK

POLUB NAS /GazetaPolskaPL

Punch to makak japoński, który urodził się pod koniec lipca 2025 roku. Niestety malutkie i słodkie zwierzątko zostało odrzucone przez matkę. Nie wiadomo, dlaczego się tak stało. Fachowcy sądzą, że miało pecha, bo urodziło się w czasie fali upałów. Zwierzęta uznają pogodę za czynnik stresowy, który uniemożliwia wychowanie. Małą małpkę przygarnęli opiekunowie. Wychowywali ją przez pół roku. W tym czasie karmili ją butelką i sprezentowali pluszowego orangutana z Ikei. Po sześciu miesiącach nadszedł czas, by Punch dołączył do Góry Małp, która znajduje się w miejskim zoo Ichikawa. Jak się jednak okazało, proces adaptacji nie przebiegł łatwo. Inne osobniki ze stada nie chciały go przyjąć. Część z nich atakowała młodego makaka. Tu ta przykra historia mogłaby się zakończyć, ale do akcji wkroczył internet. Filmiki, na których poniewierany i odpychany Punch wraca w objęcia swojego pluszowego orangutana, zawojowały sieć.

Blaski i cienie sławy

Media społecznościowe pokochały tę historię. Miliony ludzi zaczęły ją śledzić. Opisały ją „The New York Times" i „Forbes". A ikeowskie pluszowe orangutany zaczęły rozchodzić się jak świeże bułeczki. Wzrosty sprzedaży zanotowano w Japonii i Korei. Wykorzystano również motyw w reklamie. „My wszyscy jesteśmy teraz rodziną Puncha" – ogłosiła Ikea. Na reklamie znalazło się hasło, że czasami rodziną staje się ten, kogo spotkamy w drodze. OranMama, jak

MALARZ MAKAKÓW

Mori Sosen, żyjący na przełomie XVIII i XIX wieku malarz, był mistrzem w malowaniu makaków. Około 1808 roku, w wieku 61 lat, zmienił pierwszy znak swojego imienia na oznaczający małpę. Założył w Osace szkołę malarstwa zwierząt.

TRZY MAŁPY

Znany na całym świecie, ale stworzony w Japonii motyw trzech mądrych małpek, z których jedna zasłania oczy, druga usta, a trzecia uszy, pierwotnie przedstawiał właśnie makaki. O znaczenie symbolu wciąż trwa spór.

LABORATORYJNE

Makaki były i są wykorzystywane jako zwierzęta laboratoryjne. Oddają ludziom olbrzymie zasługi, biorąc na siebie weryfikację naukowych teorii. Ostatnio ich popularność jednak spada, bo mogą przenosić groźne choroby.

SŁAWA

Historię małego Puncha śledziły miliony ludzi. Opisały ją „The New York Times" i „Forbes". Na pierwsze urodziny małpka dostała 2,5 tys. kartek z życzeniami. Jej fani zebrali też fundusze na remont małpiego wybiegu.

ochrzczono pluszaka, jest dostępna w sieci na całym świecie. Firma podarowała również kilkadziesiąt maskotek ogrodowi zoologicznemu. Wokół Puncha zebrała się społeczność, która śledziła jego postępy. Z czasem małpka zaczęła się adaptować do stada. Inne zwierzęta zaakceptowały ją i coraz częściej uczestniczyła w codziennym iskaniu i zabawach. Na pierwsze urodziny małpka dostała 2,5 tys. kartek z życzeniami od fanów. Jak się okazało, niechciany Punch stał się wielkim szczęściem dla stada makaków. Jego fani sfinansowali bowiem montaż klimatyzacji na zapleczu wybiegu. Przeprowadzono też remont całego wybiegu.

Dziś chwilowa sława zaczyna przygasać. Popularność była bowiem czasami kłopotliwa. W maju na wybieg makaków wparowali dwaj mężczyźni, którzy chcieli zorganizować akcję marketingową jednej z kryptowalut. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Oczywiście jak zawsze w takich przypadkach pojawili się prozwierzęcy aktywiści. Ci krytykowali ogród zoologiczny i chcieli, aby małpkę oddać do rezerwatu i zwrócić jej wolność. Argumentowali, że zwierzę jest zestresowane i nieszczęśliwe. Co więcej, jak pisały media, w internecie złożono propozycję porwania Puncha. Za dostarczenie małpki jeden z patoinfluencerów płacił 250 tys. dolarów. Pewne problemy miało również samo zoo.

OWOCOŻERNE

Makaki są głównie owocożerne. Gdy żyją w okolicy ludzi, żywią się na polach rolników albo liczą na dokarmianie. W tym ostatnim przypadku nie będą szczególnie grymasić. Zjedzą nawet podarowaną przez człowieka gotową potrawę.

ANGIELSKIE MAŁPY

Makak beryjski to jedyna małpa żyjąca dziko w Europie. Mieszka w Gibraltarze. Podczas II wojny światowej Winston Churchill nakazał wprowadzenie większej ich liczby do Gibraltaru, aby odwrócić spadkowy trend populacji.

ETYMOLOGIA

Nazwa „makak" pochodzi od portugalskiego słowa „macaco" oznaczającego po prostu „małpa". Słowo zostało przejęte z języków bantu. Karol Linneusz utrwalił je w nazwie rodzajowej Macaca.

Po bilety ustawiały się długie kolejki, a liczba odwiedzających wzrosła o 100 proc.

Najbardziej niepożądanym skutkiem popularności makaków jest jednak nielegalny rynek hodowli. Moda na jakieś zwierzę sprawia, że przybywa na świecie ludzi, którzy chcieliby je mieć w domu.

Ceńmy makaki

Zwierzęta te są od dekad wykorzystywane do badań laboratoryjnych. Naukowcy twierdzą, że genetycznie są one bliskie człowiekowi. Badania na rezusach i makakach krabożernych przynosiły zresztą wielkie przełomy w medycynie. To one standardowo otrzymują szczepionki, zanim podawane są ludziom. Brały udział przy tworzeniu szczepionki na polio. Używano ich w badaniach nad HIV/SIV, żółtą febrą, wirusem Zika, Ebolą i SARS-CoV-2. To one jako pierwsze wzięły szczepionki mRNA przeciw COVID-19 i na tej podstawie sprawdzano odpowiedź immunologiczną i ochronę przed zakażeniem. Mają też swój trwały wkład w medycynę. W 1937 roku Karl Landsteiner i Alexander Wiener wstrzyknęli królikom i świnkom morskim krew rezusów. Zwierzęta wytworzyły przeciwciała. Antygen wykryty w ten sposób nazwano czynnikiem Rh, od pierwszych liter słowa „rhesus". Układ Rh opisano potem u ludzi i powiązano m.in. z konfliktem serologicznym matki i płodu. Ma to zastosowanie praktyczne w transfuzjach i w czasie ciąży. Osobie Rh- nie podaje się krwi Rh+, bo może wytworzyć przeciwciała antygenowe. U kobiety Rh-, która urodziła dziecko Rh+, te przeciwciała mogą w kolejnej ciąży atakować krwinki płodu Rh+. Inaczej mówiąc, może dojść do konfliktu serologicznego. Ludzkość nauczyła się już temu przeciwdziałać. Bez rezusów by się nie udało. Dodatkowy popyt na małpki może zwiększyć presję na stada tych zwierząt. Już nie w imię nauki, lecz dla zdjęć na Instagram, popularności i pieniędzy. **GP**

ŚWIETNI PŁYWACY

Makaki dobrze pływają. Nie wiedziano jednak o tej ich zdolnościach do momentu, aż zaczęto je wykorzystywać w eksperymentach, podczas których umieszczano zwierzęta na wyspach, myśląc, że nie będą w stanie pokonać wody.

UŻYWAJĄ NARZĘDZI

Makaki potrafią posługiwać się narzędziami – używają kamieni do otwierania małż. Stosują też pewne praktyczne triki – myją bataty w słonej wodzie, by nadać im smak, i nauczyły się zażywać ciepłych kąpieli, by się odstresować.

FOT. AA/ABACA / ABACA PRESS / FORUM, WIKIPEDIA, FACEBOOK

ZAKOŃCZONO MORSKĄ FARMĘ WIATROWĄ

Zakończyła się instalacja ostatniej turbiny wiatrowej na farmie wiatrowej Baltic Power. Nowa elektrownia ma łączną moc około 1,2 GW i będzie wytwarzała do 4 TWh energii rocznie, czyli tyle, ile zużywa około 1,5 mln gospodarstw domowych. Składa się na nią 76 turbin o mocy 15 MW każda. Farma o powierzchni 130 km² znajduje się około 23 km od brzegu, w rejonie Choczewa i Łeby. Udział polskich firm w budowie i eksploatacji farmy wynosi 21 proc. Inwestycja rozpoczęła się w czasach rządów PiS i jest jedną z niewielu, której nie zablokował obecny rząd.

ROZWINIEMY MAGAZYNY ENERGII

Od 20 października 2026 roku prosumenci będą mogli ubiegać się nawet o 19 tys. zł dofinansowania do zakupu i montażu przydomowych magazynów energii oraz magazynów ciepła. Budżet nowego programu Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) wynosi 1 mld zł i jest finansowany ze środków Funduszu Modernizacyjnego. Program został zaprezentowany 2 października 2026 roku podczas konferencji prasowej w Ministerstwie Klimatu i Środowiska z udziałem Pauliny Hennig-Kloski, minister klimatu i środowiska, oraz Sławomira Ćwika, wiceministra klimatu i środowiska.

Leszek
Galarowicz

CO SIĘ DZIEJE Z KADRĄ JANA URBANA?

GRA I WYNIKI NIE WYGLĄDAJĄ DOBRZE

Wiemy, że niewiele wiemy – chciałoby się sparafrazować słowa starożytnego filozofa, które można by odnieść do punktu, w którym znalazła się kadra Jana Urbana. Bolesną porażką z Bośnią i Hercegowiną Polacy zakończyli jedno z dłuższych zgrupowań reprezentacji w ostatnim czasie. Cztery punkty w czterech spotkaniach Dywizji B to wynik zdecydowanie poniżej oczekiwań i poniżej potencjału Biało-Czerwonych. W listopadzie będziemy się bronić przed kompromitacją i spadkiem do niższej dywizji.

Jeśli Liga Narodów miała rozwiać wątpliwości dotyczące przyszłości kadry pod dowództwem Jana Urbana, stało się zupełnie odwrotnie. Dziś zamiast odpowiedzi mamy coraz więcej pytań i niewiadomych. Cztery punkty zdobyte w czterech spotkaniach z futbolowymi średniakami to wynik zawstydzający. Tylko jedno spotkanie zagraliśmy na miarę oczekiwań, w dużym stopniu dlatego, że ułożyło się ono dla nas w wymarzony sposób, w czym wydatnie pomógł nam arbiter spotkania. W pozostałych meczach już tak kolorowo nie było i dziś balansujemy na granicy drugiej i trzeciej dywizji. Szanse na przeskoczenie w tabeli Bośni, która ma cztery punkty więcej, są niewielkie, tym bardziej że mamy z tym rywalem negatywny bilans. Co nie znaczy, że dwa ostatnie mecze w LN można potraktować luźno. Wręcz przeciwnie. Trzeba walczyć nie tylko o podniesienie morale drużyny, lecz także o lepsze rozstawienie przed kwalifikacjami do Euro 2028. Gdyby losowanie odbyło się dziś, Biało-Czerwoni znaleźliby się w trzecim koszyku, a to spowodowałoby konfrontację z potencjalnie dwiema mocniejszymi od nas ekipami. Sytuacja może się zmienić, ale do tego potrzebne są nie tylko zwycięstwa kadry Urbana, lecz także korzystne wyniki w innych spotkaniach. Jest więc o co walczyć.

Co wiemy o kadrze Jana Urbana?

Nie lada zagadką jest dziś odpowiedź na pytanie o prawdziwe oblicze polskiej kadry. Czy jesteśmy tak słabi jak w przegranych meczach ze Szwecją i z Bośnią, czy tak mocni jak w konfrontacji z Rumunią? Zresztą to pytanie w przestrzeni publicznej krąży od czasów drużyny Adama Nawałki, odkąd jesteśmy zawieszeni w futbolowej przeciętności. Różnica jest taka, że jeszcze niedawno przynajmniej regularnie zdobywaliśmy awans na wielkie imprezy, a teraz wiele wskazuje na to, że coraz częściej będziemy musieli drżeć, by na nie jechać.

Jakie wnioski nasuwają się, odkąd jej selekcjonerem został Jan Urban? Niestety po dość obiecującym początku jest coraz gorzej. Od barażowego meczu ze Szwecją, który wprawdzie przegraliśmy, ale w stylu, który mógł dawać nadzieję na to, że kadra zmierza w dobrym kierunku, notujemy mocny zjazd. Od marcowych baraży wy-

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

NIE JEST RÓŻOWO

Na dziś notowania Jana Urbana u futbolowych ekspertów, kibiców i pewnie działaczy PZPN-u nie są zbyt wysokie. Coraz częściej sprawia on wrażenie szkoleniowca, który się pogubił. Jest też grono, które już od jakiegoś czasu domaga się dymisji.

graliśmy tylko raz, z Rumunią, dwa razy zremisowaliśmy i ponieśliśmy cztery porażki, a nie mierzyliśmy się przecież z żadną reprezentacją z europejskiej czołówki. Wiele wskazuje na to, że dziś kadra Jana Urbana jest dalej od europejskiej czołówki niż w momencie, gdy rozpoczynał on pracę z kadrą i dwukrotnie w dobrym stylu remisował z Holandią. Nie były to wyniki przypadkowe, ale poparte naprawdę dobrą grą. Trudno dziś powiedzieć, co się stało przez ostatnie miesiące, że kadra popadła w taki marazm. Faktem jest, że dziś reprezentacja osiąga słabe wyniki, a do tego trener, zamiast uderzyć się w piersi, winę za porażkę zrzuca na sędziego i twierdzi, że gra Polaków wyglądała całkiem nieźle.

Wiele wskazuje na to, że dziś kadra Jana Urbana jest dalej od europejskiej czołówki niż w momencie, gdy rozpoczynał on pracę z kadrą i dwukrotnie w dobrym stylu remisował z Holandią.

Grzechy główne kadry Urbana

Tymczasem prawda jest taka, że i gra, i wyniki nie wyglądają dobrze. Jednym z grzechów głównych kadry nie jest wcale, jak twierdził po jednym ze spotkań Urban, nieskuteczność, lecz gra obronna całego zespołu. Nie chodzi nawet o to, że Polacy nie stosują pressingu, ale o to, że popełniają szkolne błędy, na przykład przy stałych fragmentach, oraz niezrozumiałe pomyłki indywidualne, jak ta Jana Bednarka, który swoją „interwencją" w polu karnym sprezentował Bośniakom bramkę, czy Przemysława Wiśniewskiego w meczu ze Szwecją, kiedy pozostawił bez opieki w polu karnym Gyökeresa. Drugi często powtarzany zarzut dotyczy niezrozumiałej przemiany negatywnej polskiej kadry po przerwie, czego byliśmy świadkami choćby w konfrontacji z Trzema Koronami czy w rewanżu z Bośnią. Nie wiadomo, co jest przyczyną nagłego spadku jakości po 45 minutach, ale od oglądania gry Biało-Czerwonych w drugich połowach (poza meczem z Rumunią) może rozboleć głowa. Mecze, w których w kadrze nie wystąpił kapitan naszej drużyny, dobitnie pokazały, że dziś bez Roberta Lewandowskiego jakość drastycznie spada. Nie mamy napastników o choćby zbliżonym potencjale. Grzechów kadry Jana Urbana jest zresztą więcej, choćby błędy w selekcji (przed ostatnim meczem pozostał nam jeden napastnik) czy zmiany, które zamiast ożywić grę, powodowały, że wyglądała ona jeszcze gorzej. Z pozytywów warto wspomnieć o odkryciu Urbana, czyli Wiktorze Nowaku, zawodniku od dawna poszukiwanym dla kadry.

Co dalej z przyszłością Jana Urbana?

Po dwóch pierwszych meczach Ligi Narodów w mediach zaczęły się pojawiać spekulacje, czy Jan Urban powinien pozostać na swoim stanowisku. Cezary Kulesza dawał wtedy do zrozumienia, że na razie nie ma rozmów o dymisji. Po zakończeniu zgrupowania temat przyszłości selekcjonera powrócił ze zdwojoną siłą. Prezes PZPN-u przeciął spekulacje decyzją, że do meczów listopadowych nie ma mowy o dymisji szkoleniowca. Pomimo tego notowania Urbana u futbolowych ekspertów, kibiców i pewnie działaczy PZPN-u nie są zbyt wysokie. Coraz częściej sprawia on wrażenie szkoleniowca, który się pogubił. Jest grono, które już od jakiegoś czasu domaga się dymisji Urbana, a kolejne mecze kadry sprawiają, że ta grupa się powiększa. Do dyżurnych krytyków, m.in. Wojciecha Kowalczyka, Tomasza Hajty czy Jana Tomaszewskiego, dołączają inni, jak ostatnio Jerzy Dudek czy Piotr Czachowski. Wprawdzie nie domagają się oni zwolnienia selekcjonera, ale bez ogródek wskazują na jego błędy. Są też tacy, jak Zbigniew Boniek, którzy uważają, że kolejna zmiana trenera nie jest rozwiązaniem problemu, bowiem wiele wskazuje na to, że problem naszej kadry leży w samych zawodnikach. Wystarczy krótkie spojrzenie na nazwiska ostatnich. Niezależnie od tego, czy byli oni z kraju, czy z zagranicy, trudno wskazać, czy choćby jeden z nich spełnił oczekiwania. Może jedynie Jerzy Brzęczek, który odniósł sukces z drużyną U-21, i w pewnym stopniu Czesław Michniewicz, który najpierw wygrał baraż ze Szwecją, a potem wyszedł z grupy na mundialu, choć styl, w jakim to uczynił, był daleki od oczekiwań.

Jan Urban dostał szansę od prezesa PZPN z wielką aprobatą mediów, dla których stał się kandydatem niemal wymarzonym. Niejeden z nich dziś pewnie chętnie mówi o jego dymisji. Dziś, kiedy Urban nie zaczął nawet kwalifikacji do Euro, oni szukają jego następców. Niezależnie od tego, że obraz kadry zaczyna niebezpiecznie przypominać ten z czasów poprzedników (Probierz, Santos), dymisja Urbana w listopadzie byłaby błędem. Czas jego rozliczenia powinien nastąpić dopiero po zakończeniu kwalifikacji do Euro 2028. **GP**

Listy

Demokracja to wielkie dobro

Dzisiaj obywatele nie decydują samodzielnie o najważniejszych sprawach państwa. Raz na cztery lata wybierają polityków, którzy później mogą podejmować decyzje sprzeczne z wolą wyborców, a obywatele praktycznie nie mają możliwości ich zatrzymać.
Demokracja bezpośrednia nie zastępuje rozumu ani edukacji. Daje świadomym ludziom konkretne narzędzia: referendum obywatelskie, inicjatywę ustawodawczą, weto wobec szkodliwej decyzji oraz możliwość odwołania przedstawiciela, który zawiódł zaufanie. Samo „otwieranie ludziom oczu" nie zmienia prawa i nie odbiera politykom władzy. Można być najbardziej świadomym człowiekiem w Polsce, ale bez narzędzi wpływu pozostaje jedynie pisać komentarze, protestować i czekać do następnych wyborów.
[...] Demokracja bezpośrednia pozwala obywatelom powiedzieć politykowi w trakcie kadencji: „STOP, tej decyzji nie podejmiesz za naszymi plecami" albo „straciłeś nasze zaufanie i odwołujemy cię".

Ludzie potrzebują jednocześnie wiedzy, samodzielnego myślenia i sprawczego systemu. Jedno bez drugiego nie wystarczy. Jeżeli z góry uznamy obywateli za zbyt głupich, aby decydowali o swoim państwie, to komu mamy oddać władzę? Garstce polityków, których wybierają dokładnie ci sami obywatele? To dopiero jest sprzeczność.
Małgorzata M.

Liczymy na tę pomoc!

Jakim prawem Tusk jednoosobowo decyduje o bezpieczeństwie Polaków? Nie ma na to mojej zgody! Jest nas około 40 milionów i to my w większości chcemy i prosimy Stany Zjednoczone o stałą obecność wojsk amerykańskich w naszej Ojczyźnie! Ani Berlin, ani Moskwa nie będą dyktowały Polsce, kogo zaprasza do wspólnej obrony naszej Ojczyzny i daje gwarancję bezpieczeństwa Polakom!
Renata B.

Sługusy

Układ niemiecko-ruski w Polsce ma za zadanie tłamsić wszystko i wszystkich, którzy związani są z prawdą. Donek i szara eminencja „Koń" Giertych spłacają długi Niemcom i ruskim.
Zenon P.

NOŻOWNICY W SZKOŁACH

Wielkie tragedie dotknęły polskie szkoły, rodziny i samych uczniów! [...] Wszyscy są po trochu winni, państwo, dom, środowisko. Wyrazy współczucia dla wszystkich – rodzin, rannych.

Maria P.

Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl

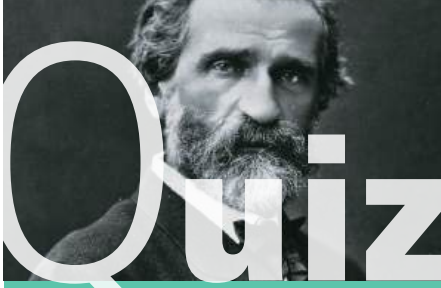

FOT. WIKIPEDIA

GAZETA POLSKA

1. Jeden z najsłynniejszych twórców operowych – Giuseppe Verdi – był wielkim orędownikiem zjednoczenia Włoch. W swoich dziełach nawiązywał nieraz do sytuacji politycznej. W jego życiu pojawił się epizod dotyczący m.in. parlamentu zjednoczonych Włoch. Co go z nim łączyło?
2. Był jednym z głównych przedstawicieli abolicjonizmu. Za usiłowanie wywołania powstania niewolników na Południu Stanów Zjednoczonych został skazany na karę śmierci. Wiersz poświęcił mu m.in. Cyprian Kamil Nowrid. O kim mowa?
3. Pochodził z farmerskiej rodziny, ciężką pracą zdobył wykształcenie prawnicze. Opowiadał się za zniesieniem niewolnictwa i jako prezydent tego dokonał. Został zastrzelony w teatrze przez fanatycznego zwolennika konfederatów. Jak nazywała się ta postać?
4. Był brytyjskim przedsiębiorcą i kolonizatorem. Założył m.in. przedsiębiorstwo zajmujące się wydobywaniem diamentów na południu Afryki oraz powołał Brytyjską Kompanię Południowoafrykańską. Jeden z eksploatowanych tam obszarów nazwano Rodezją. O kim mowa?

ODPOWIEDZI:
1. BYŁ JEGO POSŁEM; 2. JOHNIE BROWNIE; 3. ABRAHAM LINCOLN; 4. CECILU JOHNIE RHODESIE

PRENUMERATA
Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej": rok – 460 zł, pół roku – 244 zł; kwartał – 129 zł; miesiąc – 45 zł.
Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 002, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW IBAN: PL)
Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: (22) 232 37 70
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska
kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Ewa Wójcik (kluby), Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Marcin Wolski, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein
projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński
nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka
sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: P/mint, Wyszków
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY
Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.
Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13: Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483; tel. 22 290 29 58 (wew. 1); e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy: e-mail reklama@gazetapolska.pl, tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji: e-mail promocja@gazetapolska.pl
GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

FELIETON

{ OKIEM KAPELANA / POD PATRONATEM KS. POPIEŁUSZKI }

ks. Jarosław **Wąsowicz** SDB

Parlamentarne **Spotkanie Modlitewne**

Zgodnie z zapowiedzią moje październikowe felietony poświęcone będą wydarzeniom, które przyczyniają się do duchowej odnowy naszej wspólnoty. Wiele z nich jest związanych z miejscem mojej posługi, czyli Pałacem Prezydenckim.

Już od ponad roku gościmy w naszej kaplicy grupy z całej Polski i z zagranicy, które chcą włączyć się do modlitwy w intencji ojczyzny, prezydenta, jego rodziny i współpracowników. Regularnie modlą się z nami Kluby „Gazety Polskiej". Są to zawsze niezwykłe spotkania, pełne wzruszeń. Są świadectwem tego, że jesteśmy chrześcijańskim narodem i najtrudniejsze sprawy, których nieraz po ludzku nie możemy rozwiązać, zawierzamy Bożej Opatrzności.

Ubiegły tydzień był w tym względzie zupełnie wyjątkowy. Najpierw 7 października, w liturgiczne wspomnienie Matki Bożej Różańcowej, odwiedziły nas dzieci ze Szkoły Sióstr Niepokalanek w Warszawie i skauci ze Stowarzyszenia Rodzin. Nasi goście w kaplicy prezydenckiej włączyli się w międzynarodową kampanię „Milion dzieci modli się na różańcu". W intencji pokoju na świecie, w szczególności w Libanie, odmówiliśmy jedną część różańca, a dzieci zwiedziły najważniejsze miejsca w prezydenckim pałacu. Miałem też w tych dniach zaszczyt poprowadzić modlitwę różańcową przy Trybunale Konstytucyjnym, gdzie gromadzą się członkowie Klubów „Gazety Polskiej" z całego kraju. Codziennie od godz. 20 odbywa się tam wspólna modlitwa zakończona „Apelem jasnogórskim".

Natomiast 8 października byliśmy gospodarzami drugiego modlitewnego spotkania parlamentarzystów. W Polsce są organizowane od ubiegłego roku przez fundację Global Peacemakers wraz z komitetem, którego członkowie reprezentują różne kościoły chrześcijańskie. Hasłem tego wydarzenia stały się słowa Pana Jezusa: „Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam" (J 14,27). Świat szczególnie potrzebuje dziś pokoju, który pochodzi od Boga; każdy może tworzyć przestrzeń pokoju w życiu osobistym, we wspólnocie i w służbie publicznej. Patronem wydarzenia jest błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko, który do końca życia orędował na rzecz wybaczenia i pokoju. Często powtarzał, że prawdziwy pokój zaczyna się w ludzkim sercu, które jest przemienione przez zasady moralne i wiarę, a nie przez przemoc czy kłamstwo. Podkreślał, że nie ma pokoju bez sprawiedliwości, że „pokój to dialog sprawiedliwy w duchu miłości". Drugiego dnia uczestnicy Parlamentarnego Spotkania Modlitewnego spotkali się więc w sanktuarium na Żoliborzu, aby wspólnie pomodlić się przy grobie męczennika. Zawierzyć mu ideę budowania pokoju na świecie i we własnych sercach.

Wspomniane wydarzenie swoimi korzeniami nawiązuje do międzynarodowej tradycji „National Prayer Breakfast", która powstała w 1953 roku w Stanach Zjednoczonych jako odpowiedź na napięcia i podziały w życiu publicznym. Idea spotkała się ze znakomitym przyjęciem i dotarła już do ponad 180 krajów. Uczestnicy tych spotkań przy wspólnym posiłku i modlitwie budują relacje i tworzą przestrzeń zaufania oraz pojednania.

Nasza modlitwa zgromadziła blisko czterdziestu parlamentarzystów reprezentujących prawie wszystkie partie polityczne, w tym kilku gości z zagranicy, m.in. z USA, Wielkiej Brytanii, Holandii, Belgii, Malty, Norwegii i Ukrainy. Kancelarię Prezydenta RP reprezentował minister Wojciech Kolarski. Oprócz posłów i senatorów w wydarzeniu wzięli udział kapłani i duchowni reprezentowani w Polskiej Radzie Ekumenicznej. Ważną część spotkania stanowiły świadectwa o obecności Boga w życiu publicznym, które przedstawili politycy z kilku krajów, m.in. Serb Slobodan Petrović i Albańczyk Ahmet Shala z Kosowa. Ucztą duchową był też recital międzynarodowej sławy pianisty i kompozytora Fabia D'Andrei, którego muzyka łączy artystyczną doskonałość z głębokim przesłaniem duchowym.

> Każda inicjatywa modlitewna jest na wagę złota w świecie pełnym wzajemnej nienawiści, agresji, kłamstwa, braku szacunku dla wartości, które pozostawił nam w Ewangelii Pan Jezus.

To był dobry czas. Każda inicjatywa modlitewna jest na wagę złota w świecie pełnym wzajemnej nienawiści, agresji, kłamstwa, braku szacunku dla wartości, które pozostawił nam w Ewangelii Pan Jezus. Duchowa walka trwa! **GP**

REPUBLIKA

Więcej dyskusji o najważniejszych wydarzenia mijającego tygodnia.
Więcej gości. Więcej konfrontacji dziennikarzy z ekspertami.
Wszystko na żywo. W nowym studiu. I o nowej porze.
Dla Polski. I dla Polaków.

SALONIK ZIEMKIEWICZA

SOBOTA
11:30
w Republice

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę obejrzysz w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny proszę sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA